

Król irlandzkiego kryminału w stylu noir.
Historia jest mroczna, styl elegancki, jednolity,
oszczędny i jedwabisty jak najlepsza wiekowa irlandzka whisky.

KEN BRUEN



STRAŻNICY BEZPRAWIA

KEN BRUEN

STRAŻNICY BEZPRAWIA

Przekład SŁAWONIR KĘDZIERSKI

&

AMBER

Redakcja stylistyczna Anna Tłuchowska

Korekta

Barbara Cywińska

Renata Kuk

Zdjęcie na okładce Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber Jacek Grzechulski

Druk

Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału The Guards

Copyright © 2001 by Ken Bruen.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3473-1

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13, 620 81

62

www.wydawnictwoamber.pl

:

To prawie niemożliwe zostać wyrzuconym z Garda Siochana. Trzeba się naprawdę do tego przyłożyć. Dopóki nie zostaniesz kompletnym wyrzutkiem społecznym, będą tolerowali niemal wszystko.

Wyczerpałem katalog. Liczne

ostrzeżenia

nagany

ostatnie szanse

zawieszenia i wciąż nie zdradzałem oznak poprawy.

Albo raczej wytrzeźwienia. Nie zrozumcie mnie źle. Pomiędzy gardai a alkoholem istnieją długie, niemal miłosne relacje. Prawdę mówiąc, garda abstynent w policji i poza nią jest traktowany podejrzliwie, o ile nie wręcz z pogardą.

Mój przełożony w ośrodku szkoleniowym oznajmił:

- Wszyscy lubimy duże piwko. Szmery i potakiwania wśród kursantów.
- A ludzie lubią to, że lubimy duże piwko. Coraz lepiej.
- Ale nie lubią popaprańców.

Przerwał, żebyśmy mogli rozsmakować się w żarciku. Wymówił to tak jak w Louth:

„poabrantów”.

Dziesięć lat później byłem już po trzeciej naganie. Szef wezwał mnie i zasugerował, że potrzebna mi pomoc.

- Czasy się zmieniły, synu. Teraz są programy walki z uzależnieniem, ośrodki dwunastoetapowe, wszelkiego rodzaju wsparcia. Pobył na odwyku to już nie powód do wstydu. Znajdujesz tam i księży, i polityków.

Miałem ochotę powiedzieć: „I to ma być motywacja!”

Ale poszedłem. Kiedy mnie wypuścili, przez jakiś czas byłem czysty, ale powoli znowu zacząłem pić.

Garda rzadko kiedy dostaje przeniesienie do miejsca, skąd pochodzi, ale uważano, że moje miasto rodzinne dobrze na mnie wpłynie.

Służba w przeraźliwie zimny lutowy wieczór. Ciemno jak cholera. Obsadzamy pułapkę na ścigantów na przedmieściu. Dyżurny podoficer przestrzegł:

- Mam mieć wyniki, bez wyjątku.

Moim partnerem był facet z Roscommon - Clancy. Sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go moje picie. Miałem termos kawy z brandy, z przewagą tej ostatniej. Dobrze wchodziła.

Za dobrze.

To była nudna służba. Zdążyło się rozejść, gdzie jesteśmy. Kierowcy w podejrzany sposób przestrzegali prędkości. Clancy westchnął i powiedział:

- Wiedzą o nas.

- Jasne.

Nagle przeleciał koło nas mercedes. Na radarze skończyła się skala. Clancy wrzasnął:

- Jasna cholera!

Miałem samochód na biegu i wystartowaliśmy. Clancy odezwał się z miejsca pasażera:

- Jack, zwolnij. Chyba możemy o nim zapomnieć.

- Co takiego?

- Tablica... widzisz tablicę?

- Tak i co?

- To rządówka.

- To cholerny skandal.

Syrena wyła, ale merc zjechał na pobocze dopiero po dobrych dziesięciu minutach. Kiedy otwierałem drzwi, Clancy złapał mnie za ramię.

- Jack, tylko dyskretnie.

- Dobra.

Zastukałem w okno po stronie kierowcy. Nie spieszył się z jego opuszczeniem. Zapytał z ironicznym uśmiechem:

- Gdzie się pali?

- Wyłaź.

Zanim zdążył odpowiedzieć, z tylnego siedzenia wychylił się mężczyzna

- O co chodzi?

Poznałem go. Polityk z górnej półki.

- Pański kierowca zachowywał się jak wariat - powiedziałem.

- Masz w ogóle pojęcie, z kim rozmawiasz? - zapytał.

- Tak, z zasrańcem, który bzyka pielęgniarki. Clancy próbował mnie powstrzymać.

- Jack, weź na wstrzymanie - szepnął.

Polityk wysiadł z samochodu i ruszył do mnie. Oburzenie aż się z niego wylewało.

- Ty bezczelny szczeniaku! - wrzeszczał. - Wywalę cię z pracy. Wiesz, co się stanie?

- Świetnie wiem, co się stanie - powiedziałem. I wyrznąłem go w zęby.

BEZ NADZORU

W Irlandii nie ma prywatnych detektywów. U Irlandczyków to nie przejdzie. Ten fach niebezpiecznie kojarzy się ze znieprawionym słowem „informator”. Niemal wszystko ujdzie ci tu na sucho poza kablowaniem.

Zacząłem od poszukiwań. Niezbyt to trudne zajęcie, wymaga jedynie cierpliwości i dzikiego uporu. Ten ostatni był moim najsilniejszym punktem.

Nie obudziłem się pewnego ranka z krzykiem: „Bóg chce, żebym szukał!” Chyba mało Go to obchodziło.

Istnieje Bóg, ale istnieje też jego irlandzka wersja. Ten ostatni nie musi być taki odpowiedzialny. Co nie znaczy, że się nie interesuje, nie, ale nie powinno się zwracać Mu głowy.

Ze względu na moje wcześniejsze zajęcie uważano, że mam dojścia. Że wiem, jak wszystko działa. Po jakimś czasie ludzie mnie szukali, prosili o pomoc.

Miałem szczęście i znajdowałem rozwiązania. Na fałszywych przesłankach zaczęła powstawać jakaś tam reputacja. Ale najważniejsze, że byłem tani.

Gogan's nie jest najstarszym pubem w Galway. Jest najstarszym niezmiennym pubem w Galway.

O ile wszystkie inne stały się

uniseksowe

niskokaloryczne

karaoke

zbyt bajeranckie ten pozostał wierny swojej postaci sprzed pięćdziesięciu lub więcej lat.

Podstawowej. Ze sopluczkami i z podłogą pokrytą trocinami, z twardymi stołkami i najprostszym asortymentem. Zapotrzebowania na

gorzały

koktajle

breezery jeszcze nie przyjęto tu do wiadomości.

To poważne miejsce na poważne picie. Bez bramkarzy ze słuchawkami w uchu przy drzwiach. Pub, który niełatwo znaleźć. Idzie się Shop Street, mija Garavan, skręca w mały zaułek i jest się na miejscu. Nie pije się za friko, ale za to bez ograniczeń.

Lubię go, ponieważ to jedyny pub, do którego nie zabroniono mi wstępu. Nigdy, ani razu.

Bar nie ma ozdóbek. Na poplamionym lustrze wiszą dwa skrzyżowane kije do irlandzkiego hokeja na trawie. Nad lustrem trzy ramki. Papież, święty Patryk i John F. Kennedy. JFK jest pośrodku.

Irlandzcy święci.

Kiedyś środkowe miejsce zajmował papież, ale po soborze watykańskim został zdegradowany i wyrzucony na lewicę.

Niebezpieczne miejsce.

Nie wiem, który to papież, ale wygląda jak wszyscy inni. Mało prawdopodobne, aby szybko odzyskał dawną, centralną pozycję.

Sean, właściciel pubu, który pamięta młodego Cliffa Richarda, powiedział mi.

- Cliff był angielskim Ehdsem. Koszmarny pomysł.

Grogan's był moim biurem. Siedziałem tu przez większość ranków i czekałem, aż świat zastuka do moich drzwi. Sean przynosił mi kawę. Z wlaną do środka miarką brandy - „żeby złamać goryczkę”.

Niekiedy wydaje się tak słaby, że obawiam się, że nie zdoła zrobić tych kilku kroków do mojego stolika.

Filizanka grzechocze na spodeczku jak zwiastun najgorszych ze złych wieści. Mówię mu:

- Używaj kubka.

Jak zawsze jest zgorszony.

- Mamy swoje zasady! - odpowiada.

Kiedyś, gdy Sean dygotał w jednym rytmie z filizanką, zapytałem:

- Pójdiesz kiedyś na emeryturę?

- Przestaniesz kiedyś pić?

No i dobrze.

Kilka dni po powrocie z Cheltenham siedziałem przy moim stoliku. Wygrałem parę funciaków na Champion Hurdle i jeszcze ich nie przepuściłem. Czytałem „Time Out”. Kupuję go prawie co tydzień. Przewodnik po Londynie mówi o prawie każdym wydarzeniu w stolicy.

Mój plan.

O tak, mam go. Mało co jest bardziej mordercze niż pijaczek z planem. A ten był mój.

Zbiorę co do pensa swoją forszę, pożyczę resztę, a potem pojedę do Londynu.

Wynajmę fajne mieszkanie w Bayswater i poczekam.

Otóż to. Tylko poczekam.

To marzenie dopadało mnie w wiele koszmarnych poniedziałków.

Sean przygrzechotał do mnie, postawił kawę i zapytał:

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Wkrótce.

Coś tam zamruczał.

Upiłem łyk kawy, zapiekła mnie w podniebienie. Idealna.

Wtórna eksplozja brandy rozpaliła mi dziąsła, zakołysała zębami. Chwile przed upadkiem.

W Walk

Raj w pigułce.

J.M. O'Neill napisał w Martwej kacze, że brandy daje ci oddech, a potem go odbiera. Więcej, trzeba wstawać coraz wcześniej, żeby przed otwarciem knajp doprowadzić się do stanu trzeźwości.

Spróbuj wyjaśnić to komuś, kto nie ma problemu.

Jakaś kobieta weszła, rozejrzała się i podeszła do baru. Żałowałem, że nie jestem w lepszej formie. Pochyliłem głowę i usiłowałem wykorzystać swoje talenty dedukcyjne. Albo raczej spostrzegawczość. Zerknąłem na nią tylko raz. Co mógłbym sobie przypomnieć? Płowy płaszcz do pół łydki, drogi fason. Brązowe włosy do ramion. Makijaż, ale bez szminki.

Głęboko osadzone oczy nad małym nosem. Ładna, ale bez przesady. Praktyczne pantofle z dobrej brązowej skóry.

Wniosek: poza zasięgiem. Rozmawiała z Seanem, a on wskazał na mnie. Kiedy podeszła, podniosłem głowę.

- Pan Taylor? - zapytała.

- Tak.

- Możemy zamienić kilka słów?

- Jasne, proszę usiąść.

Z bliska była ładniejsza, niż mi się wydało. Linie wokół jej oczu były głębokie. Uznałem, że ma pod czterdziestkę.

- Mogę zamówić pani drinka? — zaproponowałem.

- Barman robi mi kawę.

Czekaliśmy, a ona oglądała mnie dokładnie. Wcale nie ukradkiem, ale otwarcie, bez udawania. Sean przyszedł z kawą i... niesamowite, z talerzykiem kruchych ciasteczek.

Spojrzałem na niego.

- Pilnuj swojego nosa — powiedział. Kiedy odszedł, odezwała się:

- Jest taki wady.

Bez zastanowienia palnąłem coś okropnego.

- On? Pochowa nas oboje. Drgnęła, jakby chciała zrobić unik.

- Czego pani chce? - spytałem obcesowo. Opanowała się i oznajmiła:

- Potrzebuję pańskiej pomocy.

- Jakiej?

- Powiedziano mi, że pomaga pan ludziom.

- Jeżeli mogę.

- Moja córka... Sarah... ona... w styczniu popełniła samobójstwo. Miała dopiero szesnaście lat.

Wydałem odpowiednie pełne współczucia dźwięki.

- Nie wierzę, że mogłaby... się zabić... ona...: po prostu nie mogłaby.

Postarałem się nie westchnąć. Uśmiechnęła się gorzko i dodała:

- Rodzice zawsze tak mówią... prawda? Ale potem coś się zdarzyło.

- Potem?

- Tak, zadzwonił mężczyzna. Powiedział: „Została utopiona”. To mnie walnęło. Próbując dojść do siebie, spytałem:

- Co takiego?

- Tak właśnie powiedział. Nic więcej, tylko te dwa słowa. Zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak się nazywa.

- Ann... Ann Henderson.

Jak bardzo zostałem w tyle? Pora zwiększyć obroty. Łyknąłem wzmocnionej kawy.

- Pani Henderson... - powiedziałem, żeby po prostu coś zrobić. -Ja...

- Nie jestem mężatką. Ojciec Sarah zostawił nas dawno temu. Miałyśmy tylko siebie...

dlatego nigdy... nie zostawiłaby mnie... samej.

- Annie, kiedy zdarza się taka tragedia, wyłażą z nor różne świry i czubki. To dla nich jak wabik. Żerują na cierpieniu.'

Przygryzła dolną wargę, a potem uniosła głowę.

- On to wiedział - oznajmiła.

Pogrzebała chwilę w torebce i wyjęła grubą kopertę.

- Mam nadzieję, że to wystarczy. Oszczędzałyśmy na wycieczkę do Ameryki. Sarah wszystko zaplanowała.

Potem obok forsy położyła zdjęcie. Udawałem, że się mu przyglądam.

- Spróbuj pan?

- Nie mogę niczego obiecać.

Wiedziałem, że jest mnóstwo rzeczy, które powinienem, mogłem, musiałem powiedzieć. Ale nie zrobiłem tego.

- Dlaczego jest pan pijany? - spytała. To mnie niemile zaskoczyło.

- A uważa pani, że mam wybór?

- To bzdura.

Byłem trochę zły, nie do końca, ale poirytowany.

- Dlaczego chce pani, żeby... pijak... pani pomógł? Wstała i spojrzała na mnie twardo.

- Mówią, że jest pan dobry, bo nie ma pan w życiu niczego poza tym.

I odeszła.

...szybko reaguje na postawione zadanie.

Ocena kwalifikacyjna

Mieszkam nad kanałem. Ale o rzut beretem od uniwersytetu. W nocy lubię siedzieć i słuchać

wrzasków studentów.

Rzeczywiście się drą.

To mały stary dom, dwa pokoje na górze, dwa na dole. Właściciel zrobił z tego dwa mieszkania. Mieszkam na parterze. Na piętrze Linda, urzędniczka bankowa. Dziewczyna z prowincji nauczyła się tego, co najgorsze w miejskim życiu - rodzaju wyrachowanego cwaniactwa.

Jest przystojna, ma trochę ponad dwudziestkę. Kiedyś, kiedy zapomniała klucza, otworzyłem jej zamek. Ośmielony zaproponowałem:

- Masz ochotę wyskoczyć wieczorem?

- Nigdy nie łamię złotej zasady.

- Jakiej?

- Nie umawiać się z pijaczkami.

Jakiś czas potem złapała gumę i zmieniłem jej koło w samochodzie.

- Posłuchaj. Tamtym razem... byłam nie w porzo... Nie w porzo!

Wszystko jest pseudoamerykańskie w najgorszym stylu.

Wstałem z rękami umazanymi smarem i czekałem. Brnęła dalej:

- Nie powinnam powiedzieć, no wiesz... tej paskudnej rzeczy.

- Zapomnij o tym.

Przebaczenie uderza do głowy. Ogłupia.

- To co, chciałabyś pójść coś przegryźć?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Jesteś za stary.

Tego wieczoru zakradłem się po ciemku i przebiłem jej oponę.

Czytam. Czytam bardzo dużo. Pomiędzy okresami grzania biorę się do słowa drukowanego.

Czytam najczęściej kryminały. Ostatnio skończyłem autobiografię Dereka Raymonda Ukryte akta.

Mocna rzecz.

To jest gość.

Fakt, że gorzała ostatecznie go załatwiła, był dodatkową więzią. Nad lustrem w łazience umieściłem jego:

„Istnienie jest niekiedy tym

co obserwator artyleryjski widzi

przez lornetę na stanowiskach wroga.

Odległy i niepokojący widok

widziany nagle ostro z obfitością obscenicznych szczegółów".

Każdym drinkiem usiłowałem zniszczyć właśnie owe obsceniczne szczegóły. Ale są wyryte w mojej duszy, cuchnące i obrzydliwe. Żadne sztuczki ich nie wykasują.

Bóg świadkiem, że próbowałem. Od zgonu ojca przez większość czasu mam szmergla na punkcie śmierci. Niosę ją w sobie jak na wpół zapomnianą pieśń.

Filozof Rochefoucauld napisał, że śmierć jest jak słońce. Nikt nie może patrzeć na nią wprost.

Przegryzałem się przez książki o śmierci.

Sherwin Nuland — Jak umieramy

Bert Keizer - Taniec z panem Ś

Thomas Lynch — Usługi pogrzebowe.

Nie wiem, czy szukałem

odpowiedzi

otuchy

zrozumienia

Nie znalazłem.

Powstała we mnie rana, która wciąż się nie zasklepia. Po pogrzebie ksiądz powiedział:

„Ból minie".

Chciałem wrzasnąć: „Pieprzę, nie chcę, żeby minął. Chcę, by był przy mnie, żeby nie pozwolił zapomnieć".

Mój ojciec był uroczym człowiekiem. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, nagle przesuwał wszystkie meble w kuchni. Krzesła, stół wędrowały pod ścianę. A potem brał matkę za rękę i tańczyli po całej kuchni. Śmiech brzmiał w jej głosie, kiedy wołała:

-Jahuuu!

Bez względu na to, co się działo, mówił:

„Dopóki tańczyszjesteś do przodu”.

Robił to, jak długo mógł.

Nigdy nie tańczę.

Umarłe dzieci nie dają

nam wspomnień,

dają nam sny,

Thomas Lynch *Usługi pogrzebowe*

Poszedłem na grób zmarłej dziewczyny. Pochowali ją na cmentarzu Ragoon. Tam, gdzie leży martwy kochanek Nory Barnacle.

Nie potrafię wyjaśnić, czemu chciałem go zobaczyć. Grób mojego ojca jest na małym pagórku. Byłem zbyt złachany, żeby powiedzieć mu „cześć”. Czuję się, jakbym przemykał

się obok. Są dni, kiedy jego stratę czuję zbyt boleśnie, by powiedzieć „cześć”.

Sarah Henderson była pochowana niedaleko wschodniego muru. W jednym z niewielu miejsc, na które padało słońce. Na prowizorycznym krzyżu był napis:

„Sarah Henderson”

Nic więcej. Powiedziałem:

- Sarah, zrobię, co będę mógł.

Przed bramą znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do Cathy B. Po dziewiątym dzwonku usłyszałem:

- Czego?

- Cathy... co to za maniery.

- Jack? -Tak.

- Jak się masz?
- Jestem koło cmentarza.
- Dobrze, że nie na.
- Możesz odwalić robótkę?
- No jasne, bardzo potrzebuję na chlebek. Wyjaśniłem jej sytuację, podałem szczegóły.
- Pogadaj z jej kolegami ze szkoły, chłopakiem...
- Nie ucz mnie mojej roboty.
- Przepraszam.
- I słusznie. Odezwę się za kilka dni.

Pstryk.

Chyba rok temu późną porą wracałem nad kanałem do domu. Po północy tu się dzieje. Kluby pijaczków, ćpuny, ekowojownicy, kaczkę i regularne świry. Doskonale tu pasują.

Jakiś cudzokrajowiec zaproponował, że sprzeda mi swój płaszcz, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Kiedy doszedłem do końca kanału, zobaczyłem dziewczynę klęczącą przed facetem. Przez krótką pomroczną chwilę pomyślałem, że robi mu loda. Ale zobaczyłem, jak jego ręka unosi się do góry i spada z trzaskiem na jej głowę. Podszedłem od tyłu i przywaliłem mu łokciem w kark.

Poleciał na balustradę. Twarz dziewczyny była podrapana, na policzku już pojawił się siniak.

Pomogłem jej wstać.

- Zabije mnie - powiedziała. Przyłożyłem mu łokciem jeszcze raz.

- Urg... gh - wystękał.

- Nie przypuszczam — uznałem. A potem zapytałem:

- Możesz iść?

- Spróbuję.

Złapałem gościa za koszulę.

Do góry

raz

dwa

i orbitowanie

A teraz niech jego ciężar wrzuci go do kanału. Kiedy otwierałem drzwi do mieszkania, słyszałem wrzaski w wodzie.

- Chyba nie umie pływać - powiedziała.

- A kogo to obchodzi?

- Nie mnie.

Zrobiłem morze grzanej whisky. Tony cukru Goździki Galon whisky Włożyłem jej szklanke w dłoń i powiedziałem:

— Wlej to w siebie. Włóż.

Wrzuciłem Lone Star do odtwarzacza i odpaliłem Amazed.

— To country? - spytała.

— Jasne.

— Gówniane.

— Wypij, będziesz to olewać.

Dobrze się jej przyjrzałem. Włosy w kółkach, kołki w brwiach, nakładany kielnią czarny makijaż. Gdzieś pod tym wszystkim była ładna dziewczyna. W wieku szesnastu albo trzydziestu sześciu lat. Wymowa londyńska osłabiona nieco irlandzką modulacją. Brzmiało to tak, jakby wciąż chciała mówić tak, jak według Angoli mówią Irlandczycy.

To, że nigdy tego nie zrobiła, jest jej wielką zasługą.

Nic dziwnego, że ją polubiłem.

Na lewym przedramieniu miała całe stado ciężkich srebrnych bransolet. Nie za bardzo zasłaniały ślady.

- Kłusaś się - powiedziałem.

- A ty co, Stary Bill jesteś?

- Kiedyś byłem.

- Co?

- Kiedyś byłem gliną.

- O cholera.

Tak poznałem Catherine Bellingham. Przywiało ją do Galway z kapelą rockową, która grała kawałki Black Box. Grupa się rozpadła, ona została.

- Śpiewam - oznajmiła.

Bez żadnego wstępu zaczęła Troy. Bez akompaniamentu to był trudny kawałek. Nigdy nie byłem zapalonym fanem Sinead CConnor, ale słysząc dziewczynę, zmieniłem zdanie.

Cathy zrobiła z tego ponuro piękną elegię. Zaskoczony, uniosłem drinka pod światło.

- Mocna rzecz.

Natychmiast zaczęła A Woman's Heart.

Tak, ocenę Mary Black też trzeba będzie przemyśleć na nowo.

Zupełnie jakbym nigdy dotąd nie słyszał tych piosenek.

- Dobra jesteś— powiedziałem potem.

- Jestem, no nie?

Nalałem jeszcze i oświadczyłem:

- Za piękno. Nie tknęła drinka.

- Nigdy nie śpiewałam następnej piosenki, ale jestem pijana, więc...

To było No Woman, No Cry.

Jestem pijakiem, takie uczucia mam we krwi. Słuchając jej, miałem ochotę na mocną kawę. Z

drugiej strony czułem się jakbym sobie łyknął. Ale nie wiedziałem co. Cathy urwała i powiedziała:

- To wszystko, przedstawienie skończone. Odezwałem się bez zastanowienia.

- Nikt nie śpiewa tak czystym głosem jak ci, którzy żyją na dnie piekła.

Kiwnęła głową.

- Kafka.

- Kto?

- To on powiedział.

- Znasz go?

- Znam piekło.

LAMENT

W Irlandii powiadają: „Jeżeli chcesz pomocy, idź do policjantów -jeżeli nie chcesz pomocy, idź do policjantów”.

Poszedłem.

Od kiedy mnie wywalono, co kilka miesięcy otrzymywałem taki list:

„Ministerstwo Sprawiedliwości

A Chara,

Zgodnie z warunkami pańskiego wymówienia wymagany jest zwrot całej własności należącej do rządu.

Artykuł 59347A o mundurze i wyposażeniu. Zwrócono nam uwagę, że nie zwrócił Pan przedmiotu 8234 — regulaminowego uniwersalnego płaszcza policyjnego.

Jesteśmy przekonani, że szybko zwróci Pan rzeczony przedmiot.

B. Finnerton"

Zgniotłem najnowszy i rzuciłem go przez pokój. Chybiłem. Na zewnątrz lało jak z cebra, kiedy opatulałem się w przedmiot 8234. Pasował jak złoto.

Jedyna więź z moim byłym zawodem. Czy go zwrócę? Takiego.

Mój były kolega, Clancy z Roscommon, awansował. Stałem przed koszarami Garda i zastanawiałem się, jak mnie przywita.

Wziąłem głęboki oddech i wszedłem. Policjant, mniej więcej dwunastoletni, zapytał.

- Słucham pana? Jezu, ale jestem stary.

- Czy mógłbym się zobaczyć z garda Clancym? Nie jestem pewien, jaki ma stopień.

Młodziak wytrzeszczył oczy.

- Komisarz Clancy?

- Właśnie. Nagłe podejrzenie.

- Jest pan umówiony?

- Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Jack Taylor. Zastanawiał się, a potem:

- Sprawdź. Niech pan tu poczeka. Poczekalem.

Przeczytałem tablicę ogłoszeń. Na niej gardai sprawiali wrażenie przyjaznej, niefrasobliwej instytucji. Wiedziałem lepiej. Młodziak wrócił i oznajmił:

- Komisarz spotka się z panem w pokoju przesłuchań B. Przepuszczę pana.

Zrobił to.

Pokój był pomalowany na jaskrawożółty kolor. Stół, dwa krzesła. Usiadłem na tym dla podejrzanego. Zastanawiałem się, czy zdjąć płaszcz, ale mogliby mi go zabrać. Nie zdjąłem.

Otworzyły się drzwi i wszedł Clancy. Całkiem inne zwierzę niż to, które pamiętałem. Zrobił się, jak powiadają, korpulentny. A mówiąc nieelegancko, tłusty. Jak przystało komisarzowi.

Twarz miał rumianą, policzki obwisłe.

- Jasny gwint - powiedział. Wstałem.

- Panie komisarzu. Spodobało mu się.

- Siadaj, człowieku - rzucił. Usiadłem.

Zrobiliśmy sobie przerwę, żeby się zbadać, ocenić. Żaden z nas nie był zachwycony tym, co widział.

- Co mogę dla ciebie zrobić, chłopie?

- Potrzebuję trochę informacji. -Aha.

Powiedziałem mu o dziewczynie, o prośbie jej matki.

- Słyszałem, że zostałeś kimś w rodzaju nedorobionego prywatnego detektywa - stwierdził.

Nie miałem na to odpowiedzi, skinąłem więc głową.

- Spodziewałem się, że stać cię będzie na coś więcej, Jack.

- Więcej niż co?

- Żerowanie na nieszczęściu biednej kobiety.

Zabolało, bo było bliskie prawdy. Wzruszył ramionami i powiedział:

- Pamiętam sprawę. To było samobójstwo. Wspomniałem o telefonie, a on westchnął z niesmakiem.

- Pewnie sam zadzwoniłeś. Wykonałem ostatnie podejście i zapytałem:

- Mógłbym zobaczyć akta?

- Nie bądź zupełnym idiotą... i wytrzeźwiej.

- Czyli nie?

Wstał, otworzył drzwi, a ja usiłowałem znaleźć jakiś błyskotliwy tekst na wyjście. Nie znalazłem. Kiedy czekałem, żeby mnie wypuścili, rzucił:

- Nie zacznij być kłopotliwy, Jack.

- Już jestem.

Poszedłem do Grogan's. Pocieszałem się, że nie zabrali mi płaszcza. Sean stał za barem.

- Kto ci zjadł ciastko? - zapytał.

- Odwał się.

Podszedłem wściekły do swojego stałego miejsca i klapnąłem na krzesło. Po chwili Sean przyszedł z dużym piwem i popitką.

- Zakładam, że nadal pijesz - stwierdził.

- Pracowałem... Jasne?

- Nad sprawą?

- A nad czym innym?

- Boże, dopomóż tej biednej kobiecie.

Później, kiedy drink zaczął już działać, powiedziałem Seanowi:

- Przepraszam, jeżeli byłem trochę rozdrażniony.

- Trochę?

- Presja, presja źle na mnie działa. Przeżegnał się.

- Dzięki Bogu! Tylko to?

Kiedy prywatny detektyw

wyjaśnił zbrodnię?

Nigdy!

Ed McBain

Niektórzy ludzie żyją, jakby grali w filmie. Sutton żyje, jakby grał w złym filmie.

Powiadają, że różnica między jednym przyjacielem a żadnym jest nieskończona. Kupuję to.

Albo że żadnego człowieka, który ma przyjaciela, nie można uważać za nieudacznika. Muszę to kupić.

Sutton jest moim przyjacielem. Jako młody garda służyłem na granicy. Nużące zajęcie w deszczu. Tęskniło się do strzelaniny. A dostawało się zimną kielbasę i frytki w blaszanym baraku.

Rozrywką był pub.

Piłem w nazwanej z wyobraźnią Gospodzie Granicznej. Kiedy przyszedłem pierwszy raz, barman oznajmił:

- Jesteś nagrzany.

Roześmiałem się, bo prawie dorobiłem się odmrożeń.

- Jestem Sutton - przedstawił się.

Wyglądał jak Alex Ferguson. Nie jego młodsza wersja, ale wrzeszczący showman w dniach potrójnej chwały.

- Dlaczego jesteś policjantem? - spytał.

- Na złość ojcu.

- Nienawidzisz starego, prawda?

- Nie, kocham go.

- Trochę jesteś poplątany, wiesz?

- To była próba, sprawdzenie, czy będzie chciał mnie powstrzymać.

- Próbował?

- Nie.

- No to możesz się zwijać ze służby.

- Ale teraz trochę to polubiłem.

W czasie miesięcy służby na granicy piłem u Suttona ostro. Pewnego razu pojechaliśmy na tańce do South Armagh. Zapytałem Suttona:

- Czego będę potrzebował?

- Karabinka Armalite.

Kiedy jechaliśmy na tańce, miałem na sobie przedmiot 8234 i Sutton się zainteresował:

- Zdejmiesz ten płaszcz do tańca?

- Może.

- I jeszcze jedno. Nie odzywaj się.

- Co?

- To bandycki kraj. Twoje miękkie samogłoski mogą nas wpakować w kłopoty.

- To jak mam tańczyć? Podawać paniąkom karteczkę?

- Taylor, to tańce. Chcemy tu pić.

- Powinienem pokazać im moją pałkę.

Wieczór okazał się katastrofą. Cała sala pełna par. Nigdzie żadnej samotnej kobiety.

Odezwałem się do Suttona:

- Wszystkie są z obstawą.

- No jasne, to północ, nie można być zbyt ostrożnym.

- Nie lepiej było po prostu pójść do pubu?

- I stracić tę miłą atmosferę?

Kapela była z epoki przeddyskotekowej. Dziewięciu facetów w niebieskich marynarkach, białych spodniach i więcej trąbek niż w wojsku.

Jakimkolwiek wojsku.

Ich repertuar obejmował Hucklebuck, przeboje Eurowizji, ale osiągał apogeum przy Beach Boys.

Nie macie pojęcia o piekle, jeżeli nie byliście w wilgotnej sali tanecznej w South Armagh, a tłum śpiewa chórem Surfing Safari.

W drodze powrotnej Sutton prowadził po niebezpiecznej szosie, kiedy w lusterku zobaczyłem reflektory.

- O-oo - powiedziałem.

Samochód kilka razy usiłował nas wyprzedzić, ale Sutton mu nie pozwolił. Ostatecznie zgubiliśmy go koło granicy.

- Jak myślisz, kto to był? - zapytałem.

- Źli chłopcy.

- To znaczy?...

- Tacy, którzy jadą za tobą o czwartej w nocy.

To, co pozostaje,

nie zawsze jest gorsze od tego,

ca się porzuciło.

Sutton przeprowadził się do Galway.

- Włączysz się za mną?

- Jasne.

Postanowił zostać artystą.

- Chyba od artystycznego chłania - orzekłem.

Ale miał talent. Nie wiem, czy byłem zachwycony, czy zazdrosny. Pewnie jedno i drugie, i oba uczucia nakręcały się nawzajem w typowo irlandzkim stylu. Jego płótna zaczęły się sprzedawać i uznał, że powinien zachowywać się artystycznie. Kupił wiejski domek w CUfden. Prawdę mówiąc, uznałem, że stał się zupełnym dupkiem.

Powiedziałem mu to.

Roześmiał się.

- To tylko poza. Podobnie jak szczęście, nie potrwa długo. I rzeczywiście.

Po paru miesiącach znowu był sobą. Deszcze w Galway utopia prawie każdy fałsz.

Sutton w najgorszym wydaniu był lepszy niż większość ludzi w najlepszym.

Po spotkaniu z Clancym zadzwoniłem do Suttona.

- Pomocy.

- Co się dzieje, stary?

- Policja!

- Co ci robią?

- Nie chcą mi pomóc.

- Uklęknij i podziękuj Bogu.

Umówiłem się z nim w Grogan's. Kiedy przyszedłem, był pochłonięty rozmową z Seanem.

- Chłopaki! - odezwałem się.

Sean się wyprostował. Niezły wyczyn. Jego kręgosłup wył z bólu.

- Potrzebujesz jakiegoś lekarstwa.

- Potrzebuję cholernego cudu.

A potem spojrzeli na mnie wyczekująco.

- Co jest? - spytałem. Powiedzieli jednocześnie:

- Zauważyłeś coś nowego?

Rozejrzałem się. Ten sam stary pub, kilku smutnych, przejętych pijaczków przy barze, przykutych do swoich kufla nieistotnymi już marzeniami. Wzruszyłem ramionami. A to niełatwe dla czterdziestopięcioletniego faceta.

- Ślepy jesteś, spójrz, gdzie wisiały kije do hokeja.

Obraz Suttona. Podszedłem bliżej. Była na nim blondynka, stojąca na pustej ulicy. Równie dobrze mogła to być Galway Bay. Jeden z pijaczków oświadczył:

- Wolałem kije.

- Ma talent, prawda? - stwierdził Sean. Zrobił nam kawę wzmocnioną

i

niewzmocnioną

- Miałem wystawę w Kenny's. Ten obraz wyceniono na pięćset gwinei.

- Gwinei!

- Tak, nie da się uniknąć odrobiny klasy. Podoba ci się?

- To Galway Bay?

- Nie, to Blondynka na rogu ulicy.

- Aha...

- Powieść kryminalna napisana w 1954 przez Davida Goodisa. Uniosłem rękę.

- O warsztacie pogadamy później. Uśmiechnął się.

- Jesteś tępakiem. Opowiedziałem mu o nowej sprawie.

- Statystyka samobójstw irlandzkich nastolatków gwałtownie wzrosła - stwierdził.

- Wiem, wiem, ale coś w tym telefonie do jej matki...

- Jakiś świr.

- Pewnie masz rację.

Szliśmy później po Shop Street. Przed Easons jakaś Rumunka grała na blaszanej fujarce.

Właściwie dmuchała w nią bez przerwy. Podszedłem, dałem jej kilka szylingów. Sutton zawołał:

- Chryste, tylko ją zachęcasz.

- Zapłaciłem, żeby przestała. Nie przestała.

Przed Anthony Ryan's ekowojownik zonglował płonącymi pochodniami. Upuścił jedną, ale najwyraźniej go to nie zniechęciło. Garda szedł ku nam wolnym krokiem. Sutton skinął mu głową i policjant zasalutował.

- Panowie.

Sutton spojrzał na mnie dziwnie.

- Brakuje ci tego?

Wiedziałem, o co mu chodzi, ale zapytałem:

- Czego?

- Policji.

Nie wiedziałem i tak też powiedziałem:

- Nie wiem.

Weszliśmy do Kenny's w samą porę, żeby namierzyć kiepskiego złodziejaska sklepowego wtykającego za pasek spodni książkę Patricka Kavanagha. Des, właściciel sklepu, podszedł

posuwistym krokiem.

- Odłóż to. Odłożył.

Przeszliśmy przez parter do galerii. Wystawiono w niej dwa płótna Suttona z umieszczonymi w widocznych miejscach tabliczkami „sprzedane”. Tom Kenny oświadczył:

- Robisz ruch.

Była to najwyższa z możliwych pochwał.

- Możesz dać sobie spokój z codzienną pracą - powiedziałem Suttonowi.

- A co to takiego codzienna praca?

Trudno powiedzieć, któremu z nas bardziej spodobała się ta odpowiedź.

Kilka następnych dni poświęciłem na dochodzenie. Szukałem jakichkolwiek świadków

„samobójstwa”. Nie było żadnego. Rozmawiałem z nauczycielem dziewczyny, kolegami ze szkoły i dowiedziałem się tyle co nic. Jeśli Cathy B. nie znajdzie przekonujących dowodów, sprawa była zakończona.

W piątek zdecydowałem się na odpoczynek. Dwa duże piwa i frytki na wynos. Niestety piwka wyrwały się spod kontroli i poleciały po najwyższej półce. Black bush, zbyt wiele szklaneczek, by pamiętać. Ale wziąłem frytki. Kawałki dorsza nadawały im pozór solidnego jedzenia.

Nic nie poprawia samopoczucia bardziej niż skropione octem frytki. Ich zapach jest jak dzieciństwo, którego nie miałeś. Zbliżałem się do mieszkania w stanie sztucznego błogostanu.

Kiedy podeszedłem do drzwi, pierwszy cios trafił mnie w kark. Potem kop posłał na bruk. Z

jakiegoś wariackiego powodu z całej siły trzymałem frytki. Dwaj faceci. Dwaj wielcy faceci.

Dali mi bardzo profesjonalny wycisk. Mieszanka kopniaków i ciosów, spadających w precyzyjnym rytmie. Bez złośliwości, ale z całkowitym oddaniem. Poczulem, jak łamią mi nos. Przysięgłbym, że słyszałem chrupnięcie. Jeden z nich powiedział:

- Wyprostuj mu rękę i rozłóż palce. Szarpałem się.

Nagle palce miałem rozczapierzone na bruku. Był zimny i mokry. But opadł dwa razy.

Wrzasnąłem na całe gardło. Zrobili swoje. Drugi parsknął:

- Jakiś czas nie będzie się bawił sam ze sobą. Głos tuż przy moim uchu.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Chciałem zawołać:

- Wezwijcie policję.

Kiedy odchodzili, usiłowałem powiedzieć: „Sami kupcie sobie frytki”, ale usta miałem pełne krwi.

te chwile przed łyczkiem,,.

Gorączka pojawiała się i znikła przez cztery dni, w czasie których leżałem w Szpitalu Akademii Medycznej w Galway. Miejscowi nadał nazywają go „regionalnym”. Jeżeli byłeś tam kiedyś, miałeś przechłapanie. A teraz, jeśli się tu znajdziesz, masz szczęście.

Moja dawna sąsiadka mówiła:

„Kiedyś mieliśmy żołądki, ale nie było jedzenia. Teraz mamy jedzenie, ale nie mamy żołądków”.

Albo:

„Loveen, nic nie schnie. Kiedy wspaniale schło, nie mieliśmy ubrań”.

No i dyskutuj z tym.

Ocknąłem się, a egipski lekarz sprawdzał moją dokumentację. Zapytałem:

- Kair?

Uśmiechnął się oziębło i powiedział:

— Wraca pan do nas, panie Taylor. Nie z własnej woli.

Słyszałem szpitalne radio. Gabrielle i Pasę.

Mógłbym zanucić Knocking on Heaven's Door razem z orkiestrą, ale miałem spuchnięte usta.

Czytałem, że kiedy wróciła do muzyki, na wysypisku w Brixton znaleziono głowę ojczyma jej byłego chłopaka.

Podzieliłbym się tą informacją z doktorem, ale wyszedł. Pojawiła się pielęgniarka i natychmiast zaczęła poprawiać mi poduszki. Robią to, kiedy choć przez chwilę zaczyna ci być wygodnie.

Lewą dłoń miałem grubo zabandażowaną.

- Ile złamanych? - spytałem.

- Trzy palce.

- A nos?

Kiwnęła głową, a potem oznajmiła:

- Ma pan gościa. Czuje się pan na siłach?

- Jasne.

Spodziewałem się Suttona albo Seana. Ale to była Ann Henderson. Jęknęła na mój widok.

- Powinnaś zobaczyć tego drugiego - powiedziałem. Nie uśmiechnęła się. Podeszła bliżej i zapytała:

- To przeze mnie?

- Co?

- Czy to z powodu Sarah?

- Nie... niejasne, że nie. Włożyła do szafki papierową torbę.

- Przyniosłam ci winogrona - wyjaśniła.

- A może trochę szkockiej?

- To ostatnia rzecz, której potrzebujesz. W drzwiach pojawił się Sean.

- Święci pańscy.

Ann Henderson pochyliła się, pocałowała mnie w policzek i szepnęła:

- Nie pij. I zniknęła.

Sean doczłapał do mnie.

- Musiałeś wkurzyć jakąś grubą rybę - stwierdził.

- Owszem.

- Czy ktoś wezwał policję?

- To byli policjanci.

- Zgrywasz się.

- Widziałem ich buty. I to z mniejszej odległości niżbym chciał. To chłopaki, bez dwóch zdań.

- Jezul!

Usiadł. Wyglądał gorzej, niż ja się czułem. Potem postawił na łóżku torbę na zakupy i powiedział.

- Uznałem, że to ci będzie potrzebne.

- Coś do picia?

Poczułem się jak zwariowany ksiądz w Ojcu Tedzie. Zacząłem grzebać w torbie: sześć pomarańcz lucozada

pudełko czekoladek Milk Tray dezodorant piżama różaniec Uniosłem do góry różaniec i zapytałem:

- Powiedzieli ci, że jestem aż w tak złym stanie?

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem pół litra whisky.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziałem.

Łyknąłem z butelki. Poczułem, jak whisky szarpie moim połamanym nosem. Odbija mi się od serca i przejeżdża po obolałych żebrach. Westchnąłem.

- Mocna rzecz. Sean przysnął.

- Hej! - krzyknąłem.

Podskoczył. Wydawał się zagubiony i co gorsza, stary.

- Chryste... - powiedział - to przez ten upał. Czemu w takich miejscach musi być jak w piekarniku?

Może pomogły środki przeciwbólowe, ale poczułem się totalnie nawalony.

- Gdzie jest Sutton? — spytałem. Sean odwrócił głowę. Przycisnąłem.

- No co jest?

Opuścił głowę i coś wymruczał.

- Mów głośniej... Nie znoszę jak mamroczesz.

- Był pożar.

- Boże!

- Z nim wszystko w porządku, ale dom spłonął. I obrazy.

- Kiedy?

- Właśnie wtedy. Tej samej nocy, kiedy dostałeś łomot. Pokręciłem głowę. Kiepski pomysł, bo whisky zachlupotała mi za

oczami.

- Co się dzieje? Pojawił się lekarz.

- Panie Taylor, musi pan wypoczywać. Sean wstał i położył mi ręce na ramionach.

- Przyjdę wieczorem — obiecał.

- Nie będzie mnie tu.

Opuściłem nogi z łóżka. Zaniepokojony lekarz oznajmił:

- Panie Taylor, muszę nalegać, żeby wrócił pan do łóżka.

- Wy chodzę... WZL... prawda?

- WZL?

- Wbrew zaleceniom lekarza. Nie ogląda pan Ostrego dyżuru'?

Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale gorzała panowała nad sytuacją. Moja krew łąkała do pienistych kufli guinnessa. Całej pieprzonej defilady kufli. Sean, jakby nosił na twarzy troski świata, poprosił:

- Jack, bądź rozsądny.

- Nigdy nie byłem rozsądny.

Zgodziłem się na taksówkę. Pielęgniarka, która wiozła mnie wózkiem inwalidzkim do wyjścia, stwierdziła:

- Ty idioto.

WILEKIE LŚNIENIE

Zakonnica czytała książkę Patricii Cornwell. Zobaczyła, że zerkam na okładkę i powiedziała:

— Wolę Kathy Reichs.

Nie miałem na to odpowiedzi. W każdym razie uprzejmej. Zapytałem:

— Przyszedłem za wcześnie? Niechętnie odłożyła książkę.

— Jeszcze pół godziny. Może pan pospacerować po terenie. Poszedłem.

Klasztor Świętej Klary leży dokładnie w centrum miasta. Co niedziela o wpół do szóstej jest msza. Zupełnie jakby człowiek cofnął się o pięćdziesiąt lat.

Średniowiecze.

Zapach kadzidła i łacińska liturgia przynoszą niewypowiedzianą ulgę.

Nie wiem, czemu tu przychodzę. Zapytajcie mnie, w co wierzę, a sięgnę po tabelę wyścigów.

W chwili słabości opowiedziałem o tym Cathy B. Od tej pory wciąż mnie dręczy.

— Dlaczego? Przecież jesteś angielską poganką - powiedziałem.

— Jestem buddystką.

— Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Dlaczego, u Ucha, w ogóle chciałyś tam pójść.

- To takie Brideshead*.

- Co?

- W Anglii katolicyzm jest dla wybrańców. Evelyn Waugh, Graham Greene, wszyscy się nawrócili.

Zamęczyła mnie. Teraz zobaczyłem, jak wchodzi do klasztoru. Ostrzegłem ją:

- Ubierz się odpowiednio. Żadnych gotyckich odjazdów.

No więc miała na sobie suknię do ziemi. Doskonałą na bal w Bank of Ireland, ale na mszę?

Potem zobaczyłem jej buty. Doc Martens.

- Glany?!

- Wyglansowałam je.

- Ale są niebieskie.

- Niektóre zakonnice noszą się na niebiesko.

- Skąd wiesz?

- Oglądałam Tajemnicę klasztoru Marii Magdaleny.

Zwróciła uwagę na mój nos, palce w lupkach i uniosła brwi. Opowiedziałem jej.

- Ale odlot - powiedziała.

- Co takiego?

- Uważasz, że przyjdą po mnie?

- Nie ma żadnych „ich”...To przypadek.

- Tak...Jasne. Zadzwoił dzwon.

- Skąd będę wiedziała, co mam robić?

- Rób to co ja.

- No to na pewno nas wykopią.

Wewnątrz, w maleńkim kościółku, było ciepło i przyjaźnie. Cathy złapała kartkę z pieśniami i pisnęła:

- Tu się śpiewa!

- To nie dla ciebie. Myliłem się.

Wierni zaintonowali chóralną pieśń. Najgłośniej słyhać było Cathy. Po mszy zakonnica podeszła, by jej pogratulować i zapytała:

* Chodzi o Powrót do Brideshead Evelyn Waugh, sagę rodzinną o zmierzchu angielskiej katolickiej arystokracji (przyp. tłum.).

- Czy chciałabyś zaśpiewać solo którejś niedzieli? Wtrąciłem się.

- Ona nie jest jedną z nas.

Cathy i zakonnica spojrzały na mnie z zabójczą pogardą. Wycofałem się chyłkiem na zewnątrz.

Przyjechał ojciec Malachy. Kiedy tylko zsiadł z roweru, zapalił papierosa.

- Spóźniłeś się - powiedziałem. Uśmiechnął się i odparł:

- Ale na co?

Malachy był jak Sean Connery, minus opalenizna golf. Nie mógłbym nazwać go przyjacielem. Księża są wierni komuś innemu. Znałem go od dziecka. Spojrzał na moje obrażenia.

- Wciąż pijesz.

- To nie miało z tym związku.

Wyciągnął papierosy. Majory. Zielono-biała paczka. Mocne jak kopniak muła i dwa razy bardziej zabójcze.

- Wciąż palisz - powiedziałem.

- Ja i Bette Davis.

- Ona nie żyje.

- Dokładnie o to chodzi. Popatrzył na dwie zakonnice i dodał:

- Wielkie lśnienie.
- Co takiego?
- Polerowanie. Nikt im w tym nie dorówna. Rozejrzałem się i zapytałem:
- Jak obecnie Kościół traktuje samobójstwo?
- Chcesz nas opuścić?
- Mówię poważnie. Czy nadal obowiązuje „nie może być pochowany w poświęconej ziemi”?
- Strasznie nie jesteś w kursie.
- Czy to odpowiedź?
- Nie, to smutny fakt.

FAKTY

Cathy B. i ja dosłownie „wyszliśmy jeść”. Na Spanish Arch, z chiń-szczyzną na wynos, patrząc na wodę.

- Mam raport - powiedziała. _ Najpierw skończmy żarcie.

- Dobra.

Rzuciłem łabędziom trochę chow mein. Chyba niezbyt im smakowało. Podszedł jakiś pijaczek.

- Daj piątaka - poprosił.

- Dam ci funciaka.

- Byle tylko nie euro.

Wpatrywał się w jedzenie i zaproponowałem mu swoją porcję. Z wielkim ociąganiem wziął ją i zapytał:

- Cudzoziemskie?

- Chińskie.

- Za godzinę znowu będę głodny.

- Ale masz funta.

- I moje zdrowie.

Począł, żeby dręczyć jakichś Niemców. Zrobili mu zdjęcie. Cathy zapytała:

- Czy zanim przekażę ci raport, mogę coś opowiedzieć?

- Zawsze chętnie słucham.

Zaczęła:

— Mój ojciec był podrzędnym księgowym. Znasz ten stary dowcip... „Po czym poznać księgowego ekstrawertyka? Wpatruje się w twoje buty”. W każdym razie pracował bez żadnego awansu, aż doszedł do pięćdziesiątki. Moja matka dręczyła go niemiłosiernie.

Pamiętam, że miał dziesięć garniturów. Wszystkie identyczne i stanowiły nieustanny obiekt gniewu matki. Była, że zacytuje Irlandczyków, „wcieloną diablicą”.

Zawsze był dla mnie dobry i serdeczny. Kiedy miałam dziewięć lat, z powodu picia stracił

pracę. Matka kazała mu się wynosić. Wziął swoje dziesięć garniturów i poszedł mieszkać w tunelach pod stacją Waterloo. Chodził w garniturze, a kiedy się zabrudził, wyrzucał go i wkładał czysty. Kiedy ubrał się w ostatni, wszedł pod pociąg o 9.05 z Southampton.

— Ekspres.

— Nienawidziłam go, naśladując matkę. A potem, kiedy zorientowałam się, kim ona była, zaczęłam go rozumieć. Kiedyś czytałam, że matka Hemingwaya wysłała mu strzelbę, z której jego ojciec popełnił samobójstwo. Moja matka nigdy nie gustowała w wyrafinowanej złośliwości. Po jej śmierci musiałam sprzątnąć jej rzeczy. Znalazłam rozkład przyjazdów pociągów na Waterloo. Być może uznała, że w końcu postarał się zrobić coś szybko.

Płakała. Łzy spływały jej po twarzy i spadały do makaronu z curry z łagodnym płuśnięciem kropli deszczu, padających na szklaną taflę. Otworzyłem naszą jedyną butelkę wina i podałem jej. Machnęła odmownie ręką.

— Wszystko w porządku. Nadał jesteś technicznym debilem?

— Jestem.

— No to opowiem prosto. Wprowadziłam do komputera wiele danych, samobójstwa nastolatków w ostatnim półroczu, i mam dwa trafienia. Słyszałeś kiedyś o Planterze?

— Który robi masło orzechowe?

— Nie. To wielki sklep DIY* na tyłach Edward Square.

— Tam, gdzie jest nowy Dunnes?

* Do It Yourself- Zrób To Sam, sklep dla majsterkowiczów (przyp. tłum.).

- Tak.

- O Jezu, Edward Square! Chodzi mi o to... daj spokój. W samym środku Galway, jak bardzo jest irlandzki?

Spojrzała na mnie i mówiła dalej:

- Trzy samobójstwa trzech dziewczyn, które pracowały tam w niepełnym wymiarze godzin.

- I co?

- To dość dziwne. Właściciel, Bartholomew Planter jest Szkotem. Bogaty jak Pan Lotto.

- Nie widzę związku, Cathy.

- Jest coś jeszcze.

- Dawaj.
- Zgadnij, kto ochrania obiekt.
- Nie wiem.
- Green Guard.
- No i?
- Zatrudniają dorabiających na boku policjantów.
- O.
- Właśnie: „O”.

Wzięła butelkę, napiła się wina i zapytała:

- I co teraz, mądralo?
- Może pójde odwiedzić pana Plantera.
- Pana Forda.
- Forda?
- To on kieruje sklepem.
- Cóż, w takim razie odwiedzę jego. Przez jakiś czas patrzyła na wodę i nagle:
- Chciałbyś się pobzykać?
- Co?
- Słyszałeś.
- Przecież ty masz, ile... dziewiętnaście lat?
- Zamierzasz zapłacić mi za moją pracę?
- Hm... wkrótce.
- W takim razie mógłbyś mnie chociaż przelecieć. Wstałem i powiedziałem:
- Coś jeszcze?
- Oczywiście.

- Co takiego?

- Pan Plańter lubi grać w golfa.

- Nie sędzę, by można to uznać za podejrzone zachowanie.

- Owszem, jeżeli się wie, z kim gra.

- Z kim?

- Z komisarzem Clancym. Poszedłem sobie.

D

I

Y

Miałem zamiar powiedzieć, że włożyłem swój najlepszy garnitur, ale mam tylko jeden.

Kupiłem go w Oxfam dwa lata temu. Jest granatowy, z wąskimi klapami. Sprawia, że wyglądam jak barczysty chłopak. Pamiętacie wideo z Philem Collinsem w trzech rolach. To ten garnitur. Mogę się jedynie modlić, żebym nie wyglądał w nim jak Phil Collins. Jeżeli powiem, że kosztował mniej niż dziesiątaka, zrozumiecie, o co chodzi.

Oczywiście, było to, zanim Oxfam stało się popularne. Miałem białą koszulę, którą pechowo wyprałem razem z granatowym podkoszulkiem. Zachowuję się, jakby był to zamierzony efekt. Poluzowany krawat ma sprawiać wrażenie „panie, mam to w dupie”. Solidne brązowe półbuty. Buty świadczą o człowieku. Wyglansowane, że można w nich zobaczyć własne odbicie.

Obejrzałem się w lustrze. Zapytałem:

- Kupiłbyś samochód od tego faceta?

Nie.

Zadzwoiłem na komórkę Suttona. Włączyła się poczta głosowa i zostawiłem wiadomość.

Idąc przez miasto, usiłowałem czuć się jak obywatel. Nie bardzo mi to wychodziło. Kiedy mijałem opactwo, wszedłem do środka i zapaliłem świeczkę przed świętym Antonim, patronie rzeczy zagubionych. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić go, żeby znalazł mnie samego, ale wydało się to zbyt teatralne. Ludzie przychodzili do spowiedzi i bardzo chciałem móc znaleźć takie oczyszczenie.

Przed opactwem franciszkanin powiedział mi dzień dobry. Okaz dobrego, czerstwego zdrowia. W moim wieku i bez ani jednej zmarszczki. Zapytałem:

- Lubi brat swoją pracę?

- To Boże dzieło.

Dobrze mi tak, po co pytałem. Ruszyłem dalej, na Edward Squ-are. Przeszedłem przez Dunnes i zobaczyłem sześć koszul, na które nie było mnie stać. Z domu towarowego dotarłem do Plantera. Sklep był wielki. Zajmował cały dawny parking. W recepcji zapytałem, czy mógłbym się zobaczyć z panem Fordem. Dziewczyna spytała:

- Jest pan umówiony?

- Nie.

- Zobaczę.

Nie zobaczyła. Zadzwoiła do jego biura i zgodził się mnie przyjąć. Pojechałem windą na piąte

piętro. Gabinet miał skromny i właśnie rozmawiał przez telefon. Machnięciem ręki wskazał mi krzesło. Był niski, łysy, w garniturze Armaniego. Czuło się bijącą z niego kontrolowaną energię. Skończył rozmowę i spojrzał na mnie.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął. Nazywam się Jack Taylor - powiedziałem.

Uśmiechnął się krótko. Drobne żółte zęby. Ekstragarnitur i kiepskie zęby. W uśmiechu nie czuło się ciepła.

- Przedstawił się pan tak, jakby pańskie nazwisko miało coś znaczyć - odparł. - Ale nic mi nie mówi.

Ja też mogłem się uśmiechnąć. Pokazać mu, co może sprawić pasta Ultra-Brite.

- Badam sprawę śmierci Sarah Henderson.

- Jest pan policjantem?

- Nie.

- Spełnia pan jakąś oficjalną funkcję?

- Żadną.

Taki miły ping-pong słowami.

- A więc nie muszę w ogóle z panem rozmawiać? - spytał.

- To sprawa zwykłej przyzwoitości.

Wyszedł zza biurka, sprawdził ostre jak brzytwa kanty spodni i usiadł na skraju blatu. Jego stopy właściwie nie dotykały podłogi. Nosił buty Bally'ego. Aż za dobrze wiedziałem, na co mnie nie stać. Skarpety marki Argyll w odjazdowy wzorek.

- Nie ma żadnego powodu, żebym nie wykopał stąd pańskiego żalostnego tyłka.

Zorientowałem się, że facet lubi mówić i żaden dźwięk nie brzmi słodziej w jego uszach niż własny głos.

- Czy zdziwi pana wiadomość, że trzy dziewczyny, obecnie nieżyjące już dziewczyny, pracowały tutaj?

Klepnął się w kolano.

- A ma pan pojęcie, ile setek personelu przechodzi przez nasze drzwi? Byłbym zdziwiony, gdyby wszyscy mieli żyć wiecznie.

- Czy znał pan tę dziewczynę?

Dopóki nie usłyszałem, jak się śmieje, chyba nie wiedziałem, co naprawdę znaczy sardoniczny śmiech.

- Bardzo w to wątpię - odparł.

- Czy przez wzgląd na jej matkę zechciałby pan sprawdzić? Zeskoczył z biurka, wcisnął guzik interkomu i polecił:

- Panno Lee, proszę wyciągnąć teczkę Sarah Henderson. Usiadł, idealnie zrelaksowany.

- Imponujące - stwierdziłem.

- Interkom?

- Nie. To, że nawet przez sekundę nie musiał pan przypominać sobie nazwiska tej dziewczyny.

- Dlatego właśnie siedzę tu w garniturze za trzy patyki, a pan jest... powiedzmy... w ubiegłorocznym remanencie.

Sekretarka przyniosła cienką teczkę. Ford sięgnął po okulary — oczywiście pince-nez. Wydał z siebie szereg m... mm... mmm hm... mm ach... Potem zamknął teczkę i oznajmił:

- Dziewczyna była obibokiem.

- Kim?

- Wykręcała się od pracy. Musieliśmy ją zwolnić.

- I tyle?

- Właśnie. Niestety, okazała się, jak to nazywamy, odrzutem. Bez żadnej przyszłości.

Wstałem.

- Ma pan absolutną rację. Niewątpliwie nie ma już żadnej przyszłości.

... tak zadowolony z siebie wierzyć — że smutek

ma swoje granice w pełni zbadane.

Sutton zatrzymał się w Skeff. Jak wszystko inne w Galway również i tu zrobiono remont.

Każde wolne miejsce natychmiast jest kupowane pod „luksusowe apartamenty”.

Znalazłem Suttona w barze, nad kuflem guinnessa. W natchnieniu powitałem go:

- Cześć.

Nie odpowiedział, zarejestrował moje nieco zagojone obrażenia i kiwnął głową. Usiadłem na stołku obok niego, dałem znak barmanowi, żeby przy niósł dwa duże i powiedziałem:

- Pamiętasz Córe? Pokręcił głową.

- Wiesz, że nie jestem stąd.

Przyszły kufle i sięgnąłem, żeby zapłacić, ale Sutton oświadczył:

- Dopisz do rachunku.

- Masz tu rachunek?

- Pożytek z bycia artystą... prawdę mówiąc, spalonym artystą. Pomyślałem, że najlepiej wziąć byka za rogi.

- Nie wierzyłem, że mój wycisk i twój pożar wiążą się ze sobą. Albo z czymkolwiek innym.

- A teraz?

- Uważam, że wszystko było zrobione z rozmysłem. Przykro mi...

- Mnie też.

Cisza, dopóki znowu się nie odezwał:

- Powiedz mi wszystko. Powiedziałem.

Trwało to dłużej, niż przypuszczałem, i rachunek urósł. Kiedy skończyłem, orzekł:

- Skurczybyki.

- Gorzej.

- Możesz cokolwiek udowodnić?

- Nic.

Opowiedziałem mu o firmie ochroniarskiej Green Guard i dodałem:

- Zatrudniają policjantów.

- Owszem. Co chcesz zrobić?

- Sprawdzić, czy moi napastnicy tam są.

- A potem?

- Oddać dług.

- Podoba mi się. Wchodzę w to.

- Chciałbym się też zobaczyć z panem Planterem. Tę dziewczynę zabił albo on, albo Ford.

Chcę wiedzieć, jak i dlaczego.

- Planter to bogaty skurwiel.

- O tak.

- Pewnie ma swoje kaprysy. .. - Jasne.

Wypił duży łyk. Zostały mu białe wąsy z piany. Zapytał:

- Myślisz, że lubi obrazy?

- O tak.

- Pozwól, że nad tym popracuję.

- Fajnie.

- Chcesz coś zjeść czy po prostu się nawalić?

- Nawalić się brzmi lepiej.

- Barman!

...lęki co dzień ujawniane,,,

Prawdziwe

Linie godzin

Zabliźnione.

Następnego dnia umierałem. Nie był to zwykły, przeciętny kac, ale kac gigant. Taki, który wrzeszczy: „Zastrzelcie mnie!”

Wypląnąłem na powierzchnię. Wydarzenia do czwartej poprzedniego popołudnia były do odtworzenia. Potem napalm. Wiem, że Sutton i ja skończyliśmy w Ó'Neachtain's.

Pojawiały się migawki:

linę dancing z Norwegami

siłowanie się na rękę z wykidajką

podwójny jack daniels

Zmięte ubranie leżało pod oknem. Resztki późnonocnego jedzenia na wynos zerkały spod krzesła. Wlazłem na frytki i coś, co wyglądało jak lekko zielone skrzydełko kurczęcia.

Chryste!

Wykonałem kilka poważnych pawi. Poranna modlitwa. Stary firmowy rytuał na kolanach przed sedesem.

Twyfords!

Robią wytrzymałe kible.

Wreszcie mój oczyszczony organizm wszedł w rytm spazmatycznych beknięć. Zupełnie jakby usiłował wycisnąć bebechy przez klatkę piersiową. Klatka piersiowa. Dobra nazwa. Brzmi jak nazwa oddziału szpitalnego.

Pragnąłem klina. Jeezu. Pragnąłem klina klinów. Ale to doprowadziłoby do utraty kolejnych dni. A ja miałem wyrzucić zemstę,

schwytać niegodziwców. Drżącymi rękami usiłowałem zwinąć skręta. Sutton dał mi trochę odjazdowych ziółek.

- Z gór Niebieskiego Atlasu, to poważne gówno. Traktuj z szacunkiem.

Nie mogłem zrobić skręta. Podszedłem do kredensu, znalazłem czerstwą wiśniową babeczkę.

Wydłubałem nadzienie. Rozgrzałem hasz na folii i hojną ręką nasypałem do środka.

Wrzuciłem cały pasztet do mikrofalówki i szybko przygrzałem.

Rany, wyglądało to paskudnie. Kiedy piguła wystygła, ugryzłem kęsa. Niezłe. Popijając niewielkimi łykami wody, zjadłem wszystko. Potem usiadłem, żeby przekonać się, gdzie odjadę. Orbita.

Haszowe ciasteczka słyną z kosmicznych podróży. Mogę to potwierdzić.

Ogarnęła mnie wielka błogość. Mój umysł wędrował na paluszkach między tulipanami.

Powiedziałem na głos... ale czy naprawdę?...: „Kocham moje życie”.

To najlepsze świadectwo mojego stanu. Jakiś czas potem poczułem, że mnie ssie w żołądku, i zacząłem się przyglądać zielonemu kurczakowi. Na szczęście z moich niedawnych kampanii ocalała mrożona pizza i ograniczyłem się do niej. W połowie jedzenia zasnąłem. Na sześć godzin. Jeżeli coś mi się śniło, był to Hotel California.

Kiedy się ocknąłem, kac osłabł. Nie zniknął, ale z całą pewnością nie był już wniebogłosy.

Po prysznicu i bardzo, bardzo ostrożnym goleniu podszedłem do półki z filmami wideo. Mam ich niewiele, ale to te najważniejsze dla mnie. Paryż, Teksas Pewnego razu na Dzikim Zachodzie Bulwar Zachodzącego Słońca Podwójna tożsamość Sposób Cuttera Psi żołąd

W 1976 roku Newton Thornberg napisał powieść Cutter i Boneę. Troje zniszczonych życiem weteranów lat sześćdziesiątych mieszka w jednym domu. Cutter - okaleczony fizycznie i psychicznie

uczestnik wojny w Wietnamie. Boneę - unikający powołania do wojska wyrzutek. Mo - matka i cierpiąca na agorafobię alkoholiczka. Badają zabójstwo młodej prostytutki. Wkurzają niewłaściwych ludzi i Mo oraz jej dziecko zostają zabici.

Cutter i Boneę tropią kapitalistę, który ich zdaniem jest za wszystko odpowiedzialny. Cutter według Bone'a

„miał w sobie dzikość rozpacz. Wykluczała możliwość reagowania na wszelkie idee czy sytuacje w jakikolwiek inny sposób poza śmiechem. Jego umysł był domem luster, w którym zniekształcenie odbijało zniekształcenie”.

Cuttera motywują dwie rzeczy:

rozpacz

cynizm

Robert Stone napisał powieść Psi żołąd w 1973 roku. Karel Reisz przeniósł to na ekran w 1978 roku jako Kto zatrzyma deszcz.

Znowu jest o trzech porąbanych ludziach.

Marge, uzależniona od leków. Jej mąż, John Converse, korespondent wojenny, i Hicks, który

przywozi do Stanów narkotyki. John Converse sprzedaje przyjaciela prokuratorowi okręgowemu i uświadamia sobie, że strach jest dla niego wyjątkowo ważny. Z moralnego punktu widzenia jest sensem jego życia. Boję się, więc jestem.

Hicks, ścigany przez oprychów i agentów, umiera w starej jaskini hipisów. Na ścianie jest napis „Nie ma metafor”.

Obejrzałem te filmy od początku do końca i poczułem się tak, jak czuję się całe życie...
popierdolony.

*W mijanych drzwiach zobaczyłem mężczyznę
ubranego w staroświecki garnitur z lat czterdziestych
i biały wielki kapelusz.*

*Kiedy przechodziłem obok, patrzyliśmy na siebie
tak, jak dwie nieufne jaszczurki mogą patrzeć,
kiedy przemykają po jakimś jałowym kamieniu,*

Walter Mosley White Bufierfif

Jedenasta przed południem. Siedzę na ławce na Eyre Square. Niedobitki niedzielnej nocy poruszają się łagodnie. O czwartej, parę godzin przed świtem, jest tu strefa wojny. Kluby i knajpy z fast foodem wypluwają hordy.

Zaczynają się bójk i wrzaski.

Na placu stoi posąg Padraiga Ó Conaire. Ścięli mu głowę. Dwa lata temu, w Boże Narodzenie, tłum podpalił szopkę.

Dalej, koło publicznej toalety, zamordowano młodego chłopaka.

Miasto porusza się drapieźnie. . Do dupy z postępem!

Mam obszarpany egzemplarz Richarda Fariny Down So Long It Seems Like Up To Me w kieszeni marynarki. Zielony, wypłowiwały. Wydanie kieszonkowe, żeby je spalić, jak Robert Ginty w Ekstermi-
natorze. Richard Farina był szwagrem Joan Baez. Pewnie napisałby świetne książki, ale prochy go załatwiły. W głowie mam listę: Jarrell Pavese Plath Jarrel

wyskoczył z wycieczkowca na Karaibach

i Gustaw Flaubert (1849)

„Gdy moje ciało dalej

wędruje,

moje myśli wciąż wracają

i zakopują się w dniach minionych".

Mruknałem półgłosem po irlandzku:

- Och, ochon.

Misjonarka New Age siada na końcu mojej ławki. Piję cappuccino ze styropianowego kubka.

Bez czekoladowej posypki. Nie cierpię tego gówna.

Misjonarka ma około dwudziestu pięciu lat, bransolety na każdym wyobrażalnym miejscu.

Mówi mi:

- Kofeina cię zabije, człowieku. Uznaję, że nie wymaga to odpowiedzi.

- Słyszałeś mnie, człowieku?

- Tak, i co z tego. Przysuwa się nieco bliżej i pyta:

- Skąd te negatywne wibracje?

Ogarnia mnie chmura paczuli. Postanawiam rozwiać jej hipisow-ską pozę.

- Odpierdol się.

- Och, człowieku, emanuje z ciebie bardzo silna wrogość. Kawa mi wystygła i odstawiam ją na ławkę. Dziewczyna pyta:

- Czy w dzieciństwie był w waszym domu czerwony dywan?

- Bo co?

- Według feng shui wywołuje to agresję u dzieci.

- Było linoleum. Brązowe, w odcieniu rzygowin. Już je tam zastaliśmy.

- Aha.

Wstaję, a ona woła:

- Gdzie byłeś, kiedy umarł John?

- W łóżku.

- Mors nigdy nie umrze.

- Niech Bóg broni.

Wynoszę się stąd. Oglądam się i widzę, że trzyma cappuccino nad głową i wysysa resztki.

Strasznie chce mi się sikać i ryzykuję skorzystanie z publicznego kibla. Chwilowo okupuje go niewielki klub pijaczków. Miejsce cieszy się złą sławą od czasu, gdy grasowała tu szajka pedofilów. Prezes pijaczków woła:

- Chcesz się napić? Zawsze chcę, ale odpowiadam.

- Nie, ale bardzo dziękuję.

Mam umówioną rozmowę w Green Guard o wpół do pierwszej, jest więc jeszcze trochę czasu do zabicia. Widzę swoje odbicie w lustrze, włosy mam rozczochrane. Mówię, wychodząc:

- Uważajcie na siebie. Klub odpowiada chórem:

- Boże, pobłogosław.

Niedaleko Quay Street widzę stary zakład fryzjerski. Patrzę na zegarek, obliczam... i wchodzę.

Nie ma klientów. Mężczyzna tuż przed trzydziestką odkłada „Sun” i mówi:

- Jak leci?

- Dziękuję, nieźle.

Natychmiast słyszę angielską wymowę i pytam:

- Czy kiedyś nie nazywało się to Healey's?

- Słucham?

Nie mówi do mnie „szefie”, ale to wisi w powietrzu, na odległość machnięcia grzebieniem.

- Zapomniałem numeru, ale sądzę, że chciałbym numer trzy.

- Jest pan pewien?

- Cóż, Beckham ma numer jeden, a więc zdecydowanie chcę coś wyżej.

Zaprosił mnie na fotel i usiadłem. Bardzo się starałem unikać swojego odbicia.

- Z Londynu? - zagadnąłem.

- Z Highbury.

Miałem ochotę powiedzieć „Highbury Srajbery”, ale wybrałem:

- Wspaniała pogoda.

Muzyka grała głośno i facet wyjaśnił.

- Joy Division... Unknown Pleasures z siedemdziesiątego dziewiątego.

Nawet mi się podobało. Pokręcona mieszanina wdzięku i dzikości przemawiała do mojej wygasłej wrażliwości.

- Jest w porządku - stwierdziłem.

- O tak, kolego, są super. Wie pan, minęło dwadzieścia lat, od kiedy Ian Curtis wypił butelkę szkockiej, obejrzał w telewizji film Wenera Herzoga, włączył album Stooges...

Przerwał. Zapowiadała się puenta i nie mogła być dobra. Trzymając się swojej roli, spytałem:

- A potem?

- Poszedł do kuchni i powiesił się na suszarce do ubrań.

- Chryste.

Facet przestał mnie strzyc i pochylił głowę. Chwila ciszy.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Nie wiadomo. Zaplątał się między rozpadające się małżeństwo a kochankę. Nie miał zdrowia i nie mógł dać sobie rady z wielkim sukcesem kapeli... Żelu?

- A jak pan sądzi?

- Na pana miejscu nałożyłbym.

- Niech pan daje. Zrobił to.

Wychodząc, wręczyłem mu przyzwoity napiwek.

- Bardzo dziękuję - powiedział.

- Nie, to ja dziękuję.

Zadzwoiłem do firmy ochroniarskiej wczesnym rankiem. Podałem fałszywe nazwisko i powiedziałem, że szukam pracy. Zapytano mnie:

- Jakies doświadczenie?

- Byłem w policji.

- Wspaniale.

Chciałem się przekonać, czy ktoś z personelu mnie rozpozna. Potem miałem zamiar działać w zależności od okoliczności. W najgorszym wypadku mogę nawet dostać pracę.

Po drodze wstąpiłem do sklepu muzycznego Zhivago. Jego kierownik, Declan, należał do najrzadszego z rzadkich gatunków, był galwegianem.

- Jak leci? - zapytał.

- W porządku.

- Co się stało z twoimi włosami?

- To strzyżenie numer trzy.

- To kompromitacja. Co masz na nich?

- Żel.

- Widywałem cię tu w lepszym stanie.

- Chcę kupić płytę, może więc skończymy pogaduchy?

- Ale drażliwy! Czego szukasz?

- Joy Division.

Roześmiał się głośno.

- Ty?...

- Chryste, sprzedasz mi płytę czy nie?

- Album składankę... mam tylko to.

- Dobra.

Opuścił parę funtów, uznałem więc, że zapłacił za swoje kpiny. Na zewnątrz wziąłem głęboki oddech.

- Czas na przedstawienie — powiedziałem.

Linda położyła mu dłoń na ramieniu.

- *Wiesz, nic musisz tego robić*

Odwrócił się do niej nieco zdziwiony,

— *Chcieliśmy się zorientować, co zdarzy się potem, prawią?*

- *Zapomniałam - powiedziała Linia - że mnie, wykorzystujesz.*

Jestem pomysłem na film.

Chiii odparł:

- *Wykorzystujemy siebie nawzajem.*

El.in.ore Leonard 'Be Cool

Biura firmy ochroniarskiej znajdowały się na Lower Abbeygate Street. Wszedłem do środka i recepcjonistka poprosiła mnie, żebym poczekał.

- Pan Reynolds przyjmie pana za chwilę.

Zawołała mnie, ledwo usiadłem. W chwili kiedy wszedłem, mężczyzna za biurkiem zareagował z opóźnieniem. Spojrzałem na jego ręce. Kostki palców miał poobijane i pokaleczone. Staliśmy, patrząc na siebie.

- Niespodzianka! - powiedziałem. Wielki facet, same mięśnie, wstał.

- Nie mamy żadnych wolnych miejsc - oświadczył.

- Szkoda. Sądzę, że nadałbym się na oprycha do wynajęcia.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Podniosłem zabandażowane palce.

- O waszej robocie.

Ruszył zza biurka, ale oznajmiłem:

- Sam wyjdę.

Recepcjonistka uśmiechnęła się nieśmiało.

- Co z pracą? - zapytała.

- Praca została dobrze wykonana.

Na zewnątrz wzięłem głęboki wdech. Udowodniłem, że istnieje jakiś związek, ale co mi to dało? Zadzwoiłem do Suttona i opowiedziałem mu.

- Cóż, ruszyliśmy.

- Ale dokąd?

- Powiedziałbym, że do piekła.

- To przynajmniej znajome miejsce.

Wieczorem, po powrocie do domu, zajmowałem się powolnym osuszaniem sześciopaka.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Stała za nimi urzędniczka bankowa Linda, lokatorka z góry.

Weszła do środka.

— Rany boskie, co ci się stało?

— Podrapałem się.

- Pewnie po pijaku.

- Chciałaś czegoś?

- Urządzam dziś wieczorem prywatkę. Będzie paru znajomych.

— Zapraszasz mnie?

— Tak, ale obowiązują pewne zasady.

- Będę.

I zamknąłem drzwi. Ledwo zdążyłem otworzyć nowe piwo, dzwonek rozległ się znowu. Oto zaczyna się prywatka, pomyślałem i otworzyłem drzwi. To była Ann Henderson.

- O - powiedziałem.

— Oczekiwałeś kogoś innego.

— Nie, to znaczy... wejdz.

Miała ze sobą kilka toreb z zakupami.

- Pomyślałam, że przyda ci się porządny posiłek - oznajmiła. - Nie! Wiem, że potrzebny ci solidny posiłek. Ale najpierw daj mi szklankę colady.

- Piña colady?

Spojrzała na mnie niemal z pogardą.

- Ma największą zawartość kofeiny i cukru w szklance.

- Czy szkocka nie podziałałaby tak samo? Kolejne spojrzenie.

Znalazła kuchnię. Niezbyt to trudne zadanie, biorąc pod uwagę, że poza nią były tylko dwa pokoje. Usłyszałem, jak jęknęła.

- O... mój... Boże!

- Przepraszam. Nie miałem czasu posprzątać.

- Chodź tu. Otwieram wino. Poszedłem.

Już rozpakowywała siatki, przestawiała garnki.

- Lubisz spaghetti? - spytała.

- A nie powinienem?

- Jest na obiad.

- Uwielbiam.

Nalała wino i kazała mi się wynosić. Siedziałem w saloniku i kończyłem piwo. Właściwie nie miałem ochoty pić po nim wina, ale pomyślałem: Mam to w dupie. Co jest krótszą wersją modlitwy o święty spokój.

Pół godziny później siedzieliśmy przy stole z górami jedzenia przed sobą.

- Chcesz odmówić modlitwę przed posiłkiem? - spytała.

- Nie zaszkodzi.

- Dzięki ci, Panie, za to jadło i napoje. Kiwnąłem głową.

Staralem się jeść elegancko. Pokręciła głową.

- Jack, nie można jeść spaghetti i wyglądać porządnie. Niech kapie, jedz jak Włoch.

Z przykrością przyznaję, że podobało mi się, jak mówi mi po imieniu. Machnąłem ręką na rozwagę i jadłem jak szatan. Obserwowała mnie.

- Zapomniałam, jaka to przyjemność przyglądać się, jak mężczyzna je — powiedziała.

Nawet wino nie było złe.

- Masz ochotę na prywatkę? - spytałem. - Na górze... moja sąsiadka... nie pochwała mnie, ale myślę, że ją zaskoczysz.

- Dlaczego?

- No cóż, jesteś zaskakującą damą. Wstała i spytała:

- Deser?

- Nie... Najadłem się jak proszę.

Miałem na sobie szarą bluzę z napisem „Aylon”. Litera W sprąła się dawno temu. Wytarte czarne sztruksy i mokasyny Du Barry. Wyglądałem jak z reklamy. GAP retro.

Ann była ubrana w czerwoną bluzę, spłowiełe niebieskie dzinsy i jasne reeboki. Moglibyśmy wystąpić w reklamie kredytów hipotecznych. Ale nic nie powiedziałem.

- Nie uważasz, że nie jesteśmy ubrani na przyjęcie? - zapytała.

- Ale jest nam wygodnie, prawda? Pomyślą, że jesteśmy starą, luzacką parą.

Posmutniała. Zrobiłem to, co zwykle robi się w takich wypadkach. Spytałem:

- Napijesz się jeszcze?

- Dlaczego tyle pijeszjack?

Poczułem, że tracę kontrolę nad wieczorem. Podeszedłem do biblioteczki, wyjąłem jeden tom, przekartkowałem, a kiedy znalazłem zaczytany fragment, podałem jej książkę.

- Przeczytasz to? Przeczytała.

„Zawsze tak samo. Kiedy z tego wychodzisz i rozglądasz się wokół, widok ran zadanych przez ciebie ludziom, którzy troszczą się o ciebie, sprawia, że krzywisz się bardziej niż z powodu tych zadanych samemu sobie. Chociaż niemal wszystko, co zrobiłem, nie wywołuje u mnie żalu ani wyrzutów sumienia, jeżeli istnieje jakiś zakątek dla tych uczuć, to mieści się w tej świadomości. To powinno wystarczyć, by powstrzymać od powrotu, ale rzadko kiedy się to czyni”.

Anthony Lloyd My War Gone By, I Miss It So.

Poszedłem do łazienki, zbadać mój numer trzy. Żel zastygł. Zastanawiałem się nad szybkim umyciem głowy, ale pomyślałem: Pieprzyć to. Kiedy wróciłem, Ann odłożyła książkę i powiedziała:

- To takie smutne.

- Ale czy coś wyjaśnia?

- Sama nie wiem.

Nie chciałem, żeby była smutna.

- Chodźmy na prywatkę.

- Nie powinniśmy czegoś przynieść?

- A nie została butelka wina?

- Masz rację.

Weszliśmy po schodach w kłopotliwej ciszy. Zza drzwi Lindy słychać było muzykę.

Brzmiało to jak James Taylor. Zły znak. Zastukałem. Otworzyła Linda. Była ubrana w długą powłóczystą suknię.

- Przyprowadziłem przyjaciółkę. Zawahała się tylko przez chwilę.

- Cudownie. Wejdźcie - powiedziała. Weszliśmy.

Wszyscy byli ubrani jak spod igły. Kobiety w długich sukniach, faceci w garniturach.

Wyglądaliśmy jak wynajęta pomoc. Ann westchnęła:

- O Boże.

Przedstawiłem jej Lindę. Popatrzyły na siebie, chłodno się oceniając.

- Czym się zajmujesz, Ann?

- Sprzątam biura.

- Rozumiem. Nic podobnego.

Barek umieszczono pod ścianą. Wraz z barmanem. Był w kamizelce i muszce. Wziąłem Ann za rękę i powiedziałem Lindzie:

- Później. Barman się odezwał:

- Dobry wieczór. Co mogę podać?

Ann wzięła białe wino. Udawałem, że nie mogę się zdecydować i w końcu:

- Daj mi podwójną tequilę - poprosiłem.

Ann westchnęła. Mam wrażenie, że barman także, ale cichutko. Zapytał:

- Z cytryną i solą?

- Nie, daruj sobie to gównu.

Ciężka, gruba szklanka. Z przyjemnością zobaczyłem przyklejoną do dna superwytrzymałą metkę:

„Roches

£ 4.99"

Do Ann podszedł jakiś garnitur i zaczął rozwijać towarzyskie talenty. Dołączyłem do nich, kiedy mówił:

- Zanim wyszedłem, w Sky News podano, że w północno-zachodnim Londynie znaleziono ukrzyżowanego człowieka.

- O Boże!

Facet delikatnie położył dłoń na ramieniu Ann.

- Proszę się nie martwić, poinformowano, że jego rany nie zagrażają życiu - wyjaśnił.

- Ale raczej nie poprawiają mu zdrowia - wtrąciłem. Podeszła Linda z wysokim facetem i powiedziała:

- Jack, poznaj Johanna, mojego narzeczonego.

- Gratulacje.

Johann przyjrzał mi się dokładnie i spytał:

- Jaki jest twój zawód, Jacques?

- Jack. Jestem bezrobotny.

Linda uśmiechnęła się z przymusem.

- Johann przyjechał z Rotterdamu. Jest programistą.

- To świetnie, bo wysiadł mi telewizor.

Chytróść

ze zgalwayowanym

gryzem

Ann piła trzeci kieliszek wina. O tak, liczyłem. Łatwiejsze niż liczenie moich. Wciąż trzymałem się teąuli. John Wayne powiadał, że boli go od niej tyłek. Za każdym razem, kiedy ją pił, spadał ze stołka. Podeszła Linda.

- Mogę zamienić z tobą słówko? - spytała.

- Strzelaj.

- Na osobności.

Muzyka grała głośniej. Podejrzanie przypominała techno Gary'ego Nu-mana. Koszmar. Linda zaprowadziła mnie do sypialni. Zamknęła drzwi.

- Niestety, jestem zaręczony - powiedziałem. Zignorowała to. Pokój był zatłoczony kosmatymi zwierzętami. Różowe misie

Różowe żaby Różowe tygrysy

W każdym razie miałem wrażenie, że są różowe. Nie chciało mi się sprawdzać.

Linda oświadczyła:

- Wiesz, że dobrze mi idzie w banku.

- To dobrze... prawda?

- Oczywiście. Bardzo wielkodusznie zgodzili się mi pomóc w kupnie domu.

- To świetnie, Lindo.

- Tego domu.

- O.

- Będę przeprowadzać duży remont.

- Nie przejmuj się mną. Cały dzień mnie nie ma.

- Jack... Obawiam się, że będę zmuszona prosić cię, żebyś się stąd wyniósł.

Przez chwilę myślałem, że ma na myśli sypialnię. Potem połapałem się i spróbowałem:

- Jestem stałym lokatorem.

W przeciwieństwie do przelotnej kaczki.

Eksmisja to niewątpliwie szok dla organizmu. Umysł ma skłonność do dryfowania w dowolnym kierunku. Pomyślałem o broni. A właściwie o pistolecie.

- Jednostki Specjalne Garda otrzymują nowy pistolet. Nie taki zwykły, ale rolls-royce'a broni ręcznej.

- Słucham?

- No tak. Członkowie Jednostki Szybkiego Reagowania dostają pistolet typu Sig Sauer P-226.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Szwajcarski. Stąd bierze się jego precyzja. Rozumiesz, neutralność daje im czas na zaprojektowanie dobrej broni. Uważasz to za moralne?

- Jack... Mówię poważnie. Będziesz musiał znaleźć sobie nowe mieszkanie.

- Skoro działasz w bankowości, nie możesz olewać Szwajcarów. Wstała.

- Muszę wracać na przyjęcie - oświadczyła.

- Po siedemset funtów za sztukę. Nie przypuszczam, że rozpiszą na nie obligacje państwowe.

- Chodź, Jack.

- Nie. Posiedzę tu i pomyślę o broni. Wyszła.

Raczej nie mógłbym zamieszkać w Skeffz Suttonem. Może nadszedł czas, by jednak wynieść się do Londynu. Stukanie do drzwi.

- Proszę — powiedziałem. Weszła Ann.

- Co tu robisz, Jack? - spytała.

- Rozmawiam z różowymi misiami.

- Zły znak.

- O tak... Ale dla kogo, dla mnie czy dla misiów?

- Linda wróciła na przyjęcie z bardzo poważną miną. Co się stało?

- Rozmawialiśmy o pistoletach.

- Pistoletach?

Po powrocie do mnie Ann powiedziała:

- Czuję się trochę zalana.

- Chcesz to przedłużyć?

- Oj, nie.

Zapadła niezręczna cisza. Nie wiedziałem, co robić. —' Mógłbyś mnie pocałować? —
spytała. Zrobiłem to, ale kiepsko.

- Marnie się starasz, spróbuj jeszcze raz. Postarałem się lepiej.

I znaleźliśmy się w łóżku, i było cudownie. Wolno, dziwnie, podniecająco. Potem powiedziała:

- To było tak dawno.

- Dla mnie też.

- Naprawdę?

- Tak.

Jej głos zadrżał.

- Przez cały wieczór nie wspomniałam o Sarah.

- Nie musiałaś, była przez cały czas w twoich oczach. Przytuliła mnie mocniej.

- To piękne, co powiedziałaś.

Dawno nie czułem się tak dobrze. Bardziej niż chciałbym się do tego przyznać. A potem zapytała:

- Czy kiedyś kogoś kochałeś?

- Gdy służyłem w policji, była pewna kobieta. Sprawiała, że czułem się lepszy, niż byłem.

— Dobre uczucie.

— Ale spieprzyłem wszystko.

— Dlaczego?

— Bo to właśnie robię najlepiej.

— To nie jest odpowiedź.

— Mógłbym tłumaczyć, że to przez alkohol, ale to nieprawda. Mam w sobie guziczek samozniszczenia. Wciąż do niego wracam.

— Możesz się zmienić.

— Nie wiem, czy tego chcę. Zasnęliśmy w posępnym nastroju.

Kiedy się obudziłem, już jej nie było. Liścik na poduszce.

„Drogi Jacku,

jesteś kochanym facetem. Nie niszczyć się z mojego powodu. Nie zniosłabym tego.

XXXXXXXXXXXXXXXXXX

Ann".

Nie byłem pewien, czy powinienem się w to pakować.

Sumienie pełne

marzeń innych ludzi

Nie miałem zamiaru go zabić.

Nowoczesne wyrażenie: „To mi się wymknęło spod kontroli”, jest zajeżdżone ponad wszelkie wyobrażenie. Używa się go do tłumaczenia wszystkiego od bicia żony

po

prowadzenie po pijaku

Cóż, faktycznie wymknęło mi się spod kontroli. To, co zaczęło się jako próba zastraszenia, skończyło się morderstwem. Tak to się stało.

Po randce z Ann następnego dnia spotkałem się z Suttonem. Randka jest cudownym słowem, pobrzmiwa w nim kultura i urok. Dlatego czułem się dobry, czułem się silny i gotowy.

Umówiłem się z Suttonem, że zabierze mnie spod Seapoint, wielkiej sali tanecznej na Salthill.

Tutaj odbywałem taneczną praktykę przy akompaniamencie kapel z końca lat sześćdziesiątych.

I to jakich kapel!

Brendan Bowyer

The Indians

The Freshmen

Chłopcy wychodzili na scenę o dziewiątej i godzinami grali bez przerw. Wypruwali sobie flaki,

leć po utworach z pierwszej strony płyty od Suspicious Minds

po

If I didn't have a dime...

Jeżeli nie był to czas niewinności, to przynajmniej czas entuzjazmu.

Kiedy siedziałem na promenadzie, w głowie brzmiało mi Ghost Town zespołu The Specials.

Numer jeden z 1981 roku oddaje idealnie atmosferę ówczesnych zamieszek społecznych w Londynie.

Sutton podjechał volvo. Wyglądało na solidnie poobijane. Wsiadłem i spytałem:

- Gdzie go wykopałeś?

Samochód miał automatyczną skrzynię biegów. Sutton wrzucił jazdę i odparł:

- Kupiłem go w Clifden od jednego Szweda. Zerknął na mnie.

- Co się z tobą stało?

- Ze mną?

- Masz ten pieprzony uśmiech na twarzy.

- Doprawdy?

- Tak, kota, który się dobrał do śmietanki. Potem trzasnął dłonią o kierownicę i zawołał:

- Już wiem... przespałeś się... ty świntuchu, zrobiłeś to, prawda?!

- Miałem szczęście.

- Niech mnie szlag! Dobry, stary Taylor. Kto to był, ta dziewczyna od rocka, jak ma na imię, Cathy B.?

- Nie.

- Nie baw się ze mną w dziesięć pytań. Może wzięłaś sobie dziwkę?

- To Ann Henderson.

- Matka tej zabitej dziewczyny?

- Tak.

- Jezu, Taylor, czy to było mądre?

Cathy B. znalazła adres Forda. Kiedy podałem go Suttonowi, zapytał:

- Facet nie jest żonaty?

- Nie.

- No to odwiedzmy jego chatę. Zobaczymy, jak mieszka. Zaparkowaliśmy z boku Blackrock.

Przed nami piętrzyły się Salt-

hill Towers. Sutton zapytał:

- Na którym piętrze?

- Na parterze.

Włamanie było kaszką z mleczkiem. Zamek yale. Weszliśmy do przestronnego luksusowo wyposażonego salonu. I bardzo zadbanego. Na długim niskim stoliku leżała otwarta książka i nic więcej. Zerknąłem na tytuł. Finnegans Wake.

Tak, czyta to jak wszyscy.

Zrobiliśmy dokładną rewizję. Nic nie znaleźliśmy.

- Jesteś pewien, że ktoś tu mieszka? - spytał Sutton.

- W szafie są garnitury, w lodówce jedzenie. Sutton oparł się o ścianę.

- Widzisz dywan? - zapytał.

- Powiedziałbym, że drogi.

- Ale nierówny. Spójrz tam, koło lampy. Wybrzusza się lekko.

- I co?

- Odwińmy draństwo.

Kiedy zrolowaliśmy dywan, zobaczyliśmy luźne klepki podłogowe. Sutton pochylił się i odsunął je na bok.

- Bingo - powiedział.

Zaczął wyjmować kolejne filmy wideo. Potem plik czasopism. Wystarczyło rzucić na nie okiem, by zorientować się w temacie. Dziecięce porno.

- Połóż to całe gówno na stole - powiedział. Położyłem.

Sprawdziliśmy dwa filmy. To samo.

- Co teraz? - zapytał Sutton.

- Poczekajmy na niego.

Zajrzeliśmy do lodówki, znaleźliśmy kilka fajnych steków, przygotowaliśmy je sobie. Około szóstej trzydzieści z drzemki obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Sutton stał, sprawiał

wrażenie swobodnego. Ford otworzył drzwi i zobaczył nas dopiero, gdy wszedł do salonu.

Sutton podszedł do drzwi. Ford zerknął na stolik i przedmioty leżące na blacie. Nawet jeśli się przestraszył, dobrze to ukrywał.

- Czego chcecie? - zapytał.

- Informacji.

- Aha.

- Powiedz mi o Sarah Henderson i innych dziewczynach. Usiadł, spojrzał na Suttona i powiedział:

- Jeszcze jeden były garda.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, chyba nie.

- No, panie Ford, proszę powiedzieć wszystko.

- Nie ma sprawy. Pan Planter lubi młode dziewczyny. Czasami stają się kłopotliwe, zaczynają grozić. Czasem wpadają w depresję i wypływają na głęboką wodę.

Aż do tej pory byłem spokojny. Ale coś w jego zadowolonej z siebie minie, pogardzie w głosie, wkurzyło mnie. Wstałem i trzasnąłem go w twarz. Poderwałem go na nogi, a on splunął na mnie. Odrzuciłem go od siebie i mocno uderzył głową o stolik. Nie poruszył się.

Sutton pochylił się nad nim, sprawdzając puls.

- Skurwiel wykorkował - oznajmił.

- Co takiego?

- Nie żyje.

- Chryste.

- Lepiej się stąd wynośmy. Doprowadźmy wszystko do porządku.

Nawet odłożyliśmy na miejsce filmy. Kiedy wychodziliśmy, Sut-ton wytarł klamkę.

- Może pomyślą, że upadł.

PONURA

KWESTIA

Sutton podrzucił mnie do domu. Nie rozmawialiśmy po drodze. Teraz zapytał:

- Chcesz, żebym wszedł z tobą?

- Nie.

- Nic ci nie będzie?

- Nie mam pojęcia.

- Słuchaj, Jack...To był wypadek. Poza tym czy to wielka strata? Facet był śmieciem, świat jest lepszy bez niego.

- Tak. Do zobaczenia.

Ledwo otworzyłem drzwi frontowe, pojawiła się Linda.

- O, Jack - zaczęła.

Nie odpowiedziałem, przycisnąłem się obok niej.-Usłyszałem, jak woła.

- No, dobre sobie!

Miałem to w dupie. Przede wszystkim wziąłem prysznic, szorując skórę, aż mnie paliła.

Czułem ślinę Forda na twarzy jak oparzenie. Zadzwoił telefon.

- Co jest? — warknąłem.

- Jack, tu Ann.

- Tak... co jest?

- Dobrze się czujesz?

- Na rany Chrystusa. Chciałbym, żeby przestano mnie o to pytać.

Trzasnąłem słuchawką. Nałożyłem bluzę XL z logo: „Knicksy kopią tyłki”.

I parę superwyblakłych lewisów 501. Jeszcze jedno pranie i staną się historią. Zwykle kiedy się w to

ubieram, przechodzi mi.

Tym razem nic z tego.

Wziąłem butelkę brandy. Jestem barbarzyńcą, nie cierpię koniaku. Kac po nim to morderstwo. Odkręciłem nakrętkę. Do kuchni, umyć tę szklankę. Na dnie wciąż widać naklejkę „Roches £ 4.99”. Przepłukałem ją dwukrotnie, by usunąć zapach tequilii. Z powrotem do pokoju. Stek, który zjadłem w mieszkaniu Forda, zalegał mi w brzuchu jak kawał ołowiu.

Próbowałem przypomnieć sobie wszystkie postanowienia związane z brandy. Zwłaszcza słowa J.M. O'Neill, że odbiera ten sam nastrój, który ci daje.

Powiedziałem na głos:

- Jahjah... jada, jada. - I walnąłem pierwszego. Dobra.

Nie jest tak źle. Prawdę mówiąc, jeżeli to pomyłka, to w fajną stronę.

Nalałem następny kieliszek.

W AA ostrzegali przed uzalaniem się nad sobą. „Biedny, biedny jestem, nalej mi następnego”. Cóż, i tak już piłem.

Dobra!

Z całą pewnością żal był ostatnią rzeczą, jaką czułem.

Żal tego biednego fiuta, który walnął łbem w stół. Czy może... czyjego głowa walnęła blat?

Próbowałem odpędzić ten obraz.

Jaka to strata? Zbok, który żerował na młodych dziewczynach.

Nic z tego, nie potrafiłem znaleźć żadnego usprawiedliwienia.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Tak?

- Jack, tu Sutton.

- A, tak.

- Jak ci leci?

- W porządku.

- Pijesz?

- Co?

- Poznaję po tym, jak mówisz.

- A kim ty jesteś? Moją matką?

- No no, nie tym tonem. Chciałem tylko powiedzieć, że nie jesteś sam, stary. Wpadnę do ciebie, zamówimy górę pizzy, wrzucimy wideo.

- Jak na randce.

- Jack. Cokolwiek pijesz, źle na ciebie działa.

- Ty też.

I odłożyłem słuchawkę.

Teraz zacząłem chodzić, mówiąc do siebie:

- Kto cię potrzebuje, do kurwy nędzy. Zaraz ludzie przestaną do mnie dzwonić.

Wyrwałem sznur ze ściany.

Włączyłem radio, przez pomyłkę trafiłem na Radio Lyrics. Grali Dla Elizy. Pomyślałem, że kocham to i jutro z samego rana pójde kupić. Jakiś czas później po wędrówce po skali i natknięciu się na cztery inne stacje postanowiłem zaopatrzyć się także w Elvisa

The Eagles

Jamesa Lasta

i

The Furey Bros.

A potem pomyślałem: Po co czekać?

Popatrzyłem na koniak. O mój Boże! Prawie pusta butelka. Czy coś rozlałem? Tak, na pewno, to by wszystko wyjaśniło. Trochę potrwało, zanim byłem gotów, bo wciąż meble wchodziły mi w drogę, ale w końcu stanąłem w drzwiach i krzyknąłem:

- Sayonara, dupki.

Pusty pokój nie odpowiedział.

- *Doktorze, mam zmartwienie.*

— *Och, Boże jedyny!*

Ocknąłem się z pętami na przegubach. Z matką wszystkich kaców. Byłem przywiązany pasami do czegoś, co przypominało wózek. W głowie mi łomotało. Przez nogi przebiegały drgawki. Nie mogłem sobie przypomnieć niczego po: „Sayonara, dupki”. Pojawiła się pielęgniarka.

- O, panie Taylor, sprowadzę lekarza. Zrobiła to.

Pochylił się nade mną mężczyzna po pięćdziesiątce, z roztargnionym uśmiechem.

- Panie Taylor, jestem doktor Lee. Czy pamięta pan, jak pan tu trafił?

Próbowałem zaprzeczyć, ale ból był zbyt ostry. Pokiwałem głową.

- Jest pan w Ballinasloe... szpitalu psychiatrycznym - poinformował. - Przypuszczam, że działał pan w stanie pomroczości. Upadł pan przed hotelem Hayden's.

Przerażenie atakowało każde włókno moich mięśni. Pot spływał po ciele. Lekarz oznajmił:

- Znowu musieliśmy nastawić panu palce, bo chyba uderzył pan kogoś. To nie najlepszy pomysł przy niedawno połamanym palcach.

Udało mi się zebrać trochę śliny i zapytałem:

- A co z moim nosem?

Roześmiał się głośno.

- Musimy się przyznać do klęski na tym froncie. Ale cieszę się, że zachował pan poczucie humoru. Będzie panu potrzebne.

Pielęgniarka zrobiła mi zastrzyk i znowu odpłynąłem. Jeżeli miałem jakieś sny, dzięki Ci, Chryste, że ich nie pamiętam. Kiedy ponownie wypłynąłem na powierzchnię, czułem się nieco mniej koszmarne. Więzy zniknęły, czyli coś się zmieniało, jeżeli nie poprawiało.

Znowu doktor Lee.

— Pamięta pan naszą rozmowę? - Tak.

- Rozmawialiśmy czterdzieści osiem godzin temu. Usiłowałem zrobić odpowiednio przestraszoną minę, ale kogo to

wzruszy w psychiatryku? Lee mówił dalej:

- Pański stan szybko się poprawia. Ciało ludzkie jest zadziwiającą rzeczą. Mimo straszliwego traktowania walczy, by wrócić do normy. Ale po co, panie Taylor?

Wreszcie byłem w stanie mówić, nie walcząc o odrobinę śliny.

— Nie rozumiem pytania — powiedziałem.

- O, sądzę, że pan rozumie, panie Taylor. Dlaczego mielibyśmy stawiać pana na nogi, żeby mógł pan wyjść i zrobić dokładnie to samo?

Nie miałem pojęcia.

— Nie mam pojęcia.

— Już pan to przerabiał.

— Owszem. Mógłby pan mówić do mnie Jack?

— Jack! Cóż, Jack, mógłbym próbować przestraszyć cię koszmarnymi opowieściami. Za każdym razem, kiedy tracisz przytomność, to próba generalna wylewu. Wątrobę masz w kiepskim stanie i nie wiem, ile jeszcze wytrzymają twoje nerki. Jakies pytania?

Chciałem się dowiedzieć, jak u licha trafiłem do Ballinasloe, ale nie przypuszczałem, że mógłby mi to wyjaśnić.

- Dzięki... że... cóż... że mnie pan nie opieprzał.

- Miałem wrażenie, że to robię.

Po pierwszych dniach odwyku oddano mi ubranie. Wyczyszczone i wyprasowane. Radość z jego odzyskania była ogromna. Stojąc na środku pokoju, odtańczyłem gigę. Na niepewnych nogach... i krótko, ale z całą pewnością zrobiłem kilka entuzjastycznych irlandzkich podskoków.

To smutne, że dorosły facet może być tak wdzięczny tylko dlatego, że się ubrał.

Zwolniono mnie na oddział ogólny.

- Nie mógłbym zostać w moim pokoju? - spytałem siostry. Strasznie się uśmieła:

— Co pan myśli, że to hotel? Trzeba wyjść i przyłączyć się do ludzi.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Szpital psychiatryczny... Psychole chyba nie powinni pętać się na swobodzie. Spodziewałem się wariatkowa w każdym znaczeniu tego słowa.

Zaślinionych pacjentów, kaftanów bezpieczeństwa, szaleństwa na każdym kroku.

Ale zastałem spokój. Nie ciszę, ale stłumiony pomruk. Jakby prawie zupełnie przykręcono głośność. Cuda farmakologii. Jak będą nać-pani, to będą potulni.

Lunch podawano w jadalni. Jasna, otwarta sala, podobna do naszej stołówki na szkoleniu w

Templemore.

Wziąłem tacę i stanąłem w kolejce. Była karna i... cicha. Głos za mną powiedział:

- Pierwszy raz?

Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę pod siedemdziesiątkę. Nie wyglądał na... wariata.

Dobrze ubrany z twarzą tragarza. Nos w pajęczynie popękanych żyłek. Kiedyś był imponująco zbudowany, ale teraz ciało paskudnie obwisło.

- Widać? - zapytałem.

- Wyskakujesz ze skóry.

Wyciągnął rękę. Ręce miał jak Larry Cunningham. Wielkie rozłożyste łapy. Podaliśmy sobie dłonie. Uścisk miał zadziwiająco delikatny.

- Jestem Bill Arden - powiedział.

- Jack Taylor.

- Witaj, Jacku Taylorze.

Dotarłem do lady z gorącym jedzeniem. Nakładająca, tęga, wiejska kobieta zapytała.

- Co mogę ci podać, kochany?

To „kochany” chwyciło mnie za serce. Miałem ochotę ją przytulić. Bill podpowiedział:

- Kapusta z bekonem jest fajna. Zamówiłem ją. Kobieta spytała:

- Sosiku, kochany?

- Proszę.

Na deser było duszone jabłko i budyń. Mnóstwo. Wziąłem i to. A niech tam. I tak nie zmierzałem jeść. Bill powiedział:

- Zajmij miejsce pod oknem. Przyniosę herbatę. Zająłem.

Ludzie przy stole jedli. Napychali się tak, jakby ich życie od tego zależało. Może tak było.

Bill usiadł i natychmiast zabrał się do jedzenia. Pożerał je jak najęty. W połowie kęsa spojrział na mnie i zapytał:

- Nie jesz?

- Nie.

- Zwrócą uwagę... lepiej chociaż udawaj.

Między jego przednimi zębami tkwiły kawałki kapusty. Nie mogłem oderwać od nich oczu.

Grzebałem niemrawo w swojej stercie jedzenia. Bill poradził:

- Przesuń talerz po stole, niech małpy pomogą.

Zrobiłem tak. Zawartość talerza została zniszczona w parę sekund i pusty talerz przyjechał z powrotem.

- Zjem twój deser - zaproponował Bill. - Jestem bardzo łasy na słodycze.

Kiedy wreszcie skończył, rozsiadł się wygodnie, odpiął górny guzik spodni i beknął.

Wyciągnął paczkę papierosów i spytał:

- Zapalisz?

- Nie... dziękuję.

Przypalił, wydmuchnął chmurę dymu i oświadczył:

- Pobędziesz dłużej i zaczniesz.

- Wątpię.

Wtedy zauważyłem, że wszyscy - dosłownie wszyscy - palą. Nawet staruszka za ladą puszczała dymka. Dostrzegł moje spojrzenie.

- Człowiek z udziałem w rynku tytoniowym byłby ustawiony na całe życie - stwierdził.

Nie byłem pewien, jak zareagować, i powiedziałem:

- To jest myśl.

Nawet ja odniosłem wrażenie, że to gówniana myśl.

- Ochlapus? - spytał Bill.

- Słucham?

- Alkoholik. Dlatego tu jesteś, prawda? Uznałem, że to dobry moment, żeby udawać Greka.

- Chyba tak.
- Wiedziałem. Zawsze potrafię poznać gazera. Mamy własne an-tenki. A więc trafiłeś na oddział?
- Na co?
- Oddział Terapii Alkoholowej, jeden z najlepszych w kraju. Byłem tu wiele razy.
- Bez urazy, Bill, ale skoro jest taki dobry, to dlaczego jesteś tutaj... znowu?
- Powiem ci, Jack, kocham pić. Kiedy idę w cug, dzwonię do nich i mówię, żeby trzymali dla mnie łóżko. Trafiam tu dwa, kurwa... trzy razy do roku.
- Chryste!
- Nie zarzekaj się, dopóki nie spróbujesz. Kiedy jesteś na zewnątrz i robisz dym, dobrze wiedzieć, że masz tu schronienie.

Wzdrygnąłem się. Spojrzał na mnie.

- Głodek - wyjaśniłem.
- Poproś o jeszcze jedną porcję librium, postawi cię na nogi. Przechodzący mężczyzna wpadł na mnie, wyprostował się, a potem zygzakiem powędrował do drzwi. Bill się uśmiechnął.
- Specjalność Ballinasloe.
- Co takiego?
- Patrz na tego faceta... widzisz, jak się chwieje... jakby był nawalony. To largactilowy krok. Odjeżdża pod własną perkusję, orbituje jak dzień długi. Jezu, kocham to miejsce. Zaczynał mnie trochę nużyć. Taki dobry humorek rodem ze środkowej Anglii bardzo męczy.
- Jakies pytania? - powiedział.
- Hm...
- Jestem cały twój. Nie dzieje się tu nic, o czym bym nie wiedział... albo nie potrafił obejść.

I kurwa, ku mojemu absolutnemu przerażeniu, puścił do mnie oko. Nawet jeżeli dożyję setki, w co wątpię, nie zapomnę tego. Zapamiętam to jako jeden z momentów czystej, niczym nieskażonej grozy. Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, powiedziałem:

- Mam jedną sprawę.

- Wszystko, co chcesz. Żyję, żeby służyć.

- Gdzie jest biblioteka?

Był tak dogłębnie wstrząśnięty, że odpowiedział dopiero po minucie.

— Jaja sobie robisz.

- Posłuchaj, Bert...

- Bill!

- Mniejsza z tym. Zdaję sobie sprawę, że znasz mnie od dziesięciu minut, ale zastanów się, całkiem poważnie... czy wyglądam na jajcarza?

- Nie.

- No to... gdzie jest biblioteka?

Był zdezorientowany, chciał się odegrać.

- Wcale nie wyglądasz na miłośnika książek - stwierdził.

Moja kolej, żeby się roześmiać. Jeżeli nie zaśmiejesz się chociaż raz w wariatkowie, pora wziąć lekarstwo.

- A jak wygląda miłośnik książek? - spytałem.

- Jezę, nie wiem, no... taki poważny skurwiel...

- Bill... Bill, uwierz mi na słowo... Jestem cholernie poważnym facetem...

Ale jeszcze nie rzucał ręcznika. Nic dziwnego, że faceci ze środkowej Anglii są dobrymi rolnikami. Przeszedł do kontrataku.

- Ale jesteś gazer, sam przyznałeś. Kiedy masz czas na czytanie?

- Pomiędzy ciągami. Kiedy mnie kładą, czytam.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Pomiędzy odjazdami jestem w łóżku... i umieram.

- Zawsze lubiłem czytać. Bez względu na wszystko, co utraciłem, tego się trzymam.

Zapalił następnego papierosa.

- Nie będą zadowoleni, że czytasz - burknął.

- O rety, biorę to na swoje sumienie. No, Bill, gdzie ona jest?

- Na pierwszym piętrze. Nie będziesz mógł tam iść, po obiedzie jestTZ.

- Co takiego?

- Terapia zajęciowa, wyplatanie koszyków.

W końcu musiało mnie to dopaść. Byłem o krok od stania się przypadkiem koszykowym.

Pielęgniarki zaczęły jeździć z wózkami zastawionymi lekarstwami. Dostałem moją porcję Hbrium i oznajmiłem Billowi:

- Znajdę cię później.

- Ale mamy TZ! - prawie jęknął. Wstałem i powiedziałem:

- Książki są moją terapią. Usłyszałem, jak mamrocze:

- Najdziwniejszy gatunek pijaczka, jaki spotkałem.

KSIĄŻKI I WSZYSTKO WSKAZUJE 11 ZACHÓD

Książki były zawsze. W całym moim popieprzonym życiu stanowiły jedyny stały element.

Nawet Sutton, mój najbliższy przyjaciel, zawołał:

- Odbiło ci z tym pierdolonym czytaniem, człowieku? Na rany gorzkie, przecież byłeś policjantem.

Co jest najwspanialszym przejawem irlandzkiej logiki. Powiedziałem mu wtedy, a potem jeszcze nieskończoną ilość razy:

- Czytanie mnie przenosi. Stwierdził z typową szczerością:

- Pierdolenie.

Jak już wspomniałem, ojciec pracował na kolei. Uwielbiał kowbojskie powieści. W kieszeni marynarki zawsze miał sfatygowanego Zane'a Greya. Zaczął mi je oddawać. Matka mówiła:

- Robisz z niego mięczaka. Kiedy nie mogła słyszeć, szeptał:

- Nie zwracaj uwagi na matkę. Chce dobrze. Ale czytaj.

- Po co, tato?

Co nie oznaczało, że mam zamiar przerwać, już mnie to wciągnęło.

- Dają ci wybór.

- Jaki wybór?

W jego oczach pojawiała się zamyślenie.

- Wolność, synu.

Na dziesiąte urodziny dał mi kartę biblioteczną. Matka - kij do irlandzkiego hokeja na trawie.

Często używała tego samego kija, żeby mi wygarbować skórę. Grałem w hokeja. Jak inaczej mógłbym się zakwalifikować do Garda Siochana? Nikt bardziej niż oni nie ceni dobrego hokeisty.

Karta biblioteczna była biletem do podróży. Wtedy biblioteka znajdowała się w gmachu sądu.

Książki na górze, sale sądowe na dole. Za każdym razem, kiedy tam chodziłem, patrzyłem na gardm z podziwem. A potem na górze spoglądałem na książki z zachwytem. Oba wątki mojego życia się splotły.

Dosłownie jedno prowadziło do drugiego. Nie byłem w stanie odrzucić wpływu żadnego z nich bez względu na moją sytuację życiową. Zacząłem od Roberta Louisa Stevensona, Richmala Cromptona, Hardy Boys. Bez wątpienia nadal czytałbym w przypadkowy sposób i w końcu przestałoby mnie to interesować, gdyby nie ówczesny kierownik biblioteki, Tommy Kennedy. Wysoki szczupły mężczyzna z miną człowieka bujającego w obłokach. W czasie moich kilku pierwszych odwiedzin tylko oglądał mój wybór, mówił: „mm”, i stemplował

książki.

W pewien szczególnie mroczny i mokry wtorek podszedł do mnie i stwierdził:

- Chyba czas zorganizować twoje lektury.

- Po co?

- Chcesz się znudzić?

- Nie.

Zaczął od Dickensa. Stopniowo i bez fanfar zapoznawał mnie z klasyką. Zawsze był

dyskretny, pozwalał mi wierzyć, że to mój wybór.

Później, kiedy burza hormonalna nastolatka wprowadziła we wszystko zamęt, pokazał mi powieści kryminalne. Czytałem dalej.

Odkładał również na bok inne książki i później miałem już całą paczkę, zawierającą poezję

filozofię

i główny haczyk

amerykańskie powieści kryminalne

Stałem się bibliofilem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Nie tylko lubiłem czytać.

Kochałem same książki. Pokazał mi, jak cenić ich zapach, oprawę, druk, fakturę egzemplarzy.

Ojciec zrobił mi duży regał i nauczyłem się ustawiać książki alfabetycznie i według kategorii.

Nieźle mi też odbijało. Grałem w hokeja, piłem cydr, prawie nie chodziłem do szkoły. Ale po powrocie do domu patrzyłem na moją bibliotekę, czując ciepło w sercu.

Ponieważ lubiłem wygląd i dotyk tomików, zacząłem je czytać. Tak odkryłem poezję. Nigdy nie znalazłem jej w życiu, ale zawsze była na wyciągnięcie ręki.

I nikomu o tym ani jednego słowa. Na naszej ulicy wspomnij komuś o poezji, a stracisz jaja.

Ojciec często stawał przed rozrastającą się kolekcją i mówił:

- Sam Kenny byłby z tego dumny.

Wtedy oburzona matka zaczynała popisowy numer.

- Nabijasz mu głowę idiotyzmami. Ciekawe, co by było, gdybym spróbowała powiedzieć poborcy czynszu, że mógłby sobie poczytać wiersze.

Wtedy ojciec spoglądał na mnie, a ja mówiłem bezgłośnie:

- Chce dobrze.

A potem, gdy leżałem w łóżku, słyszałem, jak się piekli.

- Może mi jeszcze powiesz, że da się jeść książki. Chciałabym zobaczyć, jak mamy dzięki nim kawałek chleba.

Prawdę mówiąc, spełniła swoje życzenie. Kiedy poszedłem do Templemore, sprzedała je, a regału użyła na podpałkę.

Tommy Kennedy przepowiadał mi wielką przyszłość. Marzył nawet, że pójdę do college'u.

Wyniki moich egzaminów z trudem zapewniły mi przyjęcie do Garda Siochana. Kiedy powiedziałem Tommy'emu o wybranym zawodzie, złapał się za głowę.

- To woła o pomstę do nieba!

Wieczorem w przeddzień wyjazdu spotkałem się z nim w Garavan's. Byłem wtedy potężny, hokej i kartofle dały mi masę i mięśnie. Czekałem więc w Garavan's. Tommy wszedł i mrużąc oczy, rozglądał się w półmroku. Zawołałem:

- Panie Kennedy.

Był zmęczony życiem. Przypominał starego charta. Otaczał go nastrój melancholii.

- Co dla pana, panie Kennedy? - zapytałem.

- Butelkę porteru.

Przepełniony młodością i brawurą, przyniosłem napoje. Duże piwo dla mnie.

- Wcześniej zaczynasz - powiedział.

Spojrzałem na lśniący na plastikowym pasku nowy zegarek. Z Woolwortha. Tommy uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie to miałem na myśli.

- Slainte.

- Powodzenia, Jack.

Umilkliśmy. Wtedy wyciągnął cienki tomik.

- Pożegnalny podarunek - oświadczył. Piękna, stara, skórzana oprawa, złoczone brzegi.

- To Chart gończy niebios Francisa Thompsona. Mam nadzieję, że jego przesłanie nigdy nie będzie miało związku z tobą.

Nie miałem nic dla niego.

- Mógłbym ci przysłać paczki - zaproponował.

- Eee... lepiej nie... wie pan... wsiowe chłopaki pomyślałyby, że jestem pedziem.

Potem wstał i podał mi rękę.

- Będę pisał - obiecałem.

- Bardzo proszę. Boże, prowadź.

Oczywiście, nie zrobiłem tego... to znaczy, nie napisałem. Ku memu wiecznemu wstydowni o jego śmierci dowiedziałem się dopiero po dwóch latach.

SUTTON

W Ballinasloe myślałem o setkach spraw. W większości przygnębiających. Drogach, po których nie wędrowałem, ale błąkałem się na oślep. Ludziach, którzy byli dla mnie dobrzy, a ja tak bardzo ich krzywdziłem.

Lekkomyślne lekceważenie cudzych uczuć. O tak. Czułem ku-rewsko ciężkie brzemie winy.

Dodać do tego odrobinę skruchy, galony uzalania się nad sobą i mamy klasycznego alkoholika w całej jego zbrukanej chwale.

Na zewnątrz dawałem sobie z tym radę dzięki picciu. Po prostu, żeby odsunąć od siebie tych frajerów. Zagłuszyć ból. Cały paradoks polega na tym, że każde takie znieczulenie pociągało za sobą nowe szkody.

Oto jeździec blady, nawalony jak stodoła.

Przez pierwsze dni w szpitalu, w okresie detoksu, zachęcają do picia mnóstwa wody. Żeby wypłukać toksyny. Nie miałem z tym problemu. Robią badania krwi, żeby określić stopień zniszczenia nerek i wątroby. Moje były nieźle skopane. Codzienne zastrzyki multiwita-miny, żeby doprowadzić do zdrowia wrzeszczący organizm. Oczywiście librium. A potem mój ulubiony środek nasenny na te noce. Noce, źródło większości koszmarów pijaka.

Czy coś mi się śniło. No jasne. Ale nic łatwego do przewidzenia. Nie mój nieżyjący ojciec

martwi przyjaciele

umarłe życie

Nie..

Śnił mi się Sutton.

Zaprzyjaźniliśmy się natychmiast. Jeden z tych niewytłumaczalnych związków, które nie poddają się analizie. Byłem młodym gliną, w większości spraw zielonym jak szczypiopek. On

- siwowłosym barmanem, weteranem licznych, prawdziwych i wymyślonych potyczek.

Nawet teraz nie jestem pewien jego narodowości, wieku czy przeszłości.

Wszystko to zmieniało się równie często, jak puby, w których gra-sowaliśmy. W czasie licznych sesji, opowiadał mi, że był rozmaicie -

żołnierzem

przedsiębiorcą

malarzem

przestępcą

W każdej wersji było ziarno prawdy, ale szczegóły przemieszczały się i zmieniały tak często, że nigdy nie można było ustalić żadnego konkretnego faktu.

Był prawdziwym kameleonem. Wpisywał się w każde wybrane przez siebie otoczenie. Kiedy go poznałem, miał idealną wymowę z północy. Równie łatwo mógł mówić jak Ian Paisley albo jak Eamonn McCann*.

Imponujące, choć przerażające.

Kiedyś słyszałem, jak niesamowicie naśladuje Bernadettę Devlin.

Gdy przeniósł się do Galway już po tygodniu mówił jak miejscowy. Można było przysiąc, że nigdy nie był dalej niż w Tuam.

* Ian Paisley, przywódca Partii Unionistycznej w Irlandii Północnej (Ulsterze), opowiadającej się za utrzymaniem więzi ze Zjednoczonym Królestwem i zwalczającej wszelkimi metodami katolików. Eamonn McCann, irlandzki publicysta i działacz polityczny, trockista, ateista jeden z ważniejszych członków irlandzkiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (przyp. tłum.).

Żadna z tych rzeczy nie włączała mi dzwonek alarmowych. Uważałem, że dzięki temu jest fascynujący.

Ponieważ byłem w gruncie rzeczy głuchy na ważne sprawy, ponieważ byłem młody...

ponieważ

ponieważ

ponieważ

Ponieważ chyba nie chciałem dostrzegać jego mrocznej strony, nie zwracałem uwagi na wiele znaków ostrzegawczych.

Od samego początku stawiał na przemoc. Opowiedział mi o pewnej knajpianej bójce, w czasie której prawie zamordował swojego przeciwnika.

- Wiesz co, Jack? - dodał. - Tak?

- Żałuję.

- Cóż, czasem traci się kontrolę.

- Nie pierdol, nie o to mi chodziło. Żałuję, że nie zabiłem skurwysyna.

Smiałem się z tego.

Przepustki miałem nieregularnie. Kiedy wybuchły „niepokoje”, pełniłem służbę czterdzieści osiem godzin z rzędu. Ale bez względu na to, kiedy dostawałem wolne, Sutton przestawał pracować i z rykiem silnika ruszaliśmy na zadymę.

Pewnej pamiętnej sobotniej nocy i w niedzielny poranek piliśmy długo i ostro w melinie pod Lower Falls. Niemal namacalna atmosfera niebezpieczeństwa i dymu wystrzałów jedynie podkręcała nastrój. Przysięgnąłbym, że w piwie czuć było kordyt. Sutton promieniał.

- Człowieku, to jest to, absolutnie najlepsza balanga.

Z tego wyjazdu wciąż mam ręcznie rzeźbioną, sześćdziesięcio-centymetrową harfę.

Wykonaną przez więźniów z Long Kesh. Musiałem sto razy wysłuchać The Men Behind The Wire.

Popijaliśmy pieniste kufle złocistymi szklaneczkami bushmills. Sutton pochylił się w moją stronę, pot spływał mu po twarzy.

- Czy to nie jest to, Jack?

- Jak wszyscy diabli.

- Wiesz, kiedy byłoby ekstra?

- Powiedz.

- Gdyby zabić jakiegoś skurwiela.

- Co!

Wycofał się. Uszczypnął mnie w ramię i powiedział:

- Jaja sobie robię... wyluzuj, Jack.

Przez te lata takie chwile się zdarzały. Zamiatalem je pod dywan z pustych butelek i kosmicznych kaców.

Od czasu do czasu miałem niepokojące uczucie, że Sutton mnie nienawidzi. Nigdy nie mogłem tego ostatecznie ustalić i odrzuciłem myśl jak produkt pijackiej paranoi.

Pewnego wieczoru czekałem na niego w pubie w Newry. Zazwyczaj miałem przy sobie książkę, by poczytać w dogodnej chwili. Byłem pogrążony w lekturze, kiedy usłyszałem:

- Jezu, Taylor, zawsze z książkami.

Chciałem ją schować, ale zdążył ją złapać. Przeczytał tytuł: Chart gończy niebios.

- Francis Thompson, co? - powiedział.

- Znasz to?

Odchylił głowę do tyłu i zarecytował:

- „Uciekałem przed nim nocami i dniami...” Kiwnąłem głową, a on oświadczył:

- Umarł, wyjąc.

- Co takiego?

- Tak odchodzą pijacy. Umierają, wyjąc.

- Jezu.

Kiedy pojawiały się wątpliwości, odsuwałem je. Wbiłem sobie do głowy: To mój przyjaciel.

A poza tym, kto jest doskonały?

Biblioteka w Ballinasloe była zamknięta. Był remont. Dni spędzałem na TZ. Miałem na stole koszyk z maleńkimi sprężynkami. Moim zadaniem było wkładać je do długopisów.

Resztę czasu łykałem librium, starałem się unikać Billa i tęskniłem za nocą na prochach nasennych.

Ostatni sen w Ballinasloe był tak realistyczny, że nie jestem pewien, czy nie działo się to naprawdę. Sutton mówił:

- Jesteś moim księżkowym, no i specjalistą od kryminałów.

- Tak.

- Czytałeś Jima Thompsona The Killer ImiAel

- Nie trafiłem.

- Nie trafiłeś na najlepszą książkę.

Ale Bóg istnieje. I nie tylko w piosence Toma Jonesa. W dniu wypisu dostałem swoje świeżutko wyprane i wyprasowane ubranie. Oraz wypchany portfel. Żaden pijak nie kończy przy forsie. To wbrew prawom przyrody. Kiedy wychodziłem z mieszkania, nie mogłem mieć więcej niż trzydzieści parę funciaków. Gapiłem się na portfel. Pielęgniarka źle to zrozumiała.

- Wszystko jest tutaj, panie Taylor. Nie okradamy pacjentów. Czteryście pięćdziesiąt funtów.

Proszę przeliczyć, jeżeli pan chce.

Wymaszerowała, oburzona. Poszedłem pożegnać się z doktorem Lee.

- Czy mógłbym się odwdzińczyć?

- Nie pij.

- Miałem na myśli...

- Ja też. Wyciągnął rękę.

- Jest AA.

- Jest.

- I antabus.

- Słusznie.

Nie pokręcił głową, ale można było wyczuć, o czym myśli. Nagle zapytał:

- Jack... masz rodzinę... przyjaciół?

- Dobre pytanie.

- Cóż, lepiej się o tym przekonaj.

Na dworze świeciło słońce. Autobus zatrzymał się i wszyscy z jego wnętrza gapili się na mnie. Na tle osławionego psychiatryka w Irlandii, z widocznymi bandażami, z całą pewnością nie należałem do personelu.

Pokazałem im palec.

Większość biła brawo.

Oczywiście, o rzut beretem od szpitala był pub. Przez jedną oszalamiającą chwilę byłem gotów. Nigdy dotąd syrenia pieśń nie była tak upojna. Nie mogłem... nie mogłem. Obejrzałem się i poczułem, że doktor Lee kiwa głową, zupełnie jakby mógł mnie widzieć, i poszedłem dalej.

Na dworcu kolejowym miałem zaledwie pół godziny do pociągu. Siedziałem w bufecie, nie zamawiając niczego. Na krześle leżała gazeta. Więcej sądów. Poczułem się, jakbym sam dostał urzędową kopertę. Sprawdziłem datę i żołądek fiknął mi koziołka. Nie było mnie dwanaście dni. Jeden na każdego z apostołów. Wykonałem trochę obliczeń. Miałem trzydniową przerwę w życiorysie i... zarobiłem pieniądze.

Przyjechał pociąg, usiadłem przy oknie. W szpitalu się nie goliłem, pojawiła się w miarę przyzwoita broda. Wyglądałem jak tato Krisa Kristoffersona. Połamany nos mówił:

„Odpieprzyć się”. Wychodząc ze szpitala, spojrzałem uważnie w lustro. Rozwiązałem męczącą mnie zagadkę. Moje oczy. Były czyste i prawie żywe. Nie lśniące, ale coś podobnego. Po latach widocznej

w nich choroby to było niemal objawienie.

Za Athenry podjechał wózek z napojami. Młody, mniej więcej osiemnastoletni chłopak zapytał:

- Herbata, kawa, woda mineralna?

- Proszę herbatę.

Czułem, że przygląda się moim obrażeniom.

- Spadłem z motoru — wyjaśniłem.

- O rany.

- Tak, jechałem dziewięćdziesiątką.

- Harley?

- A są jakieś inne? Spodobało mu się.

- Chce pan drinka? - zapytał.

- Co?

- No wie pan, mamy miniaturki, ale kto chciałby płacić takie ceny?

- Nie... dziękuję.

- Dam panu dwie za jednego. I jak będzie?

- Nie mogę... chodzi o to... jestem na lekach... przeciwbólowych.

- Aha... na lekach.

Sprawiał wrażenie, że wie o nich wszystko.

- Muszę iść. Niech pan uważa na siebie - powiedział.

Po wyjściu z pociągu spotkałem taksówkarza, którego znam całe życie.

- Podróżujesz na lekko! - zauważył.

- Bagaże przyjadą samochodem.

- Mądre posunięcie.

Jeżeli możesz zasunąć taką kwestię z poważną miną, masz punkt. Oczywiście taksiarze muszą z tego zdawać egzamin.

Popatrzyłem na Eyre Square i puby na każdym rogu. Turyści z plecakami pętali się tam i z powrotem w poszukiwaniu nirwany, taniego noclegu. Klub pijaczków działał w najlepsze naprzeciwko Great Southern. Nie było nikogo, kto by to powiedział. Zrobiłem to sam.

- Witaj w domu.

MARTWY

Wchodząc do Grogan's, czułem mieszaninę obawy i adrenaliny. Sean stał za kontuarem. Nie poznał mnie.

- Sean - powiedziałem.

- Jezus, Maria, Józefie święty, to Grizzly Adams. Wyszedł z za lady.

- Mój Boże, gdzie ty się podziewał? Całe hrabstwo cię szuka. Siadaj, siadaj. Przyniosę ci to, co zwykle.

- Sean, bez gorzały... tylko kawa.

- Mówisz poważnie?

- Niestety.

- I bardzo dobrze.

Wiadomo, że jeżeli właściciel pubu cieszy się, że nie pijesz z tobą źle. Usiadłem, czując lekki zawrót głowy. Wrócił z kawą i oznajmił:

- Dodałem ci club milk, żeby nie wyglądała tak smętnie. Spróbowałem.

- Dobra.

Klasnął w ręce jak podniecone dziecko.

- To prawdziwa kawa. Zazwyczaj dawałem ci tylko stare fusy, ale teraz...

- Jest wspaniała, niesamowity smak. Położył mi dłoń na ramieniu i poprosił:

- Opowiedz wszystko.

Nic bardziej nie mrozi rozmowy niż taka prośba. Umysł natychmiast daje po hamulcach. On jednak ciągnął dalej:

- Ann, ta kobieta. Była tu każdego dnia, ciągle telefonowała, a Sutton mnie zadzęcał. Czemu nie zadzwoniłeś?

- Nie mogłem.

- Rozumiem.

Nie rozumiał. Wstał.

- Wszystko w swoim czasie. Cieszę się, że wszystko u ciebie w porządku.

Po jakimś czasie postanowiłem spróbować znaleźć Suttona, co nie było trudne. Podpierał bar w Skeff. Nawet nie mrugnął okiem.

- Co cię zatrzymało? - spytał.

- Zabłądziłem.

- Podoba mi się twoja broda, wyglądasz z nią jeszcze wredniej. Duże piwo czy kielonka?

- Colę.

- No to colę. Barman!

Sutton wziął nowy kufel i zaniósł go razem z colą do stolika pod oknem. Usiedliśmy. Stuknął kuflem o moją butelkę i powiedział:

- Na zdrowie.

- Na zdrowie.

- Co, trafiłeś do Ballinasloe?

- Tak.

- Doktor Lee wciąż tam jest?

- Oczywiście.

- Przyzwoity facet.

- Polubiłem go.

Sutton uniósł kufel pod światło, przyjrzał mu się z bliska.

- Sam zaliczyłem dwa razy to miejsce. Kiedy wyszedłem pierwszy raz, natychmiast się nawaliłem.

- W tym pierwszym pubie? Roześmiał się, ale bez wesołości.

- Tak, mówię ci, personel ma tam odpowiednie podejście. Weterani ciągłych powrotów.

Jedno z niewielu miejsc, gdzie nie wciskają

kitu. Przed zamknięciem personel szpitala przysyła grupę kontrolną. Jesteś tam, to cię zwiną.

Wypił duszkiem pół kufła i ciągnął dalej:

- Za drugim razem dostałem dwa dni. Wyłaziłem ze skóry. Chłopie, wpadłem do baru jak bomba.

- A teraz?

- To, co widzisz, jest częścią tego, co sam miałeś. Piję na hamulcu.

- I działa?

- Nie.

Poszedłem zamówić mu kolejne piwo. Patrzyłem w ziemię. Barman zapytał:

- Jeszcze jedną colę?

- Wolałbym poderżnąć sobie żyły.

Cholernie mu się to spodobało. Kiedy wróciłem do Suttona, opowiedziałem mu o wypchanym portfelu.

- Odjechałeś na orbitę mniej więcej dwanaście dni temu... prawda? Przypominam sobie, że obrobiono wtedy jakiegoś dilerę prochów.

- Co takiego?

- Tak, jakiegoś małolata punka. Ktoś go złomotał koło mostu Salomona Weira i zabrał mu utarg. Gliniarze byli zachwyceni.

Zerknął na moją zabandażowaną na nowo rękę, mruknął:

- Mmm...m...hm.

Potem spojrział na mnie i zapytał:

- Czemu nie pytasz o pana Forda, nieodżałowanego pedofila?

- Miałem nadzieję, że to element pijackich majaków.

- Nie martw się, stary. Orzeczenie: śmiertelny wypadek. Poszedłem na pogrzeb.

- Żartujesz.

- Mało ludzi. Większe tłumy masz na meczu Hibsów.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Sutton poklepał mnie po ramieniu.

- Krzyżyk mu na pierdoloną drogę.

Dotarłem do domu koło ósmej. Mieszkanie było zimne i opuszczone. Koło okna leżała butelka po

koniaku. Podłączyłem na nowo telefon i zadzwoniłem do Ann. Poznała mnie natychmiast.

- Dzięki Bogu, Jack...Wszystko w porządku?

- Tak, doskonale... Musiałem wyjechać... Potrzebowałem trochę czasu...

- Ale już wróciłeś.

- Tak.

- To cudownie. Palłam świece w twojej intencji.

- Bóg mi świadkiem, że tego potrzebowałem.

Roześmiała się i napięcie znikło. Umówiłem się z nią następnego dnia na lunch. Kiedy odłożyłem słuchawkę, zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie powiedziałem jej, że jestem trzeźwy. Nie trzeźwy, ale nie pijący. Ogromna różnica. Jeżeli trzeźwość jest tym samym, co bycie zdrowym na umyśle, miałem jeszcze przed sobą daleką drogę. Nic jej nie powiedziałem, ponieważ nie wiedziałem, czy kiedy ją spotkam, będę pił.

Od coli potwornie rozbolała mnie głowa, ale mogłem dać sobie z tym radę. Z uczuciem niezdrówia trudniej było się uporać.

Obejrzałem w telewizorze jakieś złe programy i o jedenastej go wyłączyłem.

W łóżku kręciłem się i wierciłem, ale za żadne skarby nie mogłem przypomnieć sobie twarzy pedofila.

KOŁYSZ

MNIE

ŁAGODNIE

Czy sny mają ścieżkę dźwiękową? Na przykład w czasie koszmarów heavy metal albo Boyzone. Kiedy spałem, wydawało mi się, że South California gra swój najłagodniejszy kawałek. Śnił mi się ojciec. Byłem bardzo małym dzieckiem i trzymałem go za rękę na Eyre Square. Przejechał autobus i nagle uświadomiłem sobie, że potrafię literować... Mogłem przeczytać na głos reklamę. Na boku...

„Paddy”

Był uszczęśliwiony. Nie tylko dlatego, że było to pierwsze przeli-terowane przeze mnie słowo, ale również jego imię. Bardziej cynicznie można by stwierdzić, że moim pierwszym słowem była nazwa irlandzkiej whisky.

Ale nic nie przytłumi ciepła tej chwili. Czuję się z nim pełną jednością. Lata, doświadczenia, życie wiele razy nadwerężały ten związek, ale tylko powierzchownie.

Obudził mnie telefon. Nie mogłem dostrzec zegarka. Wymamrotałem:

- Halo.

— Jack, tu Sutton.

— Która godzina?

- Późniejsza niż myślisz.

- Jezu, Sutton, o co chodzi?

- Myślałem, że cierpisz, potrzebujesz łyka.

- Spałem.

- Akurat ci uwierzę. W każdym razie, kiedy cię nie było, jakieś dzieciaki zabrały się do palenia pijaczków.

- Co?!

- Tak, a pijaczki to nasze bratnie dusze. Są chodzącą istotą rzeczy. W każdym razie jestem tu z kilkoma podobnie myślącymi ludźmi i mamy zamiar dorwać prowodyra dzieciaków.

- I co z nim zrobić?

- Spalić skurwysyna.

- Jezu, Sutton.

- Może chciałbyś się przyłączyć, poigrać z ogniem?

- Odbiło wam? To samosąd.

- To sprawiedliwość, człowieku.

- Sutton, powiedz mi. Jesteś na hamulcu czy bez? Zaśmiał się jak wariat.

- Muszę lecieć, pora na grill.

Nie mogłem po tym zasnąć. Chodziłem po pokoju kilka godzin, niemal gryząc tapety.

Podszedłem do regału, wziąłem Johna Sanforda. Wydał dwanaście książek w serii Prey i zaryzykowałem ten fragment.

„Twarde lądowanie. Przez trzy dni orbitował na kokainie. A potem, ubiegłej nocy, wstąpił do sklepu monopolowego po butelkę sto-licznej. Trudno liczyć na gładkie lądowanie po trzydniowym ciągu, ale wódka zmieniła przymusowe lądowanie bez podwozia w kraksę i pożar. A teraz płacił za to. Teraz będzie musiał dać sobie z tym radę”.

Dosyć.

Całe szaleństwo w tym, że wcale nie musiałem napić się za wszelką cenę. Nie byle czego. O nie, to musiała być lodowata stoli.

Z powrotem do łóżka. Sen przyszedł niechętnie, stawiając warunki.

Kano włączyłem dziennik o dziewiątej. Trzecia informacja brzmiała:

„W późnych godzinach nocnych młody człowiek został podpalony i doznał poważnych obrażeń. Zdarzenie miało miejsce na Eyre Square. W związku z tą napaścią Garda pilnie poszukuje czterech mężczyzn. Komisarz Clancy skomentował pojawiające się sugestie, że był

to odwet za niedawne podpalenia bezdomnych:

»Będziemy zdecydowanie przeciwdziałać wszelkiego rodzaju samosądom lub też próbom wymierzania sprawiedliwości przez osoby prywatne«”.

Potem zaczął bredzić, wygłaszając miniorędzie o stanie państwa i wyłączyłem go.

fnalazłem się w Grogan's po jedenastej i Sean zapytał z niepokojem:

- Prawdziwa kawa czy fusy?

- Najlepsza, jaką masz.

Ulga, z jaką to przyjął, była aż smutna. Wrócił z dzbankiem kawy i tostem.

- Musisz mieć trochę podkładki.

- Siadaj - powiedziałem. - Chciałbym cię o coś zapytać.

- Strzelaj.

- Pamiętaj, że osoba, która cię pyta, miała niedawno... powiedzmy... ograniczony kontakt z rzeczywistością.

Kiwnął głową.

- Czy ze mną jest coś nie tak, czy Suttonowi odbiło? Parsknął z pogardą.

- Od początku go nie cierpiałem. —. Dobra... ale co myślisz.

- Nigdy nie rozumiałem, co w nim widzisz. To było jak rwanie zębów.

- Dobra, Sean... Rozumiem, ale co myślisz.

- Powinno się go zamknąć.

- Dzięki, Sean. Bezstronna opinia to więcej niż mógłbym sobie wymarzyć.

Sean wstał.

- Powiem ci coś jeszcze, Jack. - Parsknął.

Zupełnie jakbym mógł go powstrzymać.

- Ten facet zmierza prosto do piekła i pociągnie za sobą tyłu, ilu zdoła.

Ilzczony facet pojawił się godzinę później.

- Pomyślałem, że cię tu znajdę. Sean... duże piwo przed Wielkim Postem.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Wciąż trzeźwy? Jestem pod wrażeniem. Ile to już dni?

- Trzydzieści.

- Wariatkowo się nie liczy.

- Dla mnie tak.

Sean przyniósł piwo i postawił je z trzaskiem.

- Stary zrzęda - burknął Sutton.

- Słyszałem wiadomości - powiedziałem.

- Solidnie się hajcował... jak na takiego małego skurwiela. Najlepsze jest to, spodoba ci się, że jego kumple płakali i wrzeszczeli: „Wezwać policję”. Czy to nie bezcenne?

- Mogliście go zabić.

- Cóż, robiliśmy, co w naszej mocy.

Sutton był poza wszelką kontrolą. Zupełnie jakby w końcu znalazł powołanie. Wydawało się, że zaraz zacznie chichotać. Pochylił się do mnie.

- Wszystko przez ciebie, Jack.

- Przeze mnie?!

- Przetarłeś szlak z tym zbokiem. Oni nie tylko są winni, ale i śmiertelni.

- Daj spokój, Sutton, nie widzisz, że to wariactwo?

- Ależ tak. Cudowne szaleństwo.

REKA KOŁYSZĄCA KOŁYSKĘ

Umówiłem się z Ann w chińskiej restauracji. Zostawiłem Suttona mamroczącego do siebie.

Sean przechwycił mnie w drzwiach.

- Zdejmuję jego obraz - oświadczył.

- Oj, nie rób tego, Sean.

- Jest beznadziejny, ludzie chcą, żeby wróciły kije.

- Poczekaj z tym trochę. W tej chwili jest dość przewrażliwiony.

- Przewrażliwiony? Ten typ? Uwije ci w ucho gniazdo i zażąda czynszu.

Poszedłem do Madden's i kupiłem sześć czerwonych róż. Do tej pory nigdy, ale to nigdy nie kupowałem kwiatów. Ekspedientka spytała:

- Mam zrobić wiązanekę czy bukiet?

- Nie wiem.

Roześmiała się, a ja powiedziałem:

- Gdyby mogła je pani jakoś zawinać, żeby...

- Żeby ludzie nie widzieli, prawda?

- No tak.

- Ach, niech pan da spokój. Trzeba prawdziwego mężczyzny, żeby chodzić z kwiatami.

Bez względu na to, jak je trzymałem, rzucały się w oczy. Oczywiście musiał to być akurat ten dzień, w którym spotyka się wszystkich znajomych. I każdy musiał wysilić się na jakiś dowcip.

„Ach, czy to nie słodkie”.

„Powiedz to kwiatami”.

„Sam jesteś małym kwiatkiem”.

I tak dalej.

Przyszedłem do restauracji wcześniej i schowałem je pod stół -i to szybko. Kierowniczka zaproponowała:

- Włożę je do wody.

- Nie ma potrzeby... słowo daję.

Kiedy zapytała, czego się napiję, powiedziałem:

- Piwa... nie... proszę... colę.

Pot spływał mi strumieniami po ciele.

Ann wyglądała... fantastycznie. Nie ma innego słowa. W ustach mi zaschło, serce łomotało.

Wstałem i powiedziałem w natchnieniu:

- Ann. i

Objęła mnie mocno, potem cofnęła się, by mi się przyjrzeć i powiedziała:

- Broda jest urocza.

- Dzięki.

- Wyglądasz zupełnie inaczej i nie tylko ze względu na brodę. Nie wiedząc, co jeszcze mógłbym zrobić, sięgnąłem po kwiaty.

Rany, trafienie w dziesiątkę!

Usiedliśmy.

Wciąż spoglądała na kwiaty i na mnie. Gdybym miał określić, jak się czuję, musiałbym przyznać, że skrępowany. Facet pod pięćdziesiątkę i takie emocje.

- Chyba jestem trochę skrępowana - powiedziała.

- Ja też.

- Naprawdę, Jack? To wspaniale. Przyszła kelnerka i zamówiliśmy całą górę chow mein dim sum słodko-kwaśne A potem zapytała:

- Coś do picia?

Przejąłem inicjatywę:

- Poproszę jeszcze jedną colę... a ty, Ann?

- Też wezmę colę.

Kiedy kelnerka odeszła, Ann powiedziała:

- Już wiem, twoje oczy. Są białe.

- Białe?

- Nie to, chciałam powiedzieć..., jasne.

- W porządku, wiem, co masz na myśli. Cisza. W końcu się odezwała:

- Czy mogłabym zapytać, a może... nie poruszać tematu?

- Sam dla siebie jestem nowy, ale jasna sprawa, pytaj.

- To trudne?

- Trochę.

Przyniesiono jedzenie i zajęliśmy się nim. Lubiałem przyglądać się, jak je. Zauważyła to i spytała:

- O co chodzi?

- Lubię patrzeć, jak jesz.

- To dobre, prawda?

- Uważam, że tak.

Po tem przespacerowaliśmy się po Quay Street. Wzięła mnie pod ramię. Spośród wszystkich dobrych gestów ten był najlepszy. Na Jury's zatrzymaliśmy się i powiedziała:

— Muszę pojechać teraz na cmentarz. Robię to każdego dnia i po takim wspaniałym dniu chciałabym podzielić się nim z Sarah.

- Pójdę z tobą.

- Chcesz?

- To dla mnie zaszczyt.

Złapaliśmy taksówkę na Dominick Street i ledwo wsiedliśmy, kierowca spytał:

- Słyszeliście państwo o historii na placu? Ann odpowiedziała:

— Czy to nie koszmarne?

Nie odezwałem się. Taksjusz oczywiście był innego zdania.

- Ludzie są wkurzeni na policję i sądy. Mają dość. Ann nie ustępowała.

— Z całą pewnością nie pochwała pan tego, co się stało.

— Niech pani posłucha. Gdyby pani widziała te typki, które przychodzą tu w nocy i rozrabiają.

— Ale żeby kogoś podpalać...

- Czy te szczeniaki nie robiły tego samego z pijaczkami? Nawet policja o tym wie.

- Mimo wszystko.

- Z całym szacunkiem, proszę pani, ale gdyby coś się stało z pani dzieckiem...

RECEPTA NA WYCHOWANIE POETY;

Tak wiele nerwicy, ile dziecko zdoła znieść,

W.H.Auden

Szliśmy do grobu Sarah w milczeniu. Nie trzymała mnie już pod rękę.

Tyle irlandzkiego współczucia. Przydałoby mi się w większości wypadków.

Grób był niewiarygodnie dobrze utrzymany. Prosty, drewniany krzyż z jej nazwiskiem.

Wokół niego leżały

misie

pieski

słodyczne

bransoletki

Wszystko idealnie poukładane.

- Jej przyjaciele. Zawsze przynoszą prezenty - wyjaśniła Ann. Pomyślałem, że to chyba najbardziej wzruszający widok ze wszystkich.

- Ann, zostawmy jej róże - zaproponowałem. Rozpromieniła się.

- Jack, naprawdę nie będziesz miał nic przeciwko temu? Kocha róże... kochała. Nie mogę używać właściwego czasu. Jak mogłabym ją skazać na ten straszliwy czas przeszły?

Delikatnie położyła róże i usiadła niedaleko krzyża.

- Chcę, żeby na kamieniu był napis „Poetka”. Nic więcej. Tak bardzo chciała nią zostać.

Nie byłem pewien, jaka etykieta obowiązuje wobec umarłych. Czy powinienem uklęknąć, czy usiąść? I nagle zorientowałem się, że Ann mówi do swojej córki. Ciche, łagodne dźwięki odbijały się echem w mojej duszy.

Wycofałem się. Zacząłem iść i niemal wpadłem na leciwą parę.

- Piękny dzień, prawda? - powiedzieli. Jezu. Szedłem dalej i dotarłem do grobu ojca.

- Tato, jestem tu przypadkiem, ale przecież... czy nie tak jak wszyscy?

Niewątpliwie bredziłem. Gdyby zobaczył mnie Sutton, zmusiłby mnie, żebym się napił. Na mogile stał kamień nagrobny i to było najgorsze. Ostateczne, niepodlegające żadnej apelacji.

Kiedy jest to tylko zwykły krzyż, przynajmniej ma się wrażenie tymczasowości.

Ann stanęła za moimi plecami.

- Twój tato? - spytała. Kiwnąłem głową.

- Lubiłeś go?

- Boże, tak.

- Jaki był?

- Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek chciał być nim, ale pragnąłem, żeby ludzie lubili mnie tak jak jego.

- Gdzie pracował?

- Na kolei. Wtedy to nie była zła praca. Co wieczór, koło dziewiątej, nakładał czapkę i szedł

na parę kufelków Dwa duże. Niekiedy nie zadawał sobie trudu. Testem na alkoholizm jest to, czy umiesz wypić dwa dziennie i na tym poprzestajesz. Ja potrafiłem czekać tydzień i wypić w piątek czternaście.

Uśmiechnęła się niepewnie. Teraz ja mówiłem. Jak wariat.

- Kiedy wstąpiłem do policji, nie komentowałem tego. Powiedział tylko: „Uważaj, żebyś się tam nie rozpił”. Kiedy mnie wywalili, oznajmił: „Powód twojego odejścia przynosi ci więcej chluby niż wcześniejsze zasługi”. Na samym początku w Templemore instruktor powiedział:

„Możemy bezpiecznie uznać, że Taylor ma wspaniałą przyszłość za sobą”. Był kimś, kogo nazwałabyś „gazownikiem”. Teraz jest ochroniarzem premiera, czyli dostał swój zasłużony deser. Mój ojciec lubił czytać, zawsze mówił o potędze druku. Kiedy zmarł, jakiś facet zatrzymał mnie na ulicy i oznajmił: „Twój ojciec był psem na książki”. Powinienem umieścić ten tekst na jego nagrobku. Byłby uszczęśliwiony.

Wyrzuciłem z siebie niemal wszystko. Ale jeszcze przybłąkały się jedna czy dwie myśli.

- Mam przyjaciela, Suttona. Nosił podkoszulek z napisem: „Jeżeli arogancja jest błogosławieństwem, Spójrzcie na święte miasto”. Ann zrobiła zdziwioną minę.

- Nie rozumiem.

- Jego też byś nie rozumiała. Ja zresztą chyba też.

Zapytała, czy chciałbym pójść do niej, do domu. Powiedziałem, że oczywiście.

Mieszkała w Newcastle Park. Tuż koło szpitala. Od kostnicy prowadzi ulica o nazwie Mass Path. Nie wiem, czy mógłbym często nią chodzić.

Budynek był nowoczesny, jasny, czysty i wygodny. Wyglądał przytulnie.

- Zrobię herbatę - oświadczyła.

Pojawiła się ze stertą kanapek na tacy. Fajnych, staroświeckich, na grubych kromkach z przypieczoną skórką, z masłem, szynką i pomidorami.

- Wspaniale wyglądają - pochwaliłem.

- Kupuję chleb u Griffina. Tam zawsze jest paczkowany. Po drugiej filiżance herbaty odezwałem się:

- Ann, muszę z tobą pomówić.

- To zabrzmiało złowieszczo.

- Chodzi o śledztwo.

- Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, mam jeszcze.

- Usiądź. Nie potrzebuję pieniędzy. Miałem... farmaceutyczny przyływ gotówki, więc tym się nie martw... Posłuchaj. Jeżeli powiem ci, że człowiek odpowiedzialny za śmierć Sarah nie żyje, czy to by cię zadowoliło?

- Jak mam to rozumieć? Nie żyje? -Tak.

Wstała.

- Ale nikt o tym nie wie. Chodzi o to, że wciąż uważa się jej śmierć za samobójstwo. Nie mogę pozwolić, by jej przyjaciele, szkoła, wierzyli, że to zrobiła.

- W porządku.

- W porządku? Co to znaczy, Jack? Możesz dowieść prawdy?

- Nie wiem.

Oznaczało to, że będę musiał zająć się Planterem. Gdyby zgodziła się na moją propozycję, mógłbym odpuścić.

Chyba.

Ale Sutton z całą pewnością nie zamierzał zostawić go w spokoju, nie sądziłem więc, bym miał jakiś wybór.

Nie głoszę żadnych zasad moralnych.

Pracuję jedynie jak najbliżej

własnych nerwów,

Francis Bacon

Później, wieczorem, poszliśmy do łóżka. Byłem zdenerwowany jak wszyscy diabli.

Uprzedziłem ją:

- Chyba nigdy dotąd nie kochałem się na trzeźwo.

- Przekonasz się, że będzie lepiej. Było.

Koło północy ubrałem się, a Ann zapytała:

- Czemu nie zostaniesz?

- Jeszcze nie.

- Dobrze.

Nagle wstała z łóżka i wyszła. Wróciła po kilku minutach, niosąc coś ze sobą.

- Chciałabym, żebyś coś zobaczył.

- Nie ma sprawy.

- To pamiętnik Sarah.

I podała mi książkę w różowej skórzanej oprawie. Wzdrygnąłem się.

- Ann. Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie mogę czytać pamiętnika nastolatki. To niewłaściwe.

- Ale czemu? Zorientujesz się, kim jest... była. Proszę.

- Nie. Naprawdę nie chcę tego robić.

Nie potrafiłem jej powiedzieć, że nic nie skłoni mnie szybciej do sięgnięcia po butelkę niż taka lektura. Spojrzenie w głąb duszy młodej nieżyjącej dziewczyny.

Ciągle podawała mi pamiętnik.

- Spróbuję - poddałem się. - Nie mogę obiecać, że będę w stanie, ale zerknę do niego.

Objęła mnie, pocałowała w szyję.

- Dziękuję, Jack.

Kiedy szedłem do domu, zeszyt ciążył mi w kieszeni jak bomba. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Cathy B. Poprosić, żeby ona przeczytała. Ale nie mogłem tak po prostu oddać jej pamiętnika. Ann nigdy by się na coś takiego nie zgodziła. Klnąc jak szewc, dotarłem do domu dziesięć minut później. Położyłem zeszyt pod łóżkiem, żeby nie mógł go zobaczyć po przebudzeniu. Nie było mowy, abym otworzył go w nocy.

Rano wziąłem prysznic, napiłem się kawy, pochodziłem po mieszkaniu i wreszcie postanowiłem stawić mu czoło.

Okladka była sfatygowana, różowa skóra wystrzępiona od częstego otwierania i zamykania.

W środku był napis:

„Ten pamiętnik jest własnością

Sarah Henderson,

Poetki.

Irlandia.

I jest PRYWATNY

A więc nie zaglądamy, Mamo!"

Chryste, gorzej niż przypuszczałem.

Wyłączyłem umysł i spróbowałem jeszcze raz. Wiele wpisów było łatwych do przewidzenia.

Szkoła, przyjaciele, muzyka, ciuchy, diety, chwilowe zadurzenia.

Byłem w stanie przebrnąć przez nie, ale raz po raz

„Mama mówi, że na Boże Narodzenie mogę dostać komórkę. Podoba jej się NAJLEPSZA".

Chciało mi się wyc.

Dotarłem do miejsca, kiedy zaczęła pracować na pół etatu u Płan-tera.

„Pan Ford jest taki obciachowy.

Wszystkie dziewczyny wyśmiewają się z niego

za jego plecami. Jest takim dziwnym typem".

Nagle ton się zmienił. Teraz była podniecona, upojona, zachwycona.

„Bart zapytał, czy chciałabym, żeby mnie podwiózł do domu. Jego wóz to bomba. Chyba się strasznie zabijałam".

Potem Bart... tylko to imię... albo serce z Bartem i Sarah... całymi stronicami.

Ostatni wpis:

„Nie mogę już dłużej prowadzić pamiętnika. Bart mówi, że to dla dzieci. Obiecał mi złotą bransoletkę, jeżeli pójdę w piątek na imprezę".

Wziąłem telefon, zadzwoniłem do Cathy.

- Gdzie, u diabła, byłeś?

- W konspiracji.
- Z cholernym kacem.
- To też.
- Będziesz pewnie czegoś chciał?
- Coś dość prostego.
- Co takiego?
- Kiedy rozpracowywałaś Plantera, robiłaś notatki?
- Oczywiście.
- Dobra dziewczynka. Jak miał na imię?
- Niech sprawdzę. Po chwili:
- Mam go. Zobaczmy... aha, dobra, mam go... Bart... holomew.
- Wspaniale!
- Nie wyłączaj się. Słuchaj, mam występ.
- Cudownie, kiedy?
- W tę sobotę, w The Roisin. Przyjdiesz?
- Na pewno. Mogę kogoś przyprowadzić?
- Choćby setkę.

LAMENT Z GALWAY

Patrzyłaś — przez

kwiecień

z miejsca

gdzie wyrozumiałość

/..zwie się hartem ducha.

W Roisin Dubh odbywała się większość wydarzeń muzycznych. Wciąż panuje tu atmosfera zażyłej poufałości. I naprawdę jest tłoczno. Ann miała na sobie krótką skórzaną kurtkę, wypłowiałe lewisy 501, włosy związane z tyłu.

- Fantastyczny strój na koncert - powiedziałem.

- Jest w porządku?

- Dynamit.

Ja wybrałem czerni. Czarny podkoszulek i takie same sztruksy. Ann stwierdziła:

- Wyglądasz jak zepsuty ksiądz.

- Rozpieszczony?

- Nie, zepsuty, czyli... złajdaczony.

- Hm... moglibyśmy nad tym popracować. Przecisnęliśmy się przez tłum tuż pod scenę.

- Słuchaj, mam zamiar pójść zobaczyć, co u Cathy.

- Będzie zdenerwowana?

- Ja jestem.

Cathy siedziała w maleńkiej garderobie.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz - powitała mnie.

- Tak?

- Jasne, wciąż masz jeszcze pewne odruchy, nawet jak na takiego starego zgreda. Masz...

Nalała mi szklankę. Podwójne, nie, potrójne coś.

- Co to takiego? - spytałem.

- Jack... czyli daniels. Na pierwszego kopa.

- Nie, dziękuję.

- Co takiego?

- Nie piję. Odwróciła się do mnie.

- Co powiedziałeś?

- Od kilku dni. Pracuję nad tym.

- Rany!

Oddałbym za tę lufę zęby trzonowe. Światło wydawało się załamywać w szkłe, płyn iskrzył.

Odwróciłem wzrok. Cathy spytała:

- A broda? Po co ci?

- Taki kaprys.

- Irlandzka odpowiedź. Zupełnie nic nie mówi. Wynoś się... Muszę się skupić.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy.

- Gwiazda estrady. Ann trzymała napoje.

- Cola... ale nie miałam zamiaru niczego ci narzucać.

- Doskonale.

Różni ludzie wołali do mnie „cześć”, oceniali moją brodę, przyglądali się Ann.

Światła przygasły i wydawało mi się, że dostrzegłem Suttona przy barze.

Potem pojawiła się Cathy. Tłum przycichł.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć!

Wystartowała punkową wersją Galway Boy. Podobna do tego, co Sid Vicious zrobił z My Way. Cała różnica w tym, że Cathy potrafiła śpiewać. Nadała piosence znaczenie, które przestałem dostrzegać, słuchając jej tyle razy. Potem był Powderfinger Neila Younga.

Miała szeroki repertuar, od Chrissie Hynde przez Alison Moyet i kończąc na Misguided Angel Margo Timmins. Przeszła przez to jak

burza. Potem zniknęła. Ogromne brawa, gwizdy, wołania o bis. Powiedziałem Ann:

- Nie będzie bisów.

- Dlaczego?

- Nigdy nie zostawia nic w rezerwie. Idzie na całość. Miałem rację.

Zapaliły się światła. Całą salę ogarnęła fala przyjaźni, dobrej woli.

- Jest niezwykła - stwierdziła Ann. - Co za głos.

- Napijesz się? Weź coś prawdziwego. Mną się nie przejmuj. Naprawdę.

- Białe wino.

- Dobra.

Wziąłem wino z baru, odwróciłem się i zobaczyłem Suttona, blokującego mi drogę. Spojrzał na kieliszek.

- Wino? To na początek.

- Nie dla mnie.

- Mniejsza z tym. Ta angielska laska z całą pewnością potrafi śpiewać. Chyba mogłaby człowieka zamęczyć w łóżku.

- Nie w twoim typie.

- Wszystkie są w moim typie. Pamiętasz naszego pana Plantera?

- Jasne.

- Uwielbia obrazy. Uważa się za kolekcjonera.

- Rozmawiałeś z nim?

- Uroczy człowiek. Mam być u niego jutro w południe. Możesz iść ze mną jako mój asystent.

- Co zamierzasz?

- Oprawić skurwiela w ramki. Jestem malarzem, Jack. Pamiętasz? Zabiorę cię o jedenastej trzydzieści.

Dałem Ann wino i powiedziałem:

- Tylko pójde pożegnać się z Cathy.

- Powiedz jej, że była super.

Prawdziwy gałwajski epitet, najwyższa pochwała. Garderoba Cathy była pełna wielbicieli.

Twarz dziewczyny była zaczerwieniona, oczy błyszczały.

- Byłaś sensacyjna.

- Dzięki, Jack.

- Jesteś zajęta. Chciałem ci tylko to powiedzieć.

- Nie gól brody.

- Tak uważasz?

- Dzięki niej wyglądasz, jakbyś miał charakter.

Wąż ukąsi! tyłu ludzi, że niewielu odważało się wyjść z domu.

Przypisywano Mistrzami poskromienie męża, W rezultacie mii i, ciągnąc węża za ogon.

Wąż poskarżył się Mistrzowi, który powiedział:

— Ludzie przestali się ciebie bać, a to źle.

Powiedziałeś, żelami nie stosowałam przemocy.

Nie? powiedziałem a, żebyś przestał gryźć -

a nie, żebyś przesiał syczeć.

następnego ranka rzeczywiście zrobiłem sobie śniadanie. Brak nudności, kaca, był czymś niezwykłym. Twarz mi się goiła, a broda ukrywała resztę. Zrobiłem jajecznicę i ukroiłem grubą kromkę chleba. Wpadłem do Griffina.

Pełny kubek herbaty i byłem gotów. Ktoś załomotał do drzwi.

- Kurwa — zakląłem. To był Sutton.

- Jezu, która godzina? - spytałem.

- Człowieku, w ogóle się nie kładłem.

- Wejdz, zjedz śniadanie.

Wszedł za mną do pokoju, a ja ruszyłem do kuchni po drugi talerz.

- Dziękuję! - zawołał za mną. -Ja swoje wypiję.

- Mam tylko jakąś taną szkocką whisky.
- A ja jestem tani facet. Daj mi kawy, żeby ją zabarwić. Jajecznicą wystygła. Kiedy przyniosłem mu kawę i butelkę szkockiej, pokazał palcem mój talerz.
- Przysięgnij, że nie będziesz tego jeść.
- Nie będę. Mam taką manię, że jem swoje posiłki, kiedy są choć trochę ciepłe.
- Ooo... drażliwy.

Rozejrzał się i oświadczył:

- Mógłbym tu być szczęśliwy.
- Co takiego?
- Wpadłem pewnego dnia, kiedy ty bujałeś po świecie. Pogawędziłem z twoją sąsiadką Laurą.
- Lindą.
- Mniejsza o to. Tępa wiocha z tym swoim chamskim sprytem. Oczywiście, oczarowałem ją do omdlenia. Nie dosłownie, oczywiście. Kiedy usłyszała, że jestem artystą, zaproponowała mi twoje mieszkanie.
- Co zaproponowała?
- Czy tu jest jakieś echo? Tak, powiedziała, że się wyprowadzasz, a ona szuka odpowiedniego lokatora.
- Wredna suka.
- Powab sztuki, co?

Wstał, dopił kawę, wytrzeszczył na mnie oczy i oznajmił:

- Hej, stary. Czy mógłbym cię tak wyrolować? Jesteś dla mnie najważniejszym człowiekiem.

Lepiej ruszajmy, sztuka nas woła.

Na zewnątrz stał sfatygowany VW golf. Jaskrawożółty.

- Powiedz mi, że to nie to.
- To. Volvo się rozkraczyło. Musiałem pożyczyć ten.
- Na pewno zauważą, że nadjeżdżamy.

- Oczywiście.

Planter mieszkał w Oughterard. Dom stał tuż przed wioską. Dom to zbyt blade określenie.

Najwyraźniej naogładał się Dallas i postanowił urządzić sobie irlandzki Southfork.

- Jezu -jęknąłem.

- Czyż nie robi wrażenia?

Długi, obsadzony drzewami podjazd, a potem główny budynek. Z bliska jeszcze bardziej krzykliwy. Sutton uprzedził:

- Ja będę mówił.

- To coś nowego.

Zadzwoił, a ja zauważyłem nad górną framugą kamerę ochrony. Drzwi otworzyła młoda kobieta w stroju pokojówki.

- Que?

Sutton uśmiechnął się w swoim najlepszym, oślepiająco demonicznym stylu.

- Buenas dias, señorita. Jestem senor Sutton, el artist. Zachichotała nerwowo i wpuściła nas do środka. Spojrzałem na

Suttona.

- Mówisz po hiszpańsku?

- Ja mówić.

Zaprowadziła nas do wystawnie urządzonego gabinetu.

- Momento, porfauor — powiedziała.

Na każdej ścianie wisały obrazy. Sutton obejrzał je uważnie.

- Jest tu trochę dobrych rzeczy — oznajmił.

- Cieszę się, że spotkały się z pańskim uznaniem — rozległ się za nami głos.

Odwróciliśmy się.

W drzwiach stał Planter. Nie jestem pewien, czego się spodziewałem, ale przy takim domu, interesie i reputacji wyobrażałem sobie wielkiego faceta. Pomyłka. Miał mniej więcej metr sześćdziesiąt parę wzrostu, był prawie łysy, o silnie pobrużdżonej twarzy. Jego ciemne oczy niewiele zdradzały. Ubrany

był w sweter i bardzo sfatygowane sztruksy. No jasne, a na dwór zakładał złachaną do imentu kurtkę firmy Barbour. Nikt nie wyciągnął ręki, by się przywitać.

Nie ta atmosfera. Sutton nas przedstawił:

- Jestem Sutton, a to Jack, mój asystent. Planter kiwnął głową i zapytał.

- Coś do picia?

Klasnęła i pojawiła się pokojówka. Sutton powiedział:

- Dos cewezas.

Staliśmy w milczeniu, dopóki nie powróciła z dwoma butelkami piwa na tacy. Sutton wziął obie.

- Jack się nie przyłączy. Nie płacę pomocnikom za picie. Planter uśmiechnął się przelotnie.

- Proszę usiąść - powiedział.

Sam podszedł do skórzanego fotela. Zerknąłem, by sprawdzić, czy sięga stopami podłogi.

Sutton usiadł naprzeciwko niego, ja stałem.

- Od jakiegoś czasu podziwiam pańskie prace - oznajmił Planter. - Wpadłem na pomysł, żeby coś u pana zamówić.

Sutton skończył jedno piwo, beknął i zapytał:

- Co powie pan na portret?

- Maluje pan portrety?

- Jak dotąd nie malowałem, ale po paru piwach mogę machnąć Timbuktu.

Planter nie przejmował się zachowaniem Suttona. Wręcz przeciwnie, najwyraźniej uznał je za zabawne.

- Bez wątpienia. Ale myślałem raczej o krajobrazie. Wtrąciłem się.

- A co pan powie na wodę? Spojrzał na mnie, zaskoczony.

- Słucham?

- Woda, Bartholomew. Nie przeszkadza ci, że tak cię nazywam? Może Pirs Nimmo, żeby odświeżyć ci pamięć?

Wstał.

- Chciałbym, żebyście sobie poszli.

- Mógłbym wypić jeszcze jedno piwo - oznajmił Sutton.

- Mam wezwać pomoc?

- Nie, sami wyjdziemy - odparłem. - Ale będziemy w kontakcie w sprawie Nimmo.

Brak mi wielu rzeczy,

ale najbardziej

brak mi siebie samego.

Przed domem Plantera powiedziałem Suttonowi:

- Daj mi kluczyki.
- Mogę prowadzić.
- A jeżeli fiutas wezwał policję?

Nigdy nie byłem świetnym kierowcą. Z zabandażowaną lewą ręką stałem się prawie niebezpieczny. Mimo wszystko byłem lepszym wariantem niż nawalony Sutton. Parę razy zgrzytnąłem biegami i Sutton wrzasnął:

- Spalisz sprzętło!
- Powiedziałeś, że samochód jest pożyczony.
- Pożyczony, a nie spisany na złom.

Jechałem wolno, starając się nie zwracać uwagi na zniecierpliwienie innych kierowców.

- Spieprzyłeś sprawę - oświadczył.
- Co proszę?
- Planter! Chyba uzgodniliśmy, że będziesz trzymał gębę na kłódkę.
- Nie leży mi rola wynajętego pomocnika.
- Chciałem z nim pograć, bardziej nabełtać mu w głowie.
- Nabełtaliśmy mu dosyć. Po prostu trochę wcześniej.
- I jaki jest teraz plan?
- Poczekamy, zobaczymy.
- To jest twój plan?
- Nie powiedziałem, że jest dobry, ale nie ma innego.

Kiedy w końcu dotarliśmy do Galway, Sutton spał. Trąciłem go. Wzdrygnął się i burknął:

- Co do kurwy nędzy!
- Siadaj za kółkiem, jesteśmy na miejscu.

- Człowieku, miałem wredny sen. Tobe Hopper byłby z niego dumny. Mam wrażenie, jakby mi kanarek nasrał do gęby.

- Chcesz wejść, wziąć prysznic?

- Nie, walnę się do leaba.

"Wysiadłem i czekałem. Sutton otrząsnął się i zapytał:

- Jack, chyba nie chcesz mnie sprzedać?

- Co?

- Bobby mi się to nie spodobało. Ty i ja jesteśmy ze sobą związani.

- Komu miałbym cię sprzedać?

- Policji. Znasz stare powiedzenie... raz się jest gardał Mógłbyś chcieć zarobić parę plusów u starych kumpli.

- Wariackie gadanie. Spojrzał na mnie przeciągle.

- Starasz się zostać porządnym obywatelem, sam o tym wiesz. Bóg mi świadkiem, byłeś porąbanym moczymordą, ale przynajmniej przewidywalnym.

- Idź się przespać.

- A ty, Jack, pomyśl trochę.

Wrzucił bieg i z piskiem opon włączył się do ruchu. Poszedłem do mieszkania, próbowałem znowu przygotować jakieś śniadanie. Ale przeszła mi ochota. Ograniczyłem się do kawy i opadłem na krzesło. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział i czy jest jakaś prawda w jego oskarżeniach. Jeden kielonek spaliłby wszystkie szlachetne zamierzenia. A przy okazji wszystko inne.

Pomyślałem też o Planterze i nie miałem pojęcia, jak chcę udowodnić, że jest odpowiedzialny za śmierć Sarah. Kończył się też termin wypowiedzenia mieszkania. Skoro chcę zostać bezdomnym, przynajmniej mam już brodę.

Przez kilka następnych dni nic nie słyszałem o Suttonie. Sprawdziłem w Skeff, ale ani śladu.

Poszedłem do Grogan's i Sean dał mi prawdziwą kawę.

- Co takiego? Bez herbatnika?

- Nie potrzebujesz już wsparcia.

- Sean.

- Co?

- Znasz mnie... od kiedy?

- Od wieków.

- Słusznie. Widywałeś mnie w różnym stanie.

- Zgadza się.

- A więc, mówiąc krótko, znasz mnie lepiej niż ktokolwiek.

- Smutna prawda.

- Czy powiedziałbyś, że jestem zdolny sprzedać przyjaciela? Nawet jeśli pytanie go zaskoczyło, nie okazał tego. Wydawało

się, że poważnie się nad nim zastanawia. Oczekiwałem raczej gwałtownego: „Oczywiście, że nie”. W końcu spojrzał mi prosto w oczy i powiedział.

- Cóż, byłeś policjantem.

I muszę trzymać twoją

dłoń bez żadnego powodu.

W rzeczywistości czas nie mija. My mijamy. Nie mam pojęcia dlaczego, ale uważam, że to jedna z najsmutniejszych prawd, jakie poznałem. Bóg mi świadkiem, za wszystko, czego się uczyłem, płaciłem słoną cenę.

Największą wadą alkoholika jest absolutna niechęć do wyciągania wniosków z przeszłości.

O swojej wiedziałem, że jeżeli piłem, panował chaos. Nie miałem już złudzeń. A jednak dałbym wszystko, by odkręcić butelkę szkockiej i odlecieć. Albo nawet sprawić sobie piwną ucztę. Zamknąłem oczy i miałem przed sobą stół. Drewniany, oczywiście. Tuziny pienistych guinnessów stały w rzędku, by mnie powitać. Głowa... ach, po prostu ideał.

Wstałem i otrząsnąłem się. Te myśli zżerały mnie żywcem. Galway jest wspaniałym miejscem do przechadzek. Ulubiona trasa spacerów to promenada. Zazwyczaj tylko mieszkańcy odprawiali specyficzny rytuał. Zaczynasz na Grattan Road, potem idziesz pod Seapoint. Tam stajesz na chwilę, by posłuchać duchów dawnych kapel: The Royal

Dixies

Howdowners

The Miami

Nie powiem, że były to łatwe czasy. Na pewno jednak o wiele mniej skomplikowane. Telefon komórkowy w połowie jive'a zabija całą magię. Dalej wędrujesz obok Claude'a Tofta, wzdłuż plaży, aż w końcu docierasz do Blackrock. Tutaj dokonuje się rytualne kopanie. Stojąc pod murem, dotykasz go butem.

Ale się o nim rozniosło. Nawet Japończycy walą w kamień kopami karate.

Nie żałuję im tego, ale mimo wszystko spłaszcza to cały rytuał. Nie ma co gadać.

Poszedłem do miasta i postanowiłem dać sobie przed spacerem kofeinowego kopa.

Od kiedy pamiętam, zawsze byli tu wartownicy. Dwaj ludzie siedzący tu o każdej porze.

Zawsze ci sami. Ubrani w ciepłe robocze kurtki, spodnie z terylenu i w kaszkietach na głowach. Nigdy obok siebie. Zawsze zajmowali miejsca po przeciwnych końcach baru. Nie dałbym głowy, czy w ogóle się znali.

I jeszcze jedna rzecz.

Obojętne, jak by się człowiek skradał do tych facetów, którzy do nich podchodził, to się nie zmieniało. Dwie półlitrowe, do połowy pełne szklanki guinnessa. Ta synchronia doprowadzała do szału. Tego nie można było zaplanować. Jeżeli pewnego dnia wejdę i zobaczę pełne albo puste szkło, będę wiedział, że zaszła jakaś trwała zmiana.

Kiedy szedłem na swoje zwykłe miejsce, zerknąłem w tamtą stronę. Tak, obaj na miejscu, połówki przed nimi.

Sean był zaczepny jak wszyscy diabli. Bez słowa postawił przede mną kawę.

- I wzajemnie miłego dnia - powiedziałem.

- Nie pyskuj mi tu.

Przywołany do porządku, popijałem kawę. Niezbyt gorąca, ale uznałem, że tego ranka nie warto o tym wspominać. Zajrzałem do gazety. Przeczytałem, że gardai nie będą częścią nowych sił policyjnych UE, ponieważ nie są uzbrojeni. Podszedł facet, którego znałem z widzenia.

- Mogę zamienić słówko, Jack? — zapytał.

- Oczywiście, siadaj.

- Nie wiem, czy mnie sobie przypominasz. Jestem Phil Joyce.

- Jasne, że tak. Nic podobnego.

Usiadł, wyjął tytoń i bibułkę.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Pal.

Był jednym z tych zachłannych palaczy. Wsysał nikotynę tak, że skóra napinała mu się na kościach policzkowych. Wydmuchiwał dym z głośnym westchnieniem. Trudno zgadnąć - zadowolenia czy cierpienia.

- Znałem cię lepiej, kiedy chodziłeś na randki.

Boże, ale dawne czasy. Randki stały się niemal gatunkiem wymarłym. Wtedy człowiek spotykał się z dziewczyną, chodził do kina, na spacer i jeżeli miał szczęście, mógł bez żadnego powodu potrzymać ją za rękę. Teraz były „relacje” i na każdym etapie jest się zaskakiwanym

nieporozumieniami

upoważnieniami

i

wewnętrznym dzieckiem

Teraz randki ma się tylko z kokainą.

Nie przynosi się już kwiatów, ale przyprawdza psychoterapeutę.

- Słyszałem, że przestałeś dawać sobie w szyję — powiedział.

- Trochę.

- No i dobrze. Napiszesz mi referencje?

- Dokąd?

- Dla poczty.

- Oczywiście, ale nie jestem pewien, czy najlepiej wybrałeś.

- To nie ma znaczenia. Nie chcę pracy.

- Słucham?

- Chcę, żeby odczepił się ode mnie urząd zatrudnienia. Żeby wyglądało, że się staram.

- Hm. No dobra.

- Fajnie. Bardzo dziękuję.

Kiedy sobie poszedł, wstałem i chciałem położyć pieniądze na stole. Podszedł Sean.

- Co to?

- Za kawę.

- Ooo... a od kiedy zacząłeś płacić? Wkurzył mnie i warknąłem:

- Co cię ugryzło w dupę?

- Uważaj, co mówisz, młody Taylorze. Przeszedłem szybko obok niego, mówiąc:

- Jesteś starym, upierdliwym sukinsynem.

Niedawno w katedrze w Galway

młody wyznawca NewAge przeraził tmernych,

idąc giinmią nawą i wymachując atrapą pistoletu.

Został postawiony przed sądem i zwolniony za kaucją

sześciu pensów, ponieważ był bez grosza,

Jak odkryli -później miejscowi obywatele,

jego przyjaciele, wyznawcy NewAge, oswoili jedenaście kotem

ochrzcili je i pielęgowali w swoich nam Lnach,

Można jedynie zapytać, jak ten facet z reklamy Carisberga:

— Dlaczego?

Szedłem Quay Street. Zahartowani miejscowi wymawiają to jak „Kay”, a wszyscy pozostali

„Key”. Diabłu musiało pęknąć żebro, kiedy promień słońca oświetlił budynki.

Zobaczyłem cień. Główny ochlapus. Znałem go jako Padraiga. Jak zwykle krążyły o nim plotki.

Podobno z dobrej rodziny, był dawniej

nauczycielem

prawnikiem

neurochirurgiem

Od kiedy go znałem, zawsze był trochę szajbnięty i uwielbiał literackie aluzje. Dzisiaj był

częściowo naprany.

- Pozdrawiam cię, mój brodaty przyjacielu. Azaliż przypadkiem uczestniczymy w spóźnionym przesileniu zimowym?

Uśmiechnąłem się i dałem mu kilka funciaków. Obaj zignorowaliśmy drzenie jego dłoni.

Miał jakieś metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, był wychudzony, ze strzechą brudnych siwych włosów. Opuchniętą twarz pokrywała masa popękanych naczyń krwionośnych. Nos miał

złamany i z całą pewnością wiedziałem, co czuje.

Niebieskie, najbardziej niebieskie z możliwych oczy... oczywiście w czerwonych obwódkach.

Sprzęt zlustrowany.

— Czy znałem twojego ojca? - zapytał.

- Paddy...PaddyTaylor.

- Mąż subtelny i z gustem. Nieprawdaż?

- Miał swoje momenty.

- Z użycia czasu przeszłego można wywnioskować, że nie ma go wśród nas albo, co gorsza, jest w Anglii.

- Nie żyje.

Padraig zaczął śpiewać na całe gardło. Rozdzierało mi to serce. Śpiewał, a raczej ryczał:

„Na oślepie, na oślepie

w końcu

odchodzimy w dal”.

Pochylił się, by podnieść peta, zapalił go kuchenną zapałką wyciągniętą z pogniecionego pudełka. Rozglądałem się ukradkiem, w nadziei że pieśń dobiegła końca. Zaciągnął się głęboko i spowity nikotynowym dymem ryknął:

„Lecz człłek pozostać nie może,

gdyż nigdzie

spoczynku nie znajdzie”.

Przerwał i skorzystałem z okazji.

- Przestajesz, jeżeli dam ci więcej pieniędzy?

Roześmiał się, pokazując dwa żółte zęby, pozostałe najwyraźniej padły w boju.

- Jasne, że tak. Dałem mu jeszcze funta. Obejrzał go i oświadczył:

- Przyjmuję również euro.

Przechodziłem na Claddagh, zostawiwszy po lewej Spanish Arch. Padraig maszerował ze mną.

- Nie jesteś człowiekiem, który hojnie się dzieli... to znaczy dzieli się w zakresie informacji.

To, co mówisz, ma przymioty zwięzłości i klarowności.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć na to - zwięźle i klarownie - dostał napadu szarpiącego wnętrzości kaszlu. Wypluł flegmę i rozmaite niedające się zidentyfikować substancje.

Dałem mu chusteczkę. Użył jej do wytarcia załzawionych oczu.

- Jestem twoim dłużnikiem, młody Taylorze. Zostawiłem za sobą wiele kilometrów od czasu, kiedy współpielgrzym ofiarował mi chustkę.

- Trudno mi określić twoją wymowę - zauważyłem.

- Podobnie jak stały dochód jest ulotną cechą... nie wspominając już, że przesadną.

Nie miałem na to odpowiedzi. Nawet nie próbowałem. Mówił

dalej:

- W pewnej mrocznej epoce mojej egzystencji byłem, jak sądzę z okolic Louth. Czy znane są ci te jałowe ziemie?

- Nie.

Musiałem się skupić, żeby nie mówić jak on. To było bardzo zaraźliwe. Pogrzebał w głębinach swojego grubego tweedowego płaszcza. Pojawiła się brązowa butelka.

- Może kapelkę starki?

Wytarł szyjkę czystym końcem mojej chustki. Pokręciłem głową. Wcale nie poczuł się urażony.

- Zapamiętałem tylko tę radę, że lepiej mieć szczęście, niż być dobrym.

- I masz?

- Co?

- Szczęście.

- W każdym razie minęło wiele czasu od chwili, kiedy byłem jakoś tam dobry. Cokolwiek to znaczy.

Zza muru boiska wyłoniła się grupka pijaczków. Padraig otrząsnął się z udawaną energią i oświadczył.

- Moi ludzie mnie oczekują. Być może jeszcze kiedyś porozmawiamy.

- Z przyjemnością.

Może bez dzikiego entuzjazmu, ale z pewną nutą aprobaty.

W końcu dotarłem do Salthill i ruszyłem promenadą. Znowu pomyślałem o wartownikach w Grogan's. Każdego dnia, gdy nadchodzi południe, zdejmują kaszkiety i na Anioł Pański wykonują znak krzyża. Nawet pochylają głowy, szepcząc cicho modlitwę.

Poza przypadkowymi niszami wspomnień, Anioł Pański, podobnie jak czynszówki i lombardy na Quay Street, został zmieciony

przez nowy dobrobyt. Kto może zmierzyć tę stratę? Nawet nie byłem w stanie przypomnieć sobie modlitwy.

Kiedy człowiek odrywa się od gorzały, umysł zaczyna galopować. Atakują cię naraz setki myśli.

Minęło mnie trzech ledwo dwudziestoletnich chłopaków. Trzymali puszki tenants super.

Mógłbym ich napaść. Zapach jasnego, pełnego piwka darł się wniebogłosy.

Natknąłem się na parę książek Keitha Ablowa. Praktykujący psychiatra, specjalizujący się w sądownictwie, napisał:

„Potrzebujesz się napić. Tak się to zaczyna. Potrzebujesz. Potrzeba jest prawdziwa, zawsze.

Ponieważ czegoś potrzebowałem. Potrzebowałem odwagi, żeby stawić czoło temu, co mam zrobić. A nie miałem jej. Gorzałka sprawia, iż na chwilę zapominasz, że jesteś tchórzem.

Dopóki nie przestanie działać. To, czemu musiałeś stawić czoło, ma teraz pazury i stało się potworem, którego nigdy nie chciałbyś spotkać. A potem potwór zaczyna sikać gorzałką szybciej, niż jesteś w stanie jej nalać”.

Chrzanić to.

Pamiętaj o podstawowym prawie fizyki:

każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i przeciwnie skierowana. Jeżeli dokonujesz aktu łaski, naruszasz system. Jest to niczym rzucenie rękawicy szatanowi.

Wszelkie rodzaje piekieł zaczynają cię szukać.

Następnego dnia, pobudzony spacerem, postanowiłem dać zbadać moją rękę.

Miałem lekarza, ale podczas wieloletniego picia straciłem z nim kontakt. Pewnego dnia poszedłem, żeby zdobyć silne środki uspokajające, i przegonił mnie.

Nawet nie wiedziałem, czy jeszcze żyje. Zaryzykowałem i poszedłem do Crescent.

Przystanek, łączący wybrzeże ze śródmieściem. To Harley Street miasta. Jego tabliczka z nazwiskiem wciąż tu była. Wszedłem, a młoda recepcjonistka zapytała:

- W czym mogę panu pomóc?

- Kiedyś byłem tu pacjentem, ale nie wiem, czy nadal jestem zarej estrowany.

- Zaraz sprawdzę. Byłem. Przejrzała teczkę.

- Ach, służy pan w Garda.

Jezu, aż tak dawno tu byłem? Spojrzała na moją brodę i wyjaśniłem:

- Tajny agent.

Nie uwierzyła nawet przez chwilę.

- Sprawdzę, czy doktor jest wolny - oznajmiła. Był.

Postarzał się, ale kogo to ominęło?

- Słowo daję, był pan na wojnie.

- Owszem.

Przeprowadził pełne badanie i orzekł:

- Za parę tygodni można będzie zdjąć gips z palców. Nos zostanie. A co z alkoholem?

- Nie piję.

- Najwyższa pora. Teraz liczą alkohol w jednostkach. Ile dziennie? Ja chyba należę do starej szkoły: liczę, ilu ludzi pakuje na oddziały.

Nie wiedziałem, czy to żart, i nie zareagowałem. Wypuszczając mnie, powiedział:

- Niech Bóg pana prowadzi.

Ale nie poszedłem do Grogan's.

- Dziś poradzę sobie bez przypieprzania się Seana. Przed drzwiami spotkałem Lindeę.

Przypomniała mi:

- Masz dwa tygodnie na znalezienie nowego mieszkania. Przyszło mi do głowy kilka odpowiedzi, ale wybrałem konsternację.

- Niech cię Bóg błogosławi.

Wieczorem oglądałem Sky Sports, kiedy zadzwonił telefon. To była Ann.

- Cześć, kochanie.

- Jack, był wypadek, paskudny.

- Co? Kto?

- Sean... Nie żyje.

- O Boże!

- Jack... Jack, jestem w szpitalu. Mają tu Seana.

- Czekaj tam, przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę. A potem z rozmachu uderzyłem lewą ręką w ścianę. Wrzasnąłem z bólu w zrastających się palcach. Cztery, pięć razy walnąłem w ścianę i osunąłem się na ziemię. Przeraziło mnie pełne cierpienia wycie, aż w końcu uświadomiłem sobie, że to ja krzyczę.

Ann czekała przed wejściem do szpitala. Chciała mnie przytulić, ale dałem jej znak, żeby się odsunęła. Zobaczyła moją rękę.

- Co się stało? - zapytała.

- Upadłem. I nie, nie piłem.

- Nie miałam zamiaru... Ująłem jej dłoń w prawą rękę.

- Wiem, że nie miałaś. Gdzie on jest? Co się stało?

- Potrącił go samochód i odjechał. Uciekł. Powiedzieli, że Sean zginął na miejscu.

- Skąd to wiedzą?

Na trzecim piętrze lekarz i dwóch gardai. Lekarz zapytał:

- Jest pan z rodziny?

- Nie wiem.

Gardai wymienili spojrzenia.

- Mogę go zobaczyć? - spytałem. Lekarz spojrział ma Ann.

- Chyba nie jest to dobry pomysł.

- Czy pana znam?

Pokręcił głową, a ja mówiłem dalej:

- Tak właśnie pomyślałem, skąd, u diabła, może to pan wiedzieć? Jeden z gardai się wtrącił.

- Spokojnie. Lekarz oznajmił:

- Niech pan idzie ze mną.

Poprowadził mnie korytarzem, zatrzymał się przy drzwiach.

- Niech się pan przygotuje. Nie mieliśmy możliwości dobrze go umyć.

Nie zareagowałem.

Zasłony wokół łóżka były zaciągnięte. Lekarz spojrział na mnie ostatni raz, potem odsunął zasłonę.

- Zostawię pana samego.

Sean leżał na plecach, czoło miał bardzo potłuczone. Twarz poraniona. Z rozerwanych spodni sterczało kościste kolano. Miał na sobie marynarski sweter, który podarowałem mu na Boże Narodzenie. Był brudny.

Pochyliłem się nad nim i ku mojemu przerażeniu łzy kapnęły mu na twarz. Usiłowałem je zetrzeć. Pocałowałem go w czoło i powiedziałem:

- Nie piję, czy to nie wspaniałe?

Żyjesz swe życie

z odległych pozdrowień,

a ja, biedniejszy,

żyję z niczego, zupełnie z niczego.

Ann przekonała mnie, żebym dał lekarzowi obejrzeć rękę. Dostałem nowy gips i opierdół.

Pielęgniarka warknęła:

- Przestań pan łamać te palce.

Co było zdecydowanie dobrą radą. Ann chciała pójść ze mną do domu, ale wytłumaczyłem jej, że muszę jakiś czas pobyć sam.

- Nie mam zamiaru się upić - oświadczyłem.

- Jack.

- Jestem to winien Seanowi.

- Jesteś to winien samemu sobie.

Spróbuj z tym dyskutować. Nie dyskutowałem.

Wyszarpałem trochę środków przeciwbólowych. Miałem ścisły nakaz, aby brać tylko dwie tabletki dziennie. Kiedy wróciłem do domu, łyknąłem trzy. Odpływałem. Czując łagodny dystans do całego świata, poszedłem do łóżka z uśmiechem. Cokolwiek mi się śniło, podobało mi się.

Ktoś szarpnął mnie za ramię i niechętnie wynurzyłem się z mojego snu. Przy łóżku stał

Sutton.

- Człowieku, byłeś jak denat.

- Sutton, co jest... jak, u diabła, wszedłeś?

Nawet w ciemności mogłem zobaczyć jego uśmiech.

- Znasz mnie, Jack. Mogę się dostać wszędzie. Masz, zrobiłem nam trochę kawy.

Usiadłem, a on podsunął mi kubek. Podniosłem go do ust i poczułem brandy. Wrzasnąłem:

- Co to, do cholery?! Zaprawiłeś ją.

- Żebyś wyszedł z szoku. Tak mi przykro z powodu Seana. Odepchnąłem od siebie kubek, wstałem z łóżka i włożyłem dzinsy.

- Poczekam w drugim pokoju - oznajmił Sutton.

W łazience spojrzałem do lustra. Źrenice miałem jak główki szpilek. Wzdrygnąłem się na samą myśl: A gdybym podlał to brandy?

Włożyłem głowę pod kran i odkręciłem do oporu zimną wodę. Pomogło, przymulenie trochę ustąpiło. Wróciłem do Suttona i spytałem:

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Dopiero niedawno. Znalazłem miejsce do zamieszkania i byłem zajęty przeprowadzką.

Przepraszam, Jack, powinienem przyjść wcześniej.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- Znasz wzgórze nad Sky Road?

- Mniej więcej.

- Amerykanin miał tam wielki magazyn. Ale pogoda wykończyła właściciela. Załatwiłem roczny wynajem. Chciałbyś tam zamieszkać ze mną? I

- Co? Nie... rzecz w tym... nie, dziękuję... Jestem miejskim chłopakiem.

Zobaczyłem na kredensie kamionkową butelkę i zapytałem:

- Co to?

- To mój genever, holenderski dzin. Zabrałem go ze sobą. Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Wiem, ile Sean dla ciebie znaczył.

- Znaczy!

- Jak sobie chcesz. Rozmawialiśmy przez chwilę o Seanie.

- Naprawdę kochałeś... kochasz... tego staruszka. Potem wstał.

- Lepiej już polecę. Jeżeli mogę coś dla ciebie zrobić, masz to jak w banku... rozumiesz?

Jestem do twojej dyspozycji, stary.

Kiwnąłem głową.

Kilka minut później usłyszałem, jak odjeżdża. Siedziałem przez następne pół godziny. Ze zwieszoną głową, pustką w myślach. Powoli odwróciłem się i spojrzałem na kamionkową butelkę. Mógłbym przysiąc, że się poruszyła. Poruszyła w moją stronę.

- Dzięki ci, Chryste, że tego nie potrzebuję - oznajmiłem głośno.

Zacząłem się zastanawiać, jak pachnie. Podeszedłem i wziąłem butelkę. Ciężka. Odkręciłem zakrętkę i niuchnąłem. Rany, jak spirytus zbożowy. Odstawiłem butelkę, bez nakrętki.

Powiedziałem:

- Niech pooddycha... czy to chodzi o wino?

Poszedłem do kuchni, licząc na to, że herbata z tonami cukru dobrze, mi zrobi. Głos na granicy świadomości usiłował mnie ostrzec:

- Jesteś w strefie.

Wyłączyłem go. Otworzyłem szafkę i zobaczyłem szklanę ro-ches.

- Nie ma mowy, Jose - powiedziałem, wrzucając ją do zlewu. Nie rozbiła się i warknąłem: -

Ty uparta dziwko.

Wziąłem młotek i rozwaliłem ją doszczętnie. Odłamek szkła skaleczył mnie w lewą brew.

Wrzuciłem młotek do zlewu i wróciłem do pokoju. Podszedłem, wziąłem dzin i walnąłem go z gwinta.

WYŚMIENICIE,

MAMO!

James Cagney Biały żar

Dla równowagi powinienem wspomnieć o matce. Ann zauważyła:

- Dużo mówisz o ojcu. Wiem, że wciąż o nim myślisz, ale nigdy nic nie wspominasz o matce.

- I niech tak zostanie.

Krótko.

Ojciec wysoko cenił Henry'ego Jamesa. Niezwykły wybór. Człowiek pracujący na kolei w zachodniej Irlandii czytał Amerykanina z całkowicie innego świata.

- James wydaje się taki wytworny i stylowy, ale pod powierzchnią czai się...

Nie skończył. Ale to „czai się” było wystarczającą zachętą dla dziecka ciemności.

W What Maisie Knew dziewięcioletnie dziecko mówi:

„Moją matkę chyba niewiele obchodzi”.

Wiedziałem, że moja matka nie ma zbyt wiele gra... dla kogokolwiek. A zwłaszcza dla mnie.

Jest kimś najgorszym, snobką, a przecież jest z Leitrim! Nic i nikt nie jest w stanie spełnić jej oczekiwań. Zapewne nawet ona sama. W głębi duszy mogę zrozumieć, że jest strasznie nieszczęśliwą osobą, ale mało mnie to wzrusza.

To jej gadanie.

Nie jędza, ale mistrzyni niszczenia.

Dziab

dziab

dziab w ciebie. Powoli odbiera pewność siebie i poczucie wartości. Pamiętam awantury, które mi urządzała.

- Będiesz nikim jak twój ojciec.

- Jak nisko upadają wielcy! Coś takiego! Ktoś z Leirim. Nic dziwnego, że piłem.

- Twój ojciec jest niewielkim człowieczkiem w niewielkim mundurze i z niewielką posadą.

Jako dziecko bałem się jej. Później ją nienawidziłem. Po dwudziestce pogardzałem nią. Teraz ją ignoruję.

W czasie pięciu minionych lat widziałem ją może dwa razy. Dwie katastrofy.

W pewnym okresie upodobała sobie valium i na jakiś czas po prostu się wyłączyła. Straciła zjadliwość. Potem było winko tonizujące. Całe kubki. W rezultacie ciągle miała szmerek w głowie.

Kochała księży.

Mam zamiar napisać to na jej nagrobku. Napis powie wszystko, co trzeba wiedzieć.

Zakonnice, oczywiście, też kochają księży, ale to obligatoryjne. Mają to wpisane w umowę o pracę.

Matka zawsze miała na holu jakiegoś oswojonego duchownego. Fama głosiła, że aktualnym był ojciec Malachy. Właśnie ten od papierosów Major. Matka także regularnie chodziła do kościoła, wspierała sodalicję, należała do grupy nowennej. Czasami widziałem ją, jak nosi brązowy szkaplerz na bluzce. Ciężki przypadek.

Czasami chciałem przypominać sobie jej zacierające się w pamięci rysy.

Nic z tego.

W późniejszym okresie stałem się dokładnie tym, kogo potrzebowała. Synem marnotrawnym, pomagającym jej w zdobyciu palmy społecznego męczeństwa. Jak mogła przegrać? Kiedy wykopano mnie zgardai, cała po prostu ociekała pobożnością. Jej stała piosenka:

„Nigdy nie rzucaj cienia na mój próg”.

Na pogrzebie ojca zachowywała się skandalicznie. Omdlenie nad grobem, zawrodożenie na ulicy, wielki wieniec o wulgarnych proporcjach.

W tym stylu.

Oczywiście, wskoczyła w rolę wdowy i od tej pory nosiła się na czarno. Bywała w kościele jeszcze częściej. Nie miała dla ojca dobrego słowa za życia, a po jego śmierci grała komedię.

Powiedział mi:

- Twoja matka chce dobrze. Nie chciała.

Ani wtedy, ani nigdy.

Tacy jak ona żerują na dobroci innych. To wyznanie wiary „chce dobrze” tłumaczy każde podłe działanie w ich pełnym wyrachowania życiu. Lubię oglądać zdjęcia dyktatorów, tyranów, dowódców. Gdzieś za nimi znajdzie się „mamę” o twarzy z kamienia i oczach z granitu. Są banalnością zła, o którym ludzie mówią i które tak rzadko rozpoznają.

Sean zawsze mówił o niej dobrze, usiłował zmienić moją opinię.

- Ona cię na swój sposób kocha, Jack - wyjaśnił kiedyś. Przypuszczam, że utrzymywała z nim kontakt, aby mieć mnie na

oku.

- Nigdy, ale to nigdy nie mów jej niczego o mnie... Nie żartuję - uprzedziłem go.

- Jack, to twoja matka.

- Mówię serio, Sean,

- Eee, to tylko takie gadanie.

Kiedy walnąłem sobie dzinu, odjechałem zupełnie. Nie pamiętam niczego do chwili, kiedy przyszedłem do domu matki. Nic dziwnego, że dzin nazywają nieszczęściem matek.

NIE

DLA

BŁOGOSŁAWIENSTWA

Otworzyłem oczy. Spodziewałem się krępujących mnie pasów albo celi więziennej, albo jednego i drugiego. Nie czułem się chory. Leżałem w łóżku. Czystym, porządnym.

Spróbowałem usiąść i serce zamarło mi z przerażenia. W nogach łóżka siedziała postać w czerni. Chyba wrzasnąłem, a postać się odezwała:

- Spokojnie, Jack, jesteś bezpieczny. Zdołałem skupić spojrzenie, zapytałem:

- Ojciec Malachy?

- Tak.

- Co? Jak?

- Jesteś u swojej matki.

- O Jezu.

- Nie używaj imienia Pana Boga nadaremnie.

W głowie zaczęło mi się przejaśniać, ale musiałem wiedzieć.

- Mieszkasz tutaj?

- Nie bądź idiotą. Twoja matka mnie wezwała.

- Kurwa!

- Uważaj, co mówisz, chłopcze. Nie znoszę przekleństw.

- No to podaj mnie do sądu.

Zauważyłem, że mam na sobie piżamę, starą, wygodną, setki razy praną.

- O Boże, to chyba mojego ojca - powiedziałem.

- Niech spoczywa w pokoju. Chociaż obawiam się, że przewraca się w grobie po twoich wygłupach.

Zdołałem usiąść na krawędzi łóżka, spytałem:

- Jest jakaś szansa na herbatę? Pokręcił głową ze smutkiem.

- Co? Herbata nie zgadza się z twoimi przekonaniem?

- Urządziłeś niezły cyrk. Przeklinałeś matkę. Kiedy tu dotarłem, straciłeś przytomność.

Usiłowałem zebrać do kupy rozbite w drobny mak myśli. Zdołałem wykopać z nich tylko tyle, że kiedy się upiłem, był piątek wieczór. Nabrałem głęboko powietrza.

- Jaki jest dziś dzień? Popatrzył na mnie niemal z żalem.

- Naprawdę nie wiesz?

- Jasne, że wiem. Pytam tylko tak, dla draki.

- Środa.

Opuściłem głowę i objąłem ją rękami. Potrzebowałem lekarstwa, i to szybko.

- Wczoraj był pogrzeb Seana - oznajmił Malachy.

- Byłem na nim?

- Nie.

Strasznie chciałem puścić pawia i nie przestawać przez tydzień. Malachy dodał:

- Syn Seana, ma chyba na imię William, wrócił z Anglii. Przejmie pub. Sprawia wrażenie sensownego chłopaka.

Wstał, spojrział na zegarek.

- Mam mszę. Ufam, że postąpisz właściwie ze swoją matką.

- Nie palisz. Rzuciłeś?

- Bóg jak dotąd nie uznał za stosowne uwolnić mnie od tego brzemienia, ale nawet nie pomyślałbym, by palić w domu twojej matki.

- Masz pretensję do Boga, co?

- Nie powiedziałem tego.

- Dlaczego? Ja ciągle mam do Niego pretensje.

- I zobacz, jak wyglądasz. Nic dziwnego. Wyszędł. Moje ubranie było wyprane

wyprasowane

złożone w nogach łóżka.

Wcisnąłem się w nie. Zajęło to trochę czasu, bo ogarniały mnie fale nudności. Odetchnąłem głęboko i

zszedłem na dół. Była w kuchni i czymś się zajmowała. Powiedziałem:

- Cześć.

Odwróciła się do mnie. Matka miała dobre wyraziste rysy, ale źle poukładane. Potęgowały surowość. Jeżeli po czterdziestce mamy twarz, na jaką zasłużyliśmy, ona trafiła w dziesiątkę.

Głębokie zmarszczki na czole i koło nosa. Siwe włosy ściągnięte z tyłu w niemożliwy do opisania węzeł. Ale patrzące prosto na ciebie, nieustępliwe, ciemnobrązowe oczy mówiły wszystko. Cokolwiek to było, ich nadrzędny przekaz brzmiał: „Żadnych jeńców”.

- A więc wstałeś - oświadczyła.

- Tak... przepraszam... za... no wiesz, zamieszanie. Westchnęła. To robiła najlepiej. Mogłaby wzdychać nad Irlandią.

- Och, przywykłam do tego. Musiałem usiąść.

- Spodziewasz się czegoś? - spytała.

- Czego?

- Śniadania.

- Chętnie napiłbym się herbaty.

Kiedy napełniała czajnik, rozejrzałem się. Z jej lewej strony zobaczyłem butelkę buckfastu.

Może być.

- Dzwonią do drzwi - powiedziałem.

- Co takiego?

- Tak, dwa razy. —" Nie słyszałam.

- Pewnie przez czajnik.

Wyszła. Wstałem, wziąłem butelkę i walnąłem potężny łyk. Chryste, ale ostre. Pomyślałem: Ludzie kupują to z własnej woli?

Chwila prawdy. Zostanie we mnie czy nie? Wlało się do żołądka jak kwas akumulatorowy.

Wróciłem na krzesło i czekałem. Zaczynało się uspokajać, czułem już ciepło w żołądku.

Matka wróciła, podejrzliwość aż z niej buchała.

- Nikogo nie było — oznajmiła. -Tak?

Popatrzyła jak klawisz, który wie, że była ucieczka, ale jeszcze się nie połapał, kto uciekł.

Wstałem i powiedziałem:

- Chyba zrezygnuję z herbaty.
- Ale woda w czajniku już się zagotowała.
- Muszę iść.
- Nadal pracujesz... jako...

Nie mogła zmusić się, by skończyć.

- Tak - potwierdziłem.
- I zajmujesz się samobójstwem jakiejś dziewczyny?
- Skąd wiesz?... A, ojciec Malachy.
- Całe miasto wie. Chociaż Bóg raczy wiedzieć, jak znajdujesz czas na to pomiędzy piciem.

Podszedłem do drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję.

Oparła ręce na biodrach, spojrzała wojowniczo.

- Cóż, byłoby dziwne, gdybyś nie mógł przyjść do własnego domu.
- To nigdy nie był dom.

KARMA

Idąc po College Road, pomyślałem, że pewnie powinienem powiedzieć coś miłszego. Wiele lat temu przeczytałem pytanie:

„Jak to jest, że bez względu na to, jak dawno widziałem rodzinę albo jak bardzo się od niej oddaliłem, zawsze może ona naciskać moje

guziki?”

Odpowiedź:

„Boje zamontowała”.

Na Fair Green zakręciło mi się w głowie i musiałem oprzeć się o mur. Dwie kobiety ominęły mnie szerokim łukiem. Jedna powiedziała:

- Różowe słońce, a jeszcze nie ma jedenastej.

Pot spływał mi strumieniami po twarzy. Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Czuję się tak fatalnie, że miałem nadzieję, iż to napad. Głos:

- Jesteśmy w niejakich kłopotach, przyjacielu. Charakterystyczny ton. Padraig, główny pijaczek. Ujął mnie pod

rękę.

- Tu jest ławka, daleko od wrogiego tłumu.

Doprowadził mnie do niej. Pomyślałem, że gdyby matka obserwowała mnie jak zawsze, raczej nie byłaby zdziwiona. Usiadłem, a Padraig powiedział:

- Masz, spróbuj łyknąć tej mikstury. Spojrzałem na brązową butelkę.

- Czy może być gorsza od tego, co już wypiliśmy? - zapytał.

- Słuszna uwaga.

Napiłem się. W każdym razie była bez smaku. Spodziewałem się metylu.

- Spodziewałeś się metylu - zauważył. Kiwnąłem głową.

- To mieszanka ratunkowa, której nauczyłem się dzięki brytyjskiej armii.

- Byłeś w wojsku?

- Nie wiem. Czasami przysięgłbym, że wciąż w nim jestem. W każdym razie czuję się lepiej.

- Robi swoje - przyznałem.

- Certainement. Brytyjczycy rozumieją, co znaczy pomoc. Niestety, nie zawsze wiedzą, gdzie ją stosować.

To przekraczało moje możliwości pojmowania, nic więc nie powiedziałem.

- Parafrazując naszych amerykańskich przyjaciół, odjechałeś daleko?

- Fiuu... jak zawsze.

- Z jakiejś okazji?

- Umarł przyjaciel.

- Moje kondolencje.

- Nie byłem na pogrzebie i niewątpliwie wkurzyłem przyjaciół, którzy mi zostali.

Podszedł garda, stanął nad nami i warknął:

- Musicie się stąd wynieść, to publiczne miejsce. Padraig wstał, zanim zdążyłem odpowiedzieć, i oznajmił:

- Tak jest, panie oficerze, już idziemy. Kiedy ruszyliśmy, mruknąłem do Padraiga:

- Pierdolony waśniak. Padraig uśmiechnął się lekko.

- Wojowniczy jesteś, przyjacielu.

- Znam takich facetów. Byłem jednym z nich.

- Pierdolonym waśniakiem? Roześmiałem się mimo woli.

- Cóż, chyba tak. Ale kiedyś byłem gliną. Zaskoczyłem go. Zatrzymał się, przyjrzał mi się uważnie.

- A tego bym się nie spodziewał.

- Dawno temu.

- Można wyczuć w tym pewną tęsknotę. Może powinieneś tam wrócić?

- Nie sądzę. Obecnie kandydaci muszą mieć dyplom.

- Dyplom, ale z czego?

Dotarliśmy do końca placu. Klub pijaczków kolo toalety wzywał Padraiga.

- Zanim odejdziesz, mogę cię o coś spytać? - wykrztusiłem.

- Oczywiście. Nie mogę obiecać, że odpowiem prawdziwie, ale postaram się, by brzmiało przekonująco.

- Czy wierzysz w karmę? ,

Przyłożył palec do warg, wieki całe nie odpowiadał, aż wreszcie:

- Każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i przeciwnie skierowana... tak, wierzę.

- W takim razie mam przejebane.

Dla każdej istoty ludzkiej wyzwaniem jest akt tworzenia.

Czy będziesz tworzył z szacunkiem,

czy z niedbałością?

Gary Zukav The Seat of Soul

Wróciłem do domu tylko z sześciopakiem. W monopolowym miałem ochotę walnąć szkockiej, ale jeżeli miałem jakąś szansę, to nie teraz. Mikstura Padraiga działała i poszedłem spać bez dalszych szkód.

Spałem do świtu. Kiedy się obudziłem, nie znajdowałem się w pierwszym kręgu piekła.

Byłem w stanie zrezygnować z klina i napić się kawy. Jasne, trząsałem się jak cholera, ale to nic nowego. Wstawiłem sześciopak do lodówki i miałem nadzieję, że zdołam sobie wydzielać butelki piwa. Stałem pod prysznicem, aż skóra zaczęła mnie palić i nawet przystrzygłem już dobrze zaawansowaną brodę. Spojrzałem do lustra i parsknąłem:

- Uff.

Zobaczyłem odbicie poobijanej twarzy.

Zadzwoiłem do Ann. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Tak?

- Ann, tu Jack.

- Tak? Lód.

- Ann, nie wiem, jak zacząć.

- Nie trudź się.

- Słucham?

- Nie jestem w stanie dłużej tego znosić. Wyślę ci czek za twoje usługi. Nie będę już ich więcej potrzebować.

- Ann... proszę.

- Twój przyjaciel leży na cmentarzu Ragoon. Niedaleko Sarah. To na wypadek, gdybyś kiedyś był wystarczająco trzeźwy, by tam pójść. Osobiście w to wątpię.

- Czy mógłbym choć...

- Nie chcę niczego słuchać. Proszę, nie dzwoń do mnie więcej. Rozłączyła się. Wbiłem się w garnitur i wyszedłem. Koło katedry

usłyszałem, jak ktoś mnie woła. Podbiegi do mnie mężczyzna.

- Dostałem ją.

- Co?

- Pracę na poczcie. Podałem cię jako polecającego.

- Myślałem, że nie chcesz pracy.

- Nie chcę, ale to miłe czuć się potrzebnym.

- Cieszę się. Kiedy zaczynasz?

- Co zaczynam?

- Pracę.

Spojrzał na mnie, jakby mi odbiło.

- Nie mam zamiaru jej brać.

- Aha.

- W każdym razie mam dla ciebie konia.

Na tym etapie oczekiwałem, że wyprowadzi mi rumaka z kościoła.

- O trzeciej trzydzieści w Ayr. Rocket Man. Zastaw się, ale postaw dużo.

- Jak dużo?

- Jak pierdolony Everest.

- Dobra... dzięki.

- To ja dziękuję. Zawsze chciałem być listonoszem.

Wstąpiłem do Javas na kawę. Kelnerka nie mówiła po angielsku, ale miała olśniewający uśmiech. Dobra wymiana.

- Podwójne espresso - poprosiłem. Pokazałem jej w menu.

Chwila finansowej prawdy. Wyjąłem portfel i wydałem pierwsze westchnienie ulgi. Nie był lekki. Zerknąłem. Banknoty... widać było banknoty. Liczyłem wolno, coraz wolniej.

Dwieście. Zanim zdążyłem się ucieszyć, padł na mnie cień.

Wielki facet, skądś znajomy, ale nie od razu rozpoznawalny.

- Mogę zamienić słowo? — zapytał. Położyłem rękę na stole i powiedziałem:

- Możesz połamać ją znowu.

To był facet z firmy ochroniarskiej, policjant, który spuścił mi pierwszy łomot. Odsunął krzesło i oznajmił:

- Chcę coś wyjaśnić.

Kelnerka przyniosła kawę, spojrzała na niego, ale odesłał ją gestem.

- W takim razie muszę posłuchać - stwierdziłem.

- Wie pan, że jestem policjantem. Ochrona to dobra fucha, wielu chłopaków w niej pracuje.

Kiedy pan Ford powiedział mi, że sprawia pan kłopoty, pomogłem. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki był. Nie żyje, wie pan?

- Słyszałem.

- Tak... No cóż, okazało się, że był zbrojcem. Z ręką na sercu, nigdy bym tego nie przełknął. Potem... po tym, jak spuściliśmy panu łomot... dowiedziałem się, że służył pan w policji. Gdybym wiedział... przysięgam, nigdy bym tego nie zrobił.

- Czego chcesz, przebaczenia? Pochylił głowę.

- Zostałem odrodzony w Duchu Świętym.

- Jakie to miłe.

- Nie, to prawda. Wystąpiłem z policji i z ochrony. Mam zamiar poświęcić się służbie Bogu.

Wypiłem łyk espresso. Gorzkie jak niewysłuchana modlitwa.

- Słyszałem, że wciąż zajmuje się pan tamtą sprawą. Samobójstwem młodej dziewczyny -
mówił dalej.

- Tak.

- Chcę pomóc. Jako zadośćuczynienie. Wyjął kawałek papieru.

- Tu jest mój numer telefonu. Wciąż mam kontakty i jeżeli czegoś będzie pan potrzebował...

- Będę miał Boga po mojej stronie, prawda? Wstał.

- Nie oczekuję, by pan to zrozumiał, ale On nas kocha.

- To jakaś pociecha. Wyciągnął rękę.

- Bez urazy. Zignorowałem ją.

- Spadaj.

Kiedy odszedł, spojrzałem na karteczkę. Było na niej jego nazwisko.

„Brendan Flood”

I numer telefonu.

Miałem zamiar ją wyrzucić, ale zmieniłem zdanie. Poszedłem do kwiaciarni. Ta sama dziewczyna,
która sprzedała mi róże.

- Pamiętam pana - powiedziała.

- I słusznie.

- Podziękowały?

- Co?

- Róże dla pańskiej damy.

- Dobre pytanie.

- Ach... szkoda. Chce pan spróbować jeszcze raz?

- Niezupełnie.

- Och?

- Potrzebny mi wieniec. Przerażone spojrzenie i pytanie:

- Umarła?

- Nie... Nie, ktoś inny, przyjaciel.

- Bardzo mi przykro.

Koło nas przeszedł mały ksiądz.

- Jak się macie - powiedział.

Tak wesołej twarzy dawno nie widziałem. Dziewczyna spytała:

- Wie pan, kto to?

- Mały ksiądz.

- To biskup.

- Żartuje pani!

- I najbardziej uroczy człowiek pod słońcem.

Byłem zdziwiony. Jako dziecko znałem biskupów, panujących niczym władcy feudalni. Fakt, że można zobaczyć duchownego tak wysokiej rangi, względnie anonimowego i podskakującego wesoło na ulicy, był dla mnie rewelacją.

Dziewczyna zaproponowała, że jeżeli napiszę nazwisko i szczegóły, zadba, aby wieniec dostarczono na miejsce. Dodała:

- Nie przypuszczam, by chciał go pan nosić po mieście. Chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść z wieńcem do bukmachera, ale odpuściłem. Dziewczyna spojrzała na mnie badawczo.

- Sądzę, że w młodości był pan fajnym facetem.

To dobry rok na róże.

Elvts Costello

Harte znajdował się przy Quay Street. Jego rodzina prowadziła punkt bukmacherski od trzech pokoleń. Potem wielkie angielskie firmy wykupiły miejscowe przedsiębiorstwa. Hartę wziął

pieniądze i otworzył punkt tuż obok. Miasto było zachwycone. Nie zawsze trzeba dawać się rolować Brytyjczykom.

Znałem Toma Harte'a od dawna. Kiedy wszedłem, pochylał się nad tabelami, otoczony kłębamii dymu papierosowego:

- Jack Taylor, jak rany. To nalot?
- Nie jestem już w policji.
- Tak wszyscy mówili.
- Chcę coś obstawić.

Rozłożył ramiona; jakby obejmując cały lokal.

- Wszedłeś we właściwe drzwi.

Podąłem mu nazwę konia i zapytałem o cenę. Sprawdził teletekst.

- Trzydzieści pięć do jednego.

Wypisałem kupon i położyłem go na całej mojej forsie. Przeczytał i zapytał cicho:

- Poważnie?
- Jak na cmentarzu.

Dwaj gracze, badający tabele psich wyścigów, wyczuli zmianę atmosfery. Zaczęli się przysłuchiwać. Tom oświadczył:

- Jack, jestem bukmacherem, ale ty jesteś jednym z naszych. W tym biegu jest ostra sztuka.

Wygra w cuglach.

- Mimo wszystko.
- *- Usiłuję wyświadczyć ci przysługę.

- Przyjmiesz zakład?

Wzruszenia ramion musiał się nauczyć w szkole dla bukmacherów.

- No i dobra. Do zobaczenia - powiedziałem.
- Z całą pewnością. Trzymaj się tego.

Sprawdziłem jeszcze raz kupon i ruszyłem do wyjścia. Jeden z graczy wyszedł za mną i zawołał:

- Jack.

Zatrzymałem się przed Kenny's, pozwoliłem mu się dogonić. Był blady jak ktoś, kto tygodniami nie wychodził z punktu bukmacher-skiego. Odór tytoniowego dymu był

powalający. W jego oczach widać było mieszaninę przymilności i nieśmiałości, na którą pracuje się latami. Był wymizerowany. Uśmiechnął się krzywym uśmiechem potępieńca, zapytał:

- Masz cynk?

- Ale nie wiem, czy jest coś wart.

- Daj spokój Jack, potrzebny mi fart.

- Rocket Man.

Wyglądał jak ogłuszony. Zupełnie jakby jego kupon z wygraną rozplynał się w powietrzu.

- Bądź poważny.

- Jestem poważny.

- Eee, pierdol się. Czego się mogłem spodziewać od gliny?

Niedaleko szkoły protestanckiej, w katolickiej odległości od Victoria Square, znajduje się hotel Baileys. Teraz to stare Galway. W każdym dostępnym miejscu budowane są nowe hotele, ale Bailey's najwyraźniej uniknął wyścigu do bogactwa. Nie został

sprzedany

przerobiony

zmodernizowany.

W rzeczywistości jest prawie niezauważalny.

Obecnie nie słyszy się o komiwojażerach. Ale jeżeli czujesz dziką potrzebę znalezienia ich -

będą w Bailey's. Ludzie z prowincji przychodzą tutaj na obiad. Z zewnątrz sam tylko podniszczony granit i mały napis „OTEL”. „H” tkwi w latach pięćdziesiątych, zagubione w pomroce dziejów, razem z aspiracjami morrisa minor.

Nie wiedzieć czemu, wszedłem do środka/Recepcja wciśnięta w kąt. Leciwa kobieta kartkowała „Irelands Own”.

- Pani Bailey? - zapytałem.

Podniosła głowę i uznałem, że ma jakieś osiemdziesiąt lat. Ale spojrzenie miała bystre.

- Tak - odparła.

- Jestem Jack Taylor. Znała pani mojego ojca. Zastanawiała się minutę.

- Pracował na kolei.

- Owszem.

- Lubiłam go.

- Ja też.

- Czemu ma pan brodę?

- Kaprys.

- Głupi kaprys. W czym mogę panu pomóc, młody Jacku Taylorze?

- Potrzebuję mieszkania... na długi okres. Gestem ręki wskazała wystrój wnętrza.

- Nie jesteśmy eleganccy.

- Ja też.

- Hm... mmm... Mamy wolny jasny pokój na trzecim piętrze.

- Biorę go.

- Janet sprząta co drugi dzień, ale czasami zapomina.

- Nie ma sprawy. Pozwoli pani, że zapłacę.

To był jedynie gest. Cała moja gotówka była u bukmachera. J — Ma pan kartę kredytową?

— spytała.

- Nie.

- To dobrze, bo ich nie przyjmujemy. Zapłaci mi pan w ostatni piątek miesiąca.

- Dziękuję. Kiedy mogę się wprowadzić?

- Powiem Janet, żeby wywietrzyła pokój i wstawiła czajnik. Potem, kiedy pan zachce.

- Naprawdę jestem zobowiązany, pani Bailey.

- Mów mi Nora. To tylko pokój, ale mam nadzieję, że poczujesz się jak w domu.

Już się czułem.

Z: Cztery umowy

Don Miguel Ruiz

NUMER 2; Nie traktuj niczego osobiście.

Inni nie robią niczego z twojego powodu.

To po prostu odzwierciedla ich sposób życia

i wychowanie, jakie otrzymali w dzieciństwie,

...śnij,

Jack Taylor

Tej nocy spakowałem się. Nie trwało to długo. Nawet z przerwami na sześciopak.

Powtarzałem sobie:

Nie spiesząc się, pomalutku, może zdołam się wyluzować. Jak wszystkie kłamstwa i najwspanialsze złudzenia, przez krótki czas pomogło mi to działać. Ustawiłem cztery czarne worki na śmieci pod ścianą i oznajmiłem:

- Daruję ci mój doczesny dobytek. Z

połamanyimi palcami złamanym nosem i brodą nie byłem reklamowym okazem celtyckiego tygrysa.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę w nadziei, że to Ann.

- Halo.

- Jack. Tu Cathy B.

- Aha.

- Cóż za entuzjazm.

- Przepraszam. Pakuję.

- Dużą lufę?

- Jej, ale śmieszne. Jutro się wyprowadzam.

- Przenosisz się do swojej starszej pani?

Świadectwo mojego wieku. Pomyślałem, że chodzi jej o moją matkę.

- Co?
- Lubi cię, Jack. Na występie nie mogła oderwać od ciebie oczu.
- Ann! Jezu, nie... Przenoszę się do hotelu.
- Przedziwne miasto, chłopie. Do jakiego?
- Bailey's.

- W życiu nie słyszałam.

Ucieszyłem się. To oznaczało, że nadal był częścią Galway.

- Zmarł mój przyjaciel Sean.
- Ten stary dziadek, który miał pub? -Tak.
- Przykro mi. Chyba go lubiłam. Hej, mogę załatwić furgon, pomóc ci w przeprowadzce.
- Nie, wystarczy taksówka.
- Fajnie. Jesteś wolny w następny piątek?
- Chyba że mnie zwiną.
- Wychodzę za mąż.
- Żartujesz... za kogo?
- Za Everetta... jest artystą. Robi performance.

- Będę udawał, że wiem, co to takiego. Rany... gratulacje... posłuchaj... jak długo chodziliście?

- Chodziliśmy!? Jack, to drugie tysiąclecie. Z nim... po prostu zważyło mnie z nóg.

Musiałem zrobić poprawkę na fakt, że jest Angielką, a Angole utracili wyczucie języka.

- Od jak dawna? - spytałem.
- Prawie trzy tygodnie.
- Fiuu, jak możesz wytrzymać takie tempo?
- Gzy mnie poprowadzisz? No wiesz... jesteś jedynym starszym facetem, jakiego znam.
- Dzięki... Oczywiście, będę zachwycony. Czas na konie.

Włączyłem telewizor, przełączyłem na telegazetę. Czyżbym się denerwował? Otarłem pot z czoła. Nie... to przez piwo. Już mam...

wyniki... przewijam je. Pierwszy, nie mogę go znaleźć... kurwa... może nie wystartował. No dalej, dalej...

„ROCKET MAN... 12/1”

O mój Boże. Wygrał!

Wygrał w dwunastej gonitwie i dostałem 35 za 1. Podskoczyłem parę razy, a potem podniosłem pięść w górę i ryknąłem:

- Tak!

Ucałowałem ekran, mówiąc:

- Mój ty śliczny.

Z zamierającym sercem wykonałem kilka szybkich obliczeń. Siedem kafli. Wyjąłem kupon, żeby mieć pewność, czy się nie pomyliłem. Nie, wszystko gra i buczy. Stukanie do drzwi.

Otworzyłem je. Linda.

- Tak?

- Jack, przykro mi, że cię ponaglam, ale jestem ciekawa[^] czy już coś znalazłeś?

- Znalazłem.

- Och, to wspaniale. Miłe miejsce?

- A co cię to obchodzi?

- Nie chciałabym, żebyśmy rozstawali się w gniewie.

- Oczywiście. Fakt, że mnie wywalasz, nie powinien mieć wpływu na naszą przyjaźń.

- Źle się z tym czuję. Roześmiałem się na głos.

- Cóż za tragedia. Niech cię Bóg chroni przed takim uczuciem.

I zatrzęsnałem drzwi.

Ostatecznie ten ostatni wieczór spędziłem z książkami.

W sprawach wielkiej wagi

styl

a nie szczeróść

jest czymś najwężniejszym.

Przemoc wymaga chłódnego i morderczego styki,

Oskar Wilde

Następnego ranka piłem kawę, sprawdzając, czy wszystko jest gotowe do wyjazdu. Lecił dziennik. Słuchałem jednym uchem miejscowych wiadomości, kiedy:

„Tego ranka z wody koło Pirsu Nimmo wydobyto ciało młódej dziewczyny. Przybyli na miejsce zdarzenia gardai bezskutecznie usiłowali dokonać reanimacji. W ten sposób liczba samobójstw popełnionych przez nastolatki w tym miejscu wzrosła do dziesięciu”.

Powiedziałem:

- Znowu to zrobił.

Zadzwońił telefon. To była Ann. Bez żadnego wstępu oznajmiła spokojnie.

- Słyszałeś wiadomości.

- Tak.

- Mogłeś temu zapobiec. I odłóżyła słuchawkę.

Gdybym miał butelkę, wlaźłbym do niej. Wezwałem taksówkę. Wyniosłem rzeczy na dwór i czekałem nad kanałem. Kiedy zamknąłem drzwi do mieszkania, nie obejrzałem się.

Kierowca był dublińczykiem całą gębą.

- Hotel Bailey's - powiedziałem.

- Gdzie to jest?

Podąłem mu adres. Zdziwił się.

- Jak mogłem go nie zauważyć?

Nie odpowiedziałem. Przez całą drogę tłumaczył mi, gdzie GAA* popełnia błędy.

Pomrukiwałem w odpowiednich momentach. Pod hotelem popatrzył na niego i orzekł:

- Jezu, wygląda nie za bardzo.

- Jest jak GAA... trzeba dostać się do środka.

* Gaelic Athletic Association - Gaelicki Związek Sportowy, irlandzka organizacja kulturalno-sportowa zrzeszająca amatorów i promująca irlandzkie sporty oraz muzykę, tańce i język irlandzki (przyp. tłum.).

Pani Bailey była w recepcji.

- Potrzebuje pan tragarza? - zapytała.

Nie wiedziałem, czy to żart, czy chęć pomocy, ale pokręciłem głowę. Dodała:

- Janet ślicznie przygotowała pokój. Podała mi komplet kluczy i oznajmiła:

- Niech pan wychodzi i przychodzi, kiedy zechce. Jasne.

"Wyobrażałem sobie, że Janet to dziewczyna. Była jednak chyba nawet starsza od pani Bailey. Czekwała przed moim pokojem. Podała mi rękę i oświadczyła:

- Wspaniale, że jest pan z Galway.

Pokój był jasny, przestronny, z dużymi oknami. Na stole wazon z kwiatami. Janet weszła za mną.

- Na powitanie - powiedziała.

Łazienka z wielką wanną i hektarami świeżych, czyściutkich ręczników. Obok podwójnego łóżka dzbanek z kawą i paczka najlepszej kawy Bewley.

- Zadała sobie pani mnóstwo trudu.

- Eee tam, ani trochę. Nie mieliśmy stałego lokatora od czasu, kiedy zmarł pan Warte.

- Jak długo tu mieszkał?

- Dwadzieścia lat.

- Ja też tyle tu będę.

Uśmiechnęła się szeroko. Z głębi serca. Uśmiech, którego nigdy nie zaciemnił fałsz albo złośliwość. Wyjrzała na korytarz, jakby sprawdzając, czy nikt nie słucha, i powiedziała:

- W sobotę wieczorem mamy tańce.

- Naprawdę?

Jej twarz rozświetliła się jak zakonnicy przy czekoladzie.

- Nie reklamowano ich nigdy. Swingtime Aces... sh/szał pan? Nie słyszałem, ale powiedziałem:

- Znam. Wspaniała kapela.

- Są rewelacyjni. Grają fokstroty i tanga, to takie pełne życia. Tań-czy pan?

- Powinna pani zobaczyć moją rumbę. Prawie pisnęła z zachwytu.

- Proszę zachować ostatni taniec dla mnie - powiedziałem;" Słowo daję, wyszła niemal w podskokach. W pokoju był telefon,

telewizor, wideo. Wszystko, co trzeba. Postanowiłem się nie rozpakowywać. Zszedłem po schodach i po chwili byłem na ulicy. Tak bardzo chciałem się napić, że czułem smak whisky na języku.

Punkt bukmacherski był pusty. Tylko Hartę za kontuarem. Oświadczył, nie podnosząc głowy:

- Zrujnowałeś mnie.

- Nie wysłałeś go?

- Oczywiście, że wysłałem.

- Sam obstawiłeś?

- Oczywiście.

- W takim razie co cię boli?

- Zaskoczyło mnie to.

- Chyba wszystkich.

- Weźmiesz czek?

- Nigdy w życiu.

- Tak sobie pomyślałem. Masz. Rzucił na kontuar wypchaną kopertę.

- Pewnie będziesz chciał przeliczyć. Przeliczyłem.

Kiedy wychodziłem, Hartę zawołał:

- Jack!

- Tak?

- Nie wracaj.

Chłopie - powiedział Care.Ha

— *Co to był za dzień!*

Ed McBain Kilkr!s Wedge

Kiedy wchodziłem do Grogan's, świadomość straty Seana była jak przekleństwo. Lokal wyglądał inaczej, był inny. Dwóch wiecznych klientów nie było przy barze. Z zaplecza wyszedł duży tusty mężczyzna.

- Co się stało z wartownikami? - spytałem.

- Z kim, szefie? Angol.

- Dwóch starszych facetów podpierających bar.

- Wywaliłem ich. Psuli interesy.

- Jesteś synem Seana?

Spojrzał na mnie bacznie, niemal wrogo.

- A kto pyta? - powiedział.

- Byłem jego przyjacielem. Jestem Jack Taylor. Wyciągnąłem rękę. Zignorował ją i zapytał:

- Czy spotkaliśmy się na pogrzebie?

- Ja... hm... nie mogłem.

- No to chyba niezbyt wielkim przyjacielem, co? Przygwoździł mnie.

- Mogę dostać drinka? - spytałem.

- Nie. To chyba lokal nie dla pana.

Stałem przez chwilę, aż w końcu się zainteresował.

- Jeszcze coś?

- Teraz rozumiem, dlaczego Sean nigdy o tobie nie mówił. Uśmiechnął się pogardliwie, a ja dodałem:

- Musiał się za ciebie wstydzić jak cholera.

Na zewnątrz czułem mieszaninę wściekłości i smutku, a to niebezpieczny koktajl. Miałem ochotę wrócić i wlać temu zadowolonemu z siebie sukinsynowi. Dwaj Amerykanie zatrzymali się, spojrzeli na pub i zapytali:

- To autentyczny pub?

- Nie, podróbka. Idźcie do Garavan's, tam jest autentyk.

W monopolowym zrobiłem solidne zakupy. Sprzedawca skomentował:

- Niezła imprezka?

- Niezły bajzel.

Kiedy wróciłem do hotelu, czułem już wagę zakupów. W ramach pokuty wszedłem po schodach. Otworzyłem drzwi do mojego nowego pokoju, myśląc: Dwie sekundy do picia.

Telewizor był włączony. Wszedłem do środka. Sutton siedział na fotelu z nogami opartymi o łóżko. Niemal upuściłem gorzałę.

- Rano puszczają same gówno - oświadczył. I wyłączył telewizor.

Starałem się zachować spokój.

- Jak dostałeś się do mojego pokoju? - zapytałem.

- Janet mnie wpuściła. Powiedziałem jej, że jesteśmy braćmi. Wiedziałaś, że mają tu tańce?

Obszedłem krzesło, a on się zainteresował:

- Co masz w torbie, stary?

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Śledziłem cię. Pilnowałem, żeby znowu cię nie napadli.

- Śledziłeś mnie? Za kogo się, do kurwy nędzy, uważasz? Wstał, unosząc ręce w żartobliwie obronnym geście.

- Aha, wróciłeś.

- Jakbyś nie wiedział, po tym jak „zapomniałeś” u mnie dzinu tamtej nocy.

Uświadomiłem sobie, jak to brzmi. Skomlenie. Zupełnie jakby to była jego wina. Rzuciłem mu puszkę.

- Przestań mnie śledzić... dobra?

- Oki-doki.

Piliśmy w milczeniu, aż w końcu się odezwał:

- Poszedłem na pogrzeb.

- Czyli zrobiłeś więcej niż ja.
- Lubiłem tego starego sukinsyna. Był charakternym, małym skurczybykiem.
- Jego syn przejął pub.
- Tak? I jaki jest?
- Dał mi szlaban.

Sutton roześmiał się głośno, a ja powiedziałem:

- Wielkie dzięki.

Wkrótce potem otworzyliśmy szkocką.

- Planter znowu to zrobił — stwierdził.
- Może nie, może naprawdę popełniła samobójstwo.
- Daj spokój, Jack. Sam w to nie wierzysz. Zaraz potem jak mieliśmy z nim starcie, idzie i załatwia dziewczynę. Pokazał nam palec.
- Za cholerę tego nie udowodnimy.
- A więc masz zamiar odpuścić.
- A co mogę zrobić?
- Mógłbyś go zastrzelić.

Spojrzałem na Suttona. Nie zobaczyłem niczego, co wskazywałoby, że żartuje.

Następnego ranka byłem sfatygowany, ale nie złachany. Poprzedniego dnia poszedłem do łóżka w porze obiadu i jakimś cudem zostałem w nim. Miałem kaca, ale do wytrzymania.

Siedziałem skulony nad kawą i mruczałem do siebie. Stukanie do drzwi. Janet.

- Och, przepraszam. Mogę przyjść później.
- Proszę dać mi dziesięć minut i już stąd zniknę. Stała w drzwiach.
- Czy coś jeszcze? - burknąłem.
- Chodzi o twojego brata. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.
- Nic się nie stało.

- To uroczy człowiek, obiecał mi obraz.

- Cały on.

- Dobrze, zostawię cię w spokoju.

Liczyłem wygraną. Rozłożyłem forszę na łóżku i podziwiałem. Potem wziąłem parę kopert i do jednej włożyłem działkę dla gościa, który dał mi cynk. Działka dla Padraiga, głównego pijaczka. Koperta z prezentem ślubnym dla Cathy B. I to wszystko.

Pora odwiedzić Seana. Mogłem pojechać autobusem, ale uznałem, że powinienem pokonać kaca spacerem. Kawał drogi. Z Eyre Square do Wood Quay, po Dyke Road, przez most Quincennial. Dalej, do Ragoon. Pamiętałem starą bramę cmentarną. Już jej nie było.

Wykonane przez Ann Kennedy zdjęcie bramy wisiało w Kennys obok wersów z poematu Joyce'a.

Nogi bolały mnie tak samo jak głowa. Nie zamierzałem odwiedzić ojca. Prawdę mówiąc, było mi wstyd. Moje wyczyny z ubiegłych tygodni nie były czymś, czym mógłbym się mu pochwalić.

Grób Seana znalazłem bez trudu. Był zasłany kwiatami. Tymczasowa tabliczka była elegią.

Gdybym miał czapkę, zdjąłbym ją.

Przeżegnałem się. Niektóre rytuały przychodzą nieprzywoływane.

- Sean, strasznie mi Ciebie brak - powiedziałem. - Nie doceniłam cię tak, jak byłeś tego wart.

Znowu piję i na pewno byś się wkurzył. Przepraszam, że byłem kiepskim, najgorszym z możliwych przyjaciół. Nie mam już też pubu. Będę często do Ciebie przychodził. Twój syn jest dupkiem.

Gdybym był w stanie, może bym się popłakał. Kiedy odchodziłem, zerknąłem w stronę grobu ojca. Klęczała przy nim kobieta. Przez jedną, cudownie szaloną chwilę, pomyślałem, że to Ann. Czysta, oszałamiająca radość.

Moja matka. Z opuszczoną głową odmawiała różaniec. Kaszlnąłem cicho. Podniosła głowę.

- Jack.

Wyciągnąłem rękę, by pomóc jej wstać. Nie mogłem nie dostrzec, jak jest krucha. Spuchnięte od artretyzmu kostki palców. Oczywiście, była w regulaminowej czerni.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz - powiedziałem.

- Bardzo wiele nie wiesz, Jack.

- Nie wątpię.

Spojrzała na grób i zapytała:

- Moglibyśmy pójść na filiżankę herbaty?

- Hm...

- Zapłacę. Możemy też wziąć taksówkę. Pojechać do GBC... mają świetne drożdżówki.

Pokręciłem głową.

- Położyłam wiązankę na grobie Seana. Będzie ci go brakować.

- Dam sobie radę.

- Zamówię mszę za niego. U Świętego Augustyna. Tam jest tylko za funta.

Niemal powiedziałem.

„Nie oszczędzaj, weź za najwyższą stawkę, skąpa suko”.

Ale ugryzłem się w język.

- Lubił ten kościół - wyjaśniła. - Chodził tam co rano na mszę.

- Słuchaj... muszę iść.

Może powiedziała „Do widzenia, Jack”, ale nie usłyszałem tego. Kiedy odchodziłem, czułem na sobie jej spojrzenie. Przechodząc przez bramę, pomyślałem: Teraz są tu oboje moi rodzice.

Pozostałości

niewypowiedzianych podziękowań

Przez kilka następnych dni z ogromnym wysiłkiem utrzymywałem swoje picie na poziomie.

Poziomie pragnienia. Pragnienia całych litrów więcej...

Ale piłem dwa kufle do lunchu, potem trzymałem się aż do późnego wieczora, kiedy powoli osuszałem dwa kolejne duże piwa i popitkę z whisky.

Wiedziałem, jak krucha to równowaga. Powiew wiatru strąciłby mnie na nowo do piekła.

Szmerek w głowie wystarczał, by trzymać mnie o krok przed rzeczywistością, i starałem się zachować ten dystans ze wszystkich sił.

Odszukałem gościa, który dał mi cynk, i wręczyłem mu kopertę. Powiedział ze zdziwieniem:

- Jezu, jestem zaskoczony.

- Dałeś mi informację. Przynajmniej to mogę zrobić. Sam też go obstawiłeś?

- Co obstawiłem?

- Rocket Mana! Cynk, który mi dałeś.

- Nie! Nigdy nie obstawiam cynków.

Poczułem, że na poczcie doskonale by się sprawdził. Ani śladu Pad-raiga, a sprawdziłem wszystkie jego meliny.

Zadzwoniłem do Ann. Miałem wrażenie, że jeżeli tylko się z nią spotkam, zdołamy jakoś się porozumieć. Kiedy tylko usłyszała mój głos, odłożyła słuchawkę. Miałem już w pełni wyrosniętą brodę, nawet z siwymi pasmami. Wmawiałem sobie, że świadczy o charakterze, a nawet dojrzałości. Czasami, kiedy spoglądałem w lustro, widziałem oblicze człowieka w desperacji.

Jak wspominałem na początku, miałem zamiar pojechać do Londynu, znaleźć mieszkanie koło parku i czekać. Teraz zdobyłem pieniądze i powód do czekania. Zacząłem przeglądać angielskie gazety, szukając odpowiedniego lokum.

Trzymała mnie tu tylko chęć wyjaśnienia śmierci Sarah. Nie miałem wątpliwości, że odpowiedzialny za nią był Planter. Nie wiedziałem, jak tego dowieść, ale nie byłbym w stanie wyjechać, nie znajdując rozwiązania.

Odkryłem nowy pub. W czasach, kiedy byłem garda i potem, dostałem szlaban do każdego pubu w mieście. Ale teraz, wraz z dobrobytem, pojawiły się nowe puby. Wypróbowałem kilka naprawdę koszmarnych. Wchodzisz i laska wita cię na ful.

— Jak się dziś miewasz?

Człowiek prawie się spodziewa, że zapyta o znak zodiaku. Kiedy wchodzisz z solidnym kaczem do takich lokalów, ostatnią rzeczą, na którą masz ochotę, jest entuzjazm. Na kaca pomaga jedynie oprysk-liwość.

Nestor's odkryłem przypadkiem. Szedłem Forster Street, kiedy lunęło. Rodzaj deszczu, który traktuje cię osobiście. Natychmiast jesteś przemoknięty do suchej nitki. Skręciłem w boczną uliczkę i był. Gdy tylko zobaczyłem w oknie napis

„Nie mamy bud light”

wiedziałem, że trafiłem na swoją oazę.

Wszedłem do środka i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Bar podpierał jeden z wartowników. Kiwnął mi głową i zapytał:

— Co cię zatrzymało?

— Gdzie ten drugi facet?

— Miał zawał.

- Jezu! I jak się czuje?

- A gdybyś ty miał zawał, jak byś się czuł?

- Słusznie. Mogę postawić ci kufel?

Spojrzał na mnie, jakbym go czymś rozczarował, i odparł:

- A będę musiał postawić tobie?

- Nie.

- I nie będziesz chciał ze mną pogadać?

- Możesz na to liczyć.

- No to postaw.

Pub był stary, przypominał starą jadłodajnię. Mógł pomieścić najwyżej dwudziestu klientów.

Barman miał koło pięćdziesiątki. Dwa zawody wymagają wieku barmani

i

fryzjerzy

Nie znał mnie. Co za fart. Zamówiłem picie i rozejrzałem się. Stare wywieszki browaru Guinnessa, facet podnoszący wóz z dwoma pociągowymi końmi i nieśmiertelne słowa:

„Guinness jest dobry dla ciebie” <

i

Autentyki nawet podrzewiałe. Na mojej ulubionej pelikan trzyma w dziobie kilka pienistych kufli. Szczęśliwa ptaszyna. Są wywieszki Woodbinów i Sweet Afton. Nawet mają wersy z Robbiego Burnsa. Barman oświadczył:

- Nie lubię zmian.

- Jestem za.

- Pewnego dnia przyszedł facet, chciał kupić wywieszki.

- Wszystko na sprzedaż.

- Ale nie tutaj.

Zająłem miejsce w kącie. Drewniany stół, stare krzesło z twardym oparciem. Drzwi otworzyły się, stanął w nich wielki farmer i powiedział w przestrzeń:

- Prawie nie będziemy mieli lata. Miejsce dla mnie.

O PIJACZKU

Pani Bailey oznajmiła:

— Ma pan pocztę!

- Co takiego?

Podawała mi list. Nie wierzyłem własnym oczom. Otworzyłem go:

„Ministerstwo Sprawiedliwości

A Chara,

Zgodnie z warunkami Pańskiego wymówienia, wymagany jest zwrot całej własności należącej do rządu.

Artykuł 59347A o mundurze i wyposażeniu. Zwrócono nam uwagę, że nie zwrócił Pan przedmiotu 8234 - regulaminowego uniwersalnego płaszcza policyjnego.

Jesteśmy przekonani, że szybko zwróci Pan rzeczony przedmiot".

Zwinąłem go w kulkę. Pani Bailey zapytała:

- Złe wiadomości?

— Stare historie.

- Zauważyłam, panie Taylor, że nie jadł pan śniadania.

— Proszę mi mówić Jack. Nie, rano nie jestem zbyt głodny. Uśmiechnęła się leciutko.

Wiedziałem, że nigdy nie będzie mi

mówiła Jack. Było to równie pewne jak to, że Przedmiot 8234 nie zostanie szybko zwrócony.

- Nie jadam śniadań od czwartego sierpnia 1984 - oznajmiła.

- Aha.

- Tego dnia zmarł mój mąż, Panie, świeć nad jego duszą.

- Rozumiem.

Nie rozumiałem. Ale do licha z tym. Mówiła dalej:

- Tego dnia zjadł solidne śniadanie. Było po wyścigach i mieliśmy dużo pracy. Ojej, wtedy interes

się kręcił. Pamiętam dokładnie. Zjadłam

dwa plasterki bekonu czarny pudding dwie kiełbaski przypieczony chleb i dwie filiżanki herbaty. Potem czytałam „Irish Independent”. Roześmiała się nerwowo.

- Teraz zna pan moje sympatie polityczne. W każdym razie poszłam zawołać Toma. Nie żył.

Leżał martwy, a ja w tym czasie się obżerałam.

Nie miałem pojęcia, jak zareagować. Zdarza się jednak, kiedy ludzie z czegoś się zwierzają, że nie pragną odpowiedzi, a jedynie słuchacza. Potem dodała:

- Brakuje mi kiełbasek. Od McCambridge'a. Były niepowtarzalne.

Opanowała emocje i znowu wrócił jej hotelowy wyraz twarzy.

- Zastanawiam się, czy mógłby mi pan poświęcić parę minut. Chciałabym poznać pańską opinię w kilku sprawach.

- Oczywiście, kiedy pani zechce.

- Wspaniale. Zamknę bar koło jedenastej. Będziemy mogli wypić kieliszek przed snem.

Jezu! Bar! Pod samym moim nosem. Szkoda gadać.

- Będę z niecierpliwością oczekiwał spotkania.

- Bóg zapłać, panie Taylor.

Na dworze rozpatrzyłem możliwości. Chciałem znaleźć Padraiga. Koperta dla niego wypalała mi dziurę w kieszeni. Dzięki moim brązowym kopertom czułem się jak rząd w miniatrze.

Poszedłem do Nestor's. Wartownik był na miejscu, ale go zignorowałem. Czułem jego wdzięczność. Facet zza baru kiwnął mi głową.

— Robi pan kawę? — zapytałem. Podniósł kubek.

— Jasne.

Usiadłem na twardym krześle. Na stole leżały porozkładane gazety. Wziąłem „Independent” - przez wzgląd na panią Bailey, jeżeli już musi być jakiś powód.

Główny artykuł był o człowieku, któremu skradziono nowy samochód. Mieszkał w dzielnicy z dużym napływem imigrantów. Tego samego dnia po południu jakiś Rumun poprosił go o pieniądze. Facet pobił go prawie na śmierć. Jak się okazało, samochód „pożyczył sobie”

miejscowy chłopak.

Moja kawa przysła i facet zza baru oznajmił:

— Stracił samochód, ale tamten drugi biedny skurwysyn stracił kraj.

Odłożyłem gazetę. Ciągnął dalej:

- Nowa Irlandia. Za dziesięć lat będę obsługiwał rumuńskich Irlandczyków albo afrykańskich Irlandczyków.

Zastanawiałem się, jak najlepiej rozegrać swoje karty i wreszcie powiedziałem:

- Lepsze to niż gówniana prowincja z lat pięćdziesiątych.

- O wiele lepsze.

Na Eyre Square podszedłem do grupy pijaczków. Większość była na wpół przytomna, kiwała się do wtóru widmowej orkiestry. Swego czasu sam słyszałem jej muzykę.

- Widział ktoś Padraiga? - spytałem.

Facet w bluzie Boyzone i z wymową z Glasgow odpowiedział:

- Czegój ci potrzebien, Jimmy? Co w luźnym przekładzie znaczy:

- Bo co?

- Jestem jego przyjacielem.

Naradził się z kolegami. Wstała kobieta siedząca w grupie. Nadawała nowe znaczenie określeniu „obszarpana”. Wychrypiała:

- Jest w szpitalu.

- Co się stało?

- Potrącił go autobus do Salthill.

Powiedziała to tak, jakby autobus specjalnie na niego polował. Facet z Glasgow zapytał:

- Mogemja ciebie prosić, Jimmy?

Dałem trochę forsy. Ściągnęło to na mnie deszcz błogosławieństw, modlitw dziękczynnych i śliny. Bóg mi świadkiem, były mi bardzo potrzebne.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że kobieta miała amerykańską wymowę. Klub pijaczków stał się międzynarodowy. Narody Zjednoczone Beznadziei. Zajrzałem do starego egzemplarza Rossa McDonalda i znalazłem tę perełkę.

„Miała ciemne ślady pod oczami. Może była całą noc na nogach. Amerykanie nigdy się nie starzeją, oni umierają i w jej oczach widniała pełna skruchy świadomość tego faktu”.

Poszedłem do szpitala. Złe przeczucia do entej potęgi.

A więc to jest spis,

powiedziałem wreszcie

tak pełen beztroski,

tak pełen gorzały,

cóż, pozwól mi to podpisał teatralnym gestem,

zakończyć smutnym pocałunkiem.

tylko jednym oczywiście.

Po drodze do szpitala kupiłem

tytoń do zwijania papierosów

bibułki

trzy pary ciepłych skarpet.

Spróbowałem dowiedzieć się czegoś u portiera. Zgodnie z wymogami swojej funkcji był

maksymalnie niekomunikatywny. W końcu zdołałem dojść z nim do porozumienia. Pomogła forsa.

- Ten stary pijaczek. Jest na oddziale Świętego Józefa. Walnął ostatnią lufę metylowy.

- Dziękuję za spolegliwość.

- Że co?

Nie poznałem Padraiga. Nie tylko dlatego, że go wykąпали. Jakoś się skurczył.

- Jak leci? - spytałem.

- Nie pozwalają mi palić.

- Wredne sukinsyny. Zrobić ci skręta?

- Będę twoim wiecznym dłużnikiem. Nie cieszę się ich szczególną sympatią. Czy moim braciom z placu dobrze się powodzi?

- Wszyscy o ciebie pytają.

Już o nim zapomnieli. Wiedział o tym. Uśmiechnął się cierpko. Zapaliłem skręta i włożyłem mu do ust. Kaszel i bulgotanie w piersi podrzuciły go na łóżku.

- Potrzebowałem tego - powiedział. - Czy kiedyś poznałem twoje imię?

- Jack.

- Pasuje do ciebie. Fakt, iż jest to także nazwa mojego ulubionego napitku, to swoisty ironiczny zbieg okoliczności. Leżąc tu bez nikotyny i łaknąc picia, rozmyślałem o Bogu.

Chyba kiedyś słyszałem, że znał moje imię jeszcze przed moim narodzeniem. Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

Rozejrzałem się ukradkiem po sali. Ludzie ostentacyjnie nas ignorowali. Pijaczek był poza nawiasem. Padraig zaczął dygotać, chociaż ogrzewanie było włączone na cały regulator.

Czułem pot spływający mi po brodzie. Pojawił się wózek z herbatą, popychany przez palanta w średnim wieku o imieniu Rooney.

Wredny kurdupel rozsmakowany w swojej wredności. Podobno mój ojciec, najspokojniejszy człowiek na świecie, spuścił mu kiedyś manto. Rooney rozdał herbatę i herbatniki wszystkim, poza Padraigiem.

- Hej, hej, Rooney! - zawołałem.

Udał, że nie słyszy, "wyszedł na korytarz i przyspieszył.

Lód.

Lodowata eksplozja morderczej wściekłości.

Oślepiająca.

Dopałem go niedaleko kardiologii. Rozbiegane oczka patrzyły na mnie wyzywająco.

Służbowa plakietka „Pan Rooney” świadczyła o jego statusie. Spojrzenie mówiło: Nie ośmielisz się mnie tknąć!

Mam ponad metr osiemdziesiąt, ważę około siedemdziesięciu kilo. Czułem się dwa razy większy. Odezwałem się basowym szeptem:

- Idziesz na oddział nagłych przypadków?

- Nie. Idę na...

Rozpoczął litanię do wszystkich świętych. Każdy z nich patronował innemu oddziałowi.

- Będiesz na nagłych wypadkach za jakieś pięć minut albo złamię ci lewą rękę!
- O co ci chodzi, Taylor? Nigdy nic ci nie zrobiłem. Bardzo się kumplowałem z twoim starym.
- Wrócisz tym korytarzem. Wjedziesz swoją furą do sali i zaproponujesz tamtemu człowiekowi kubek herbaty... aha, i jeden z tych twoich spleśniałych herbatników.

Staął na palcach.

- Eee tam... Obszczymurek... co on cię obchodzi... kim jest dla ciebie? To nie herbaty chcą tacy jak on.

Kiedy skończył, popatrzyłem mu w oczy. Żeby zobaczyć coś, do czego nawet sam się nie przyznawałem. Zawrócił wózek i podał Padraigowi herbatę i... dwa herbatniki. Sam też wypilem kubek herbaty i podziękowałem za drugi.

Później Padraig powiedział:

- Nie uda mi się wrócić na płac na wyścigi.
- Może jednak.
- Nie. Bardzo bym chciał ponosić te nowe skarpety. Czy mógłbyś... mógłbyś mi je teraz nałożyć? Zamarzam.

Rzeczywiście.

Skarpetki były czerwone, ciepłe. Na pięcie miały napis. „Wygoda i ciepło”. Prawie się załamałem.

Odwinąłem koc. Jego stopy wywoływały zgrozę. Poważny prozaik mógłby użyć epitetów sękatę

powykręcane

poranione

i och

tak bardzo stare

Skarpety były średniego rozmiaru, ale jak dla niego gigantyczne. Obserwował mnie, kiedy im się przyglądałem. Zapytałem:

- I jak teraz?

- Wspaniale, od razu lepiej się w nich czuję. Kiedyś miałem parę argylli albo może miałem nadzieję, że je miałem. Posiadasz rzadki dar, przyjacielu.

- Doprawdy?

- Nigdy nie wnikasz ani nie wtrącasz się w osobiste sprawy innych.

- Dziękuję.

Niezbyt dobra rekomendacja dla prywatnego detektywa. Powiniennem już sobie pójść.

- Przyniosę ci trochę berbeluchy. Uśmiechnął się uroczo.

- Jakiegokolwiek berbeluchy.

Wychylił się z łóżka, pogrzebał w szafce i wyciągnął z niej plik obszarpanych kartek.

- Przeczytaj to, przyjacielu, ale nie teraz. Będiesz wiedział, kiedy.

- Brzmi to trochę tajemniczo.

- Bez tajemnic jesteśmy zgubieni!

Pytanie: Co wiesz o pieniądzach?

Młody Człowiek: Niewiele.

Odpowiedź: Tak właśnie prowadzą rachunek.

Bill James Gospel

Po wyjściu ze szpitala ogarnęła mnie czarna melancholia. Chmura przygnębienia, która błaga: Skończ to już.

Zazwyczaj najlepsze wczesne wodopoje były dokładnie naprzeciwko szpitala. Oczywiście zniknęły. Teraz jest Gospoda nad Rzeką. Zaryzykowałem. Ani śladu rzeki.

Bar obsługiwała młoda kobieta. W kompletnym rynsztunku, łącznie z plaketką:

„Shona”

Jezu, gdzie się podziały te wszystkie Mary.

Uśmiechnęła się, odsłaniając mnóstwo koronek na zębach. Znie-lubiłem ją.

- Jameson i woda - zamówiłem.

Uznałem, że nie zdoła tego spieprzyć. I rzeczywiście.

Mimo że dodała lodu. Co gorsza jednak, wciąż kręciła się obok.

- Nie musisz wyczyścić zębów niteczką czy coś w tym rodzaju? - spytałem.

Usiadłem przy oknie i uświadomiłem sobie, że zapomniałem dać Padraigowi pieniądze.

Kobieta w średnim wieku szła od stolika do stolika, rozdając ulotki. Unikając kontaktu wzrokowego położyła jedną na moim stoliku. Niewątpliwie napuściła ją Shona. Przeczytałem.

„Aż dotąd oni i ich przodkowie

buntowali się przeciwko mnie. Synowie

są arogancy i uparci...”

Miałem dość.

Dostrzegłem telefon w rogu i musiałem stłumić dzikie pragnienie, by zadzwonić do Ann.

Wgryzłem się mocno w lód i czekałem, aż mi przejdzie. W głowie kręcił mi się młynek z mniej więcej taką mantrą:

Mam pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Dopóki je mam, jestem w grze. Mniejsza o to, że nie rozumiem gry. Forsa mówi, że jestem w niej.

Raz za razem, aż lód rozpuścił mi się w szklance. Kiedy wieczorem wróciłem do szpitala, miałem jacka danielsa dla Pad-raiga. Jego łóżko było puste. Zatrzymałem przechodzącą pielęgniarkę.

- Odszedł?

- Obawiam się, że tak, o szesnastej trzydzieści, bardzo spokojnie.

- Słucham?

- Nie cierpiał.

- Chce pani powiedzieć, że umarł?

- Obawiam się, że tak... Czy jest pan krewnym? Próbowałem zebrać myśli.

- Co teraz się z nim stanie? — zapytałem.

Wyjaśniła, że jeżeli nikt się po niego nie zgłosi, pogrzebem zajmie się Zachodnia Komisja Zdrowia.

- Mogła biedaków?

- Cóż, już tak tego nie nazywamy. Są to wydzielone działki na cmentarzu.

- Ja się zgłoszę.

Całkiem oszołomiony przebrnąłem przez korowody związane z wypełnianiem formularzy i uzyskiwaniem zaświadczeń. Nawet zadzwoniłem do przedsiębiorcy pogrzebowego, żeby zapytać, czy wszystko załatwią. Upewniłem się:

- Przyjmujecie gotówkę?

- Tak.

Pogrzeb Padraiga, sam pochówek, pamiętam jak przez mgłę. Na każdym etapie byłem nawalony po brwi. Oczywiście, nie było żałobników. Urządziłem to całe przedstawienie wyłącznie dla siebie.

Jedna sprawa. Leży blisko Seana. Nie mógłbym zaplanować tego lepiej. Wydaje mi się, że w którymś momencie ceremonii pojawił się Sutton, ale może to moje życzeniowe myślenie.

Ann z całą pewnością nie było.

Już po wszystkim chciałem przeprosić panią Bailey, że nie przyszedłem na kieliszek przed snem. Spojrzała na mnie wyjątkowo dziwnie i powiedziała:

- Przecież go wypiliśmy.

Zupełna pustka. Próbując jakoś to zatuszować, oznajmiłem:

- Chodzi mi o to, że niewiele pomogłem.

- Ależ ogromnie mi pan pomógł.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Jak mogłabym go sprzedać po tak namiętym pańskim apelu.

Niektóre tajemnice lepiej pozostawić w spokoju. Padraig miał ra-cję. W końcu zajrzałem do papierów, które mi dał. Oto co napisał:

„Irlandzki pijaczek przewiduje swoją śmierć (z przeprosinami dla W.B.) Obwińcie o to intuicję

nic nie czyniłem

i na pewno

niemal na pewno nie mógłbym uwierzyć

że długo przeżyję

życie na ulicy.

Sabotażem nadziei

nazbyt długo

żyłem

jednym kieliszkiem ponad rozpaczą

piwiarnia

karawan

zanim

zobaczyłem jak pijaczek kładzie dłoń na sercu.

Wiedziałbym

że czapkę

gdyby ją posiadał

wolno, jakże

bardzo wolno

zdejmuje

potrząsa głową

potrzęsając... ignoruje

... Milczenie z Szacunkiem.

Kondukt przechodzi... zmusza... by

dłoń... dzień po

tej chwili nowej

niemal przekracza

najstarsze oczekiwania

dłoń na zgodę

...niewyciągnięta znowu.

Trumna nie mija bogatych hoteli ich dłonie wyciągnięte do resztek metylowy nie nabrały kształtu".

PRZEŁOM

Potem sprawy zaczęły toczyć się bardzo szybko. Nie powiem, że śmierć Padraiga była punktem przełomowym, ale tak to wygląda. Wieczorem w Nestor s barman wziął mnie na stronę i powiedział.

- Nie będę wygłaszał kazań, ale kiedyś piłem jak ty. No i bardzo dobrze, ale mam wrażenie, że masz jakiś niezakończony interes.

- O czym gadasz?

- Masz minę człowieka, który musi być gdzieś indziej. Masz. Podał mi paczuszkę. Byłem w moim najbardziej wojowniczym

nastroju. Warknąłem:

- Co to takiego, u diabła?

- Beta-blokery. Wyhamują cię. To jak kokaina; ale bez złych skutków.

- Dlaczego uważasz, że ja... Ale uciszył mnie, mówiąc:

- Spróbuj tego... wyhamuj... a kiedy pozbędziesz się tego piekła, które cię prześladowuje, wróć...

zaczynij spokojne życie z gazetami, paroma kufelkami i przyzwoitym pubem.

Potem odszedł.

- To ty potrzebujesz pomocy, nie ja - odszczeknąłem. Ale jednak schowałem paczuszkę do kieszeni.

Sr*

Następnego ranka miałem matkę wszystkich kaców. W desperacji wziąłem jedną tabletkę.

Nieco później błogostan.

Patrząc w okno, a właściwie spokojnie przez nie wyglądając, oświadczyłem:

- To nie znaczy, że przestanę pić.

Ale przestałem.

Wesele Cathy B. powinno skończyć się potężnym ochlajem. Skończyło się, ale nie dla mnie.

Urząd Stanu Cywilnego w Mervue, naprzeciwko szpitala Merlin Park. Zapytałem Cathy:

— Nie wolałabyś w kościele?

- Negatywne vibracje, Jack.

Jej wybranek, Everett, artysta performer, nie był tak kiepski, jak się obawiałem. Nie najlepszy, ale do wytrzymania. Tuż po dwudziestce, z ogoloną głową. Miał na sobie coś, co chyba nazywają kaftanem... a może zasłoną. Należy przyznać, że to coś było świeżo wyprasowane. Na tę okazję, jak przypuszczam. Cathy wyglądała oszałamiająco. W prostej czerwonej sukience i na kilometrowych szpilkach.

- Co powiesz? - spytała.

— Lady in Red.

Megausmiech. Kiedy przedstawiła mnie Everettowi, bąknął:

— Aha... ten starszy facet.

Usiłując zachowywać się, jakby mnie to choć trochę obchodziło, spytałem:

- Jak się... performuje?

- Odpoczywam.

— Słusznie.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Bóg mi świadkiem, spotykałem większych dupków.

Ten był po prostu najmłodszy. Cathy szepnęła:

- Jest bardzo skromny. Wkrótce ma mieć wielki występ u Mac-nas.

- Wspaniałe! Podaliśmy jej kopertę.

- Jak w Ojcu chrzestnym IB Ceremonia była

krótka

skrupulatna

zimna

Do ślubu potrzebny jest kościół.

Potem przyjęcie w The Roisin. Wytoczono beczki picia. Pełno artystów. Takich, którzy z pięćdziesięciu metrów potrafią powiedzieć, że nie jesteś artystą. Ale mimo wszystko zupełnie niezła banda. Grali od bluegrass przez punk country do salsy. Zmusili naród do skakania.

Młoda kobieta w czarnym dżinsie spytała:

- Chcesz zatańczyć?

- Może później.

Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

- Chyba nie czeka cię żadne później.

Obwinałem o to brodę. Kilka razy przywiało mnie pod barek i prawie zawołałem:

- Podwójnego Jamesona i piwo. Ale mi przeszło. Cathy zapytała:

- Nie chcesz drinka?

- Chcę... ale...

- Kapuję. Jesteś miłszy bez niego.

Kiedy wychodziłem, uścisnęła mnie mocno i powiedziała:

- Jesteś cool.

Everett kiwnął mi leniwie głową.

- Trzymaj się, stary. Niewątpliwie życiowe przesłanie.

Idąc Dominie Street, spostrzegłem nagłówek.

Znika znany biznesmen

Kupiłem gazetę i usiadłem na moście, żeby ją przeczytać. Artykuł brzmiał mniej więcej tak:

„Były garda, Brendan Flood, zgłosił się z doniesieniem, że znany biznesmen, pan Planter, jest odpowiedzialny za śmierć kilku nastoletnich dziewcząt. Ich zgony uznano za samobójstwa, ale w świetle informacji przekazanych przez pana Flooda dochodzenia w tych sprawach zostały wszczęte na nowo.

Komisarz Clancy przekazał krótki komunikat, w którym powiadomił, że pan Planter zniknął ze swojego domu i jego miejsce pobytu jest nieznane.

Pan Flood oznajmił, że postanowił złożyć doniesienie, w związku z niedawnym przyjęciem wiary chrześcijańskiej.

Pan Flood wspomniał także, że inny były garda, Jack Taylor, miał zasadniczy wpływ na jego decyzję o złożeniu doniesienia”.

Odłożyłem gazetę, myśląc: Nareszcie sławny.

westchnąłem z uczuciem, bardzo przypominającym ulgę. A więc to już prawie koniec. Ann dostaje to, czego tak rozpaczliwie się domagała. Wszyscy dowiedzą się, że jej córka nie była samobójczynią. Czytając gazetę, można było pomyśleć, że odegrałem w tym jakąś ważną rolę. Ale prawdę mówiąc, nieudolnie błąkałem się po omacku, robiłem dym bez opamiętania i spowodowałem śmierć Forda.

Cisnąłem gazetą.

Kiedy wróciłem do pokoju, strasznie chciałem się napić. Głos szeptał:

— Sprawa zamknięta, prawie rozwiązania, pora na odpoczynek. Łyknąłem beta-b i poszedłem spać.

Clay stał jeszcze kilka minut, tyłki) kręcąc głową, myśląc, jakie to śmieszne, Kiedy raz coś spierdolisz, wydaje się, że nie możesz PRZESTAĆ

pierdolić wszystkiego, choćby zależało od tego twoje życie, George Pelecanos The Sweet Foreer

Następnego dnia wczesnym rankiem rozległo się stukanie do drzwi. Spodziewając się, że to Janet, zawołałem:

- Proszę wejść. Wszedł Sutton. Zapytał:

- Co masz do picia?

- Kawę.

- Kurwa, znowu jesteś suchy.

- Cóż mogę ci powiedzieć?

Usiadł na fotelu, oparł nogi na łóżku. Powiedziałem:

- Słyszałeś o Planterze?

- Jasne. Jestem o oczko lepszy.

- Co to znaczy?

- Wiem, gdzie jest.

- Żartujesz. Dałeś znać glinom?

- Byłeś gliną i właśnie ci mówię. Sięgnąłem po telefon, ale mnie powstrzymał.

- To nie taki numer.

- Nie rozumiem.

- Mogę ci go pokazać.

Potrwało chwilę, zanim do mnie doszło.

- Porwałś go!

Uśmiechnął się po swojemu i zapytał:

- Chcesz go zobaczyć czy nie? Uznałem, że mam tylko jedno wyjście.

- Tak. Zerwał się.

- Zaczynamy rock'n'rolla. Znowu był tym żółtym wozem.

- Człowiek przyzwyczaja się do koloru - wyjaśnił. Po półgodzinie zrozumiałem:

- Clifden?... Trzymasz go w Clifden!

- Powiedziałem ci, że załatwiłem sobie ten skład. Wielka buda. Proponowałem ci udział.

- I... porwałś sobie lokatora, co?

Wciąż wydawało mi się, że to jakiś zwariowany dowcip, ale musiałem sprawdzić.

- Co tam z nim robisz?

- Maluję jego portret. Przecież zamówił go u mnie, pamiętasz? Kiedy dojechaliśmy do Clifden, oczywiście padało. Mniej więcej

w połowie Sky Road zatrzymał się, zjechał do zatoczki i oznajmił:

- A teraz pod górę.

Rozejrzałem się, ale nie zobaczyłem żadnego domu.

- W tym cały bajer. Nie widać go z drogi.

Przemokłem, dwa razy pośliznąłem się na błocie. Wszedłem na wzgórze i rzeczywiście tam był.

- Będzie zadowolony z towarzystwa - powiedział Sutton. Pomalowany na ciemnozielony kolor budynek idealnie zlewał się

z otoczeniem. Rząd okien z zamkniętymi mocno okiennicami. Sutton wyjął klucz, otworzył drzwi i zawołał:

- Kochanie, wróciłem! Wszedł do środka.

- O kurwa! - usłyszałem.

Przecisnąłem się obok niego. W półmroku zobaczyłem pryczę. I wiszącą nad nią ppstać.

Sutton nacisnął kontakt.

Planter wisiał na drewnianej belce. Na szyi miał pęde z prześcieradła. Łańcuch na jego kostce był przytwierdzony do podłogi

koło łóżka. Zerknąłem na jego twarz. Jezu Chryste, naprawdę cierpiał.

Niedaleko łóżka stały sztalugi z płótnem na blejtramie.

- Skurwiel wybrał łatwiejszy sposób. Ponownie spojrzałem na twarz Plantera.

- Nazywasz to łatwiejszym sposobem? Jezu! Sutton podszedł do szarki, wyjął butelkę szkockiej.

- Walniesz sobie?

Pokręciłem głową. Pociągnął potężny łyk i westchnął.

- Uff... pomaga. Podszedłem do Suttona.

- Zabiłeś go?

Whisky już dotarła mu do oczu, wywołując w nich dziki błysk.

- Pogięło cię, za kogo mnie masz? Nie odpowiedziałem. Napił się jeszcze.

- I co teraz? - zapytałem.

- Zrzućmy go z Nimmo. Sprawiedliwości stanie się zadość.

- Nie sądzę.

- W takim razie musimy fiuta zakopać.

Tak też zrobiliśmy. Za domem. Deszcz lał jak wściekły i kopanie w twardej ziemi zajęło nam ponad dwie godziny. W końcu było po wszystkim.

- Czy nie powinniśmy powiedzieć czegoś nad jego grobem? - pomyślałem na głos.

- Tak, coś o sztuce, w końcu lubił obrazy.

- Przychodzi ci coś na myśl?

- Powieszony w Clifden.

Kiedy wróciliśmy do Galway, była szósta wieczorem. Byłem przemoczony, brudny i skonany. Sutton zaparkował samochód i powiedział:

- Nie przejmuj się. Przyznał mi się, wiesz? Dawał tym dziewczynom rohypnol.

- Dlaczego je topił?

- Bo sprawiało mu to frajdę.

- Boże Wszechmogący!

Sutton miał minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- O co chodzi? - spytałem.

- Powiedział mi o dziewczynach. Sprawiał wrażenie, że chciał opowiadać. Ale...

- Ale co?

- Twierdził, że ta Henderson... no wiesz... Sarah...

- O co chodzi?

- Nie zabił jej... Sama się zabiła.

- Pierdolony łgarz.

- Dlaczego miałby kłamać? W końcu przyznał się do innych. Zacząłem wysiadać z samochodu.

- Wiesz co... - powiedziałem. - Przez jakiś czas chyba nie chcę cię widzieć.

- Kapuję.

Spalił gumę, ruszając.

Kiedy kurz opada,

pozostajesz

z kurzem.

Przez jakiś czas poszukiwania Plantera zajmowały nagłówki gazet. Po kilku tygodniach zainteresowanie sprawą opadło i razem z Shergarem oraz lordem Lucanem znalazł się w sferze domysłów i spekulacji. Ca-thy B. pojechała w podróż poślubną do Kerry i zniknęła na miesiąc. Nie miałem żadnej wiadomości od Ann.

Nie piłem.

Sutton zadzwonił raz. Brzmiało to mniej więcej tak:

- Jack... hej, stary, jak leci?

- W porządku.

- Mogę do ciebie dzwonić, prawda? Mamy przecież teraz wspólną przeszłość... co?

- Skoro tak twierdzisz.

- Słyszałem, że wciąż nie pijesz.

- Dobrze słyszałeś.

- Gdybyś chciał zrezygnować, wiesz, do kogo zadzwonić.

- Jasne.

- Jack, może chciałbyś się dowiedzieć, co robię?

- Jeżeli masz ochotę mi opowiedzieć.

Krzywy uśmiezek może być słyszalny. Był słyszalny u Suttona.

- Człowieku, maluję.

- W porządku.

- Dobra, Jack, nie zachowuj się jak obcy. Rozłączył się.

Autopsja

Zwłoki białego mężczyzny}'

Okolo 55 lat.

Na prawym ramieniu tatuaż anioła

Dobrze odżywiony

Waga: 81 kg

Wzrost: 185 cm

Przyczyna zgonu: Nuda

Wyobrażałem sobie, że tak to może wyglądać. "Widziałem mój nagi, biały, zwiotczały tors na metalowym stole.

Nawet słyszałem suchy, beznamiętny głos anatomopatologa.

Takie właśnie miałem myśli.

Pora wyjeżdżać.

Wciąż miałem kupę szmalu. Poszedłem do biura podróży. Kobieta w średnim wieku z plakietką , Joan" powiedziała:

- Znam pana.

- Doprawdy?

- Spotykał się pan z Ann Henderson.

- Czas przeszły jest całkowicie na miejscu. Zaczekała z dezaprobatą. Dźwięk był dziwaczny.

- Ogromna szkoda. Jest wspaniałą dziewczyną.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy załatwić sprawę mojej podróży?

Nie spodobało się jej.

- Cóż, proszę mi łaskawie wybaczyć. W czym mogę pomóc?

- W bilecie do Londynu.

- Data wyjazdu?

- Mniej więcej za dziesięć dni.

- Powrót będzie kosztował... niech sprawdzę.

- Joan... w jedną stronę. Spojrzała na mnie ostro.

- Nie wraca pan? Uśmiechnąłem się do niej drętwo.

- Jak pan sobie życzy.

Kilka minut później miałem bilet.

- Przyjmujecie gotówkę?

Przyjęła, choć niechętnie. Wychodząc, oznajmiłem:

- Będzie mi cię brakowało, Joan.

Kiedy przechodziłem przez plac, mógłbym przysiąc, że widziałem koło fontanny Padraiga.

Pomyślałem: Czy ta cała trzeźwość jest rzeczywiście tak dobra, jak ludzie gadają?

Poszedłem do Nestor's. Wartownik był na miejscu.

- Czytałem o tobie w gazetach - odezwał się.

- Eee, to było wieki temu.

Barman się uśmiechnął. Zdążyłem się już dowiedzieć, że ma na imię Jeff. Chociaż bywałem tu codziennie, nie udało mi się wyniu-chać nic więcej. Oceniałem, że jest w mojej grupie wiekowej. Otaczała go podobna atmosfera zdumienia i zmalretowania. Pomyślałem, że pewnie dlatego w jego towarzystwie czuję się tak swobodnie.

Usiadłem na twardym krześle. Przyniósł mi kawę i zapytał:

- Mogę się przysiąść?

Zdumiałem się. Miałem wrażenie, że w naszych relacjach utrwaliła się zasada przyjaznego unikania się.

- Oczywiście - odparłem.

- Jak działają bety?

- Nie piję.

Uśmiechnął się. Wydawał się rozważać różne możliwości i w końcu rzekł:

- Chcesz, żebym powiedział ci prawdę, czy mam tylko przytakiwać?

- Co?

- To cytat zTomaWaitsa.

- Jemu też picie nie było obce. Przesunął dłońmi po włosach.

- Nie przynoszę zbyt wiele dobrego przyjaciółom. To nie znaczy, że ich krzywdzę. Żona mnie zostawiła, ponieważ jej zdaniem byłem zbyt samowystarczalny.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierza. Ale jestem Irlandczykiem, wiem, jak to działa.

Wymiana słowna. Otrzymujesz jakiś osobisty

szczegół i musisz się zrewanżować tym samym. Sztuka za sztukę. Przyjaźń rozwija się - albo nie.

Tkanina rozmów.

Zacząłem:

- Nie mam zbyt wiele szczęścia do przyjaciół. Dwóch najlepszych niedawno pochowałem.

Nie wiem, co ode mnie otrzymali, poza paroma tanimi wieńcami na grobach. I parą ciepłych skarpet.

Kiwnął głową.

- Przyniosę dzbanek z kawą - zaproponował. Przyniósł.

Po uzupełnieniu poziomu kofeiny oznajmił:

- Trochę o tobie wiem. Co nie znaczy, że pytałem. Ale jestem barmanem, słyszę to i owo.

Wiem, że pomogłeś przerwać tę serię samobójstw. Że byłeś garda. Podobno jesteś twardziel.

Roześmiałem się smętnie.

- A ja - ciągnął - byłem kiedyś w kapeli. Słyszałeś kiedy o Metalu? ;

- Heavy metalu?

- To też graliśmy, ale nasza kapela nazywała się Metal. Dobrze dawaliśmy czadu w Niemczech pod koniec lat siedemdziesiątych. W każdym razie dzięki temu kupiłem pub.

- Nadal grasz?

- Dobry Boże, nie. Wtedy też nie grałem. Pisałem teksty. A muszę powiedzieć, że teksty nie są istotne przy ostrym graniu. Mam dwie pasje. Poezję i motory.

- Mam wrażenie, że w jakiś pokrętny sposób to logiczne.

- Ale nie byle jakie motory. Tylko harleye. Softail kustom. Kiwnąłem głową, jakby mi to wiele mówiło. A nie mówiło nic.

- Rzecz w tym, że cholernie trudno o części do nich. A jak wszystkie rasowe motory, psują się często.

Znowu kiwnąłem głową. Miałem praktykę. Wstał. Prawdę mówiąc, zazdrościłem mu entuzjazmu. Tego, że jest w nim taka pasja.

- A teraz o poezji. Ona się nie psuje. Na górze mam tytanów... wiesz kogo?

Do diabła, nie musiałem ryzykować. Powiedziałem:

- Yeats wordsworth.

Pokręcił głową i oznajmił

- Rilke lowell baudelaire macNeice.

Spojrzał prosto na mnie.

- W tym wszystkim jest sens i Bóg mi świadkiem wreszcie go znalazłem.

Podał mi plik kartek.

- Są wśród nas poeci. Są tutaj, w Gałway. Na przykład Fred John-ston... cóż, pomyślałem sobie, że pomogłoby ci to poradzić sobie z tymi śmierciami, których doświadczyłeś.

- Bardzo ci dziękuję.

- Nie zagłądaj do nich teraz. Znajdź spokojną chwilę, zobacz, jak się to czyta.

A potem wrócił do swoich zajęć przy barze. Wartownik powiedział:

- Czytałem o tobie w gazecie.

Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie stanie się to jego mantrą.

Mógłby powiedzieć, że to niesprawiedliwe,

nie powtarzał to już milion razy.

Pomimo Tej prawdy idea znaczyła mniej, niż powinna, Trafił się nam tydzień wspaniałej pogody. Słońce od ranka do późnego wieczora. Miasto oszalało. Porzucono pracę i tłumy wyległy łapać promienie. Wszelkie obawy przed rakiem skóry zostały całkowicie zignorowane.

Lodziarze stali na każdym rogu. Wrzaskliwe grupy piwnych żuli. A co gorsza - faceci w szortach! W skarpetach i sandałach. Jeden z autentycznie koszmarnych widoków nowej ery.

Nie muszę mieć słońca.

Jestem zachwycony jeżeli nie pada, i każdą nadwyżkę uważam za zbytek rozkoszy. Nie dowierzam im. Budzą pragnienia. Są czymś, co nie może trwać.

Siedziałem w cieniu na Eyre Square. Przyglądałem się dziewczynom, już czerwonym i pracującym na pęczce. Usłyszałem moje imię... zobaczyłem ojca Malachy'ego. Po cywilnemu, w drelichowych spodniach i białym podkoszulku.

- Wychodne? - spytałem.

- Czyż upał nie jest wielki?

Oczywiście, „wielki” jest określeniem dwuznacznym. Wielki może być dobry albo zły. O to nawet się nie pyta. Powinno się wiedzieć.

Nie pytałem. Powiedział:

- Jesteś facetem, którego trudno znaleźć.

- Zależy, kto szuka.

- Byłem wczoraj na plaży. Jejku, ale tłumy. Cudownie popływałem. Wiesz, kogo widziałem?

- Malachy, mogę zapewnić, że nie mam bladego pojęcia.

- Twojego przyjaciela... Suttona. -Tak?

- Opryskliwy gość.

- Nie lubi księży.

- Cóż, jest z północy! Zatrzymałem się, żeby powiedzieć cześć, zapytałem, czy już się kąpał.

Roześmiałem się mimo woli. Malachy mówił dalej:

- Powiedział mi, że nie umie pływać. Możesz w to uwierzyć? Mijająca nas kobieta powiedziała:

- Niech będzie pochwalony, ojczu.

- Muszę już iść. Za godzinę mam być na polu golfowym.

- Rany. Pan Bóg jest bardzo wymagający. Zmierzył mnie służbowym spojrzeniem.

- Nigdy nie było w tobie ani krzty szacunku, Jack.

- Ależ skąd. Po prostu nie szanuję tego, co robisz.

Odszedł. Pewnie była to gra światła, ale odniosłem wrażenie, że cień się skurczył.

Przy drodze na cmentarz Ragoon stoi nowy hotel. Jezu, i oni mówią o planowaniu strategicznym. Miałem ochotę go sprawdzić, ale poszedłem dalej.

Upał był okrutny. Kwintesencja mojego życia - tłumy walą na plażę, a ja idę na cmentarz.

Słońce odbijało się od nagrobków jak wyrachowana zemsta. Ukląkłem przy Seanie i powiedziałem:

- Nie piję... W porządku? Potem poszedłem do Padraiga.

- Nie przyniosłem kwiatów. Przyniosłem wiersz. Jak widzisz, nawet jeżeli jestem skąpym sukinsynem, to jestem artystycznym sukinsynem. A Bóg mi świadkiem, kochałeś słowa.

Posłuchaj.

WIEJSKI POGRZEB

Trzymają morze w prawej dłoni

Idąc chwiejnie pod górę w lekkim wiateryku pamięci Pola tu to same skały i bagniska

I martwe drzewa.

Poblady kościół tkwi w wilgotnym słońcu

Wyspy na które patrzą jego ciemne drzwi

Drobne modlitwy unoszą się w niskie, zimne niebo, Już nie przykute do ziemi.

Rozstrojony silnik karawanu, czarna

Farba odpada z przerdzewiałej blachy, chrom

Się łuszczy. Na wszystko nadchodzi pora,

Umarli idą do domu.

Ociekałem potem. Zacząłem iść ścieżką między grobami. Zobaczyłem Ann Henderson nadchodzącą z przeciwnej strony. Spotkaliśmy się przy bramie. Przez chwilę myślałem, czy się nie wycofać, ale spostrzegła mnie i pomachała.

Kiedy podszedłem do niej, uśmiechała się. Serce zaczęło mi łomotać z szaleńczą nadzieją.

Boleśnie poczułem, jak bardzo mi jej brakowało.

- Jack! - powitała mnie.

Bardzo oryginalnie odpowiedziałem:

- Ann.

Postarałem się zebrać myśli do kupy i spytałem:

- Napijesz się wody mineralnej?

- Bardzo chętnie.

Kiedy szliśmy do hotelu, powtarzała:

- Straszny ten upał.

I opowiadała, jak bardzo jej ulżyło, kiedy stwierdzono, że Sarah nie popełniła samobójstwa.

Prawie się nie odzywałem. Bałem się, że zniszczę tę maleńką szansę, jaką mi dano. W hotelu zamówiliśmy wielkie porcje świeżego soku pomarańczowego z całymi tonami lodu. Nie skomentowała, że nie zamówiłem alkoholu. Zanim zdołałem jakoś do niej przemówić, oznajmiła:

- Jack, mam cudowną wiadomość. - Tak?

- Poznałam fantastycznego człowieka.

Wiem, że mówiła dalej, ale nic już nie słyszałem. W końcu wstaliśmy i zapytała:

- Będę wzywała taksówkę, mogę cię gdzieś podwieźć? Pokręciłem głową. Przez jeden koszmarny moment myślałem,

że zechce uścisnąć mi rękę. Ale zamiast tego przysunęła się do mnie i cmoknęła mnie w policzek.

Kiedy szedłem w stronę Newcastle, słońce waliło we młotem. Podniosłem ku niemu twarz i powiedziałem: — Usmaż mnie, skurwysynu.

GOTOWY

DO

STARTU

W o powrocie do pokoju byłem jak wycinowany. Tak strasznie chciałem się napić, że czułem smak whisky w ustach. Serce było martwym ciężarem w piersi. Krzyknąłem na głos zapamiętane z dzieciństwa irlandzkie słowa:

— An bronach tñhor.

Co znaczy „biada mi”, a w bardziej współczesnym przekładzie: „Mam przejebane”. Jak zawsze.

Czy koło pięćdziesiątki miałem się załapać na kolejny zastrzyk miłości?

Możesz pomarzyć.

W lewej półkuli zrodziła się myśl:

Czy nie byłoby fajnie opuścić Galway na trzeźwo?

Przemówiło to do mnie i łyknałem beta-b, mruczając pod nosem:

- Mam zajęcie, muszę przygotować się do wyjazdu.

Nick Hornby spopularyzował robienie list. Cóż, mogłem przygotować wyjazdową.

Zapakować 3 białe koszule 3 pary dżinsów

1 garnitur

trochę książek

dwie kasy wideo.

Potem powiedziałem:

- Pieprzyć garnitur.

Większość mogłem spakować do torby na ramię i stać się historią. Sprawdziłem bilet na samolot, pięć dni do odlotu. Zszedłem do recepcji, bety już studziły moją duszę.

Pani Bailey spytała:

- Panie Taylor, dobrze się pan czuje?

- Oczywiście.

- Pańskie oczy. Są takie znekane.

- Nie, dostało się do nich trochę szamponu. Kłamstwo pozostało bez komentarza.

- Pani Bailey, wyjeżdżam na jakiś czas. Chyba jej to nie zaskoczyło.

- Pokój będzie na pana czekał.

- Cóż, może mnie nie być dość długo.

- Proszę się nie martwić, zawsze będzie jakiś pokój.

- Dziękuję.

- Miło było pana gościć. Jest pan dobrym człowiekiem.

- Nie jestem tego pewien.

- Oczywiście, że nie, to część tej pańskiej dobroci.

- Czy zanim wyjadę, mógłbym zaprosić panią na kieliszek na dobranoc?

- Młody człowieku, nalegam na to.

Na zewnątrz stał żółty samochód. Nad tablicą rejestracyjną miał nalepkę „CLFD”.

Zastukałem w okno. Sutton powiedział:

- Ty we własnej postaci.

- Chyba uzgodniliśmy, że przestaniesz mnie śledzić.
- Nie śledzę. Czekam.
- Co za różnica?
- To ty jesteś detektywem. Wsiadł i się przeciągnął.
- Te cyrki z inwigilacją są kurewsko męczące! Był całkiem na czarno. Bluza, bojówki, niki.
- Czego żeś się tak ubrał? - spytałem.
- Jestem w żałobie.
- Nie jestem pewien, czy to w najlepszym guście. Sięgnął do samochodu, wyciągnął torbę.
- Przybywam z darami.
- Z jakiej racji?
- Sprzedałem kolejny obraz. Posłuchaj, postawię ci drinka... ups... kawę, a następnie dam upust swej szczodroblewości.

Pomyślałem, że to pewnie ostatni raz.

Poszliśmy do Elles na Shop Street. Sutton powiedział:

- Robią tu świetne cappuccino.

Rzeczywiście.

Nawet dodawali włoską czekoladę. Sutton wbił zęby w swoją:

- Mmm... dobra.
- Weź i moją.
- No jasne, przecież to jakby... rozpusta.

Sięgnął do torby, wyjął dwa telefony komórkowe i położył jeden przede mną.

- Jeden dla ciebie.

I położył drugi przed sobą.

- Nie chcę go - powiedziałem.
- Oczywiście, że chcesz. Dostałem je za bezcen. Teraz jesteśmy rzeczywiście związani.

Pozwoliłem sobie wpisać mój numer do twojej książki telefonicznej.

Znowu ręka w torbie i tym razem pojawia się w niej mały, oprawiony obrazek. Pirs Nimmo.

- Nie musisz mi mówić, że jest dobry. Sam to wiem. Mało tego... jest wartościowy. Zbierają mnie.

Nie byłem pewien, co robić dalej, i powiedziałem wprost:

- Spadam stąd.

- Jezu, dopij przynajmniej cappuccino.

- Nie, wyjeżdżam z Galway. Chyba naprawdę się zdziwił.

- A dokąd? - spytał.

- Do Londynu.

- Tego szamba. Przecież nawet nie pijesz. Jak możesz jechać tam na trzeźwo?

- Wielu tak robi... podobno.

- Jasne, obywatele i ludzie duchy. Co będziesz robił?

- Wynajmę mieszkanie w Bayswater, będę zabijał czas.

- Zabijesz siebie. Daję ci tydzień.

- Dzięki za słowa otuchy.

- Rany... Londyn... na rany Chrystusa. Kiedy?

- Za jakieś pięć dni.

- Wypijemy strzeziennego albo coś w tym stylu?

- Jasne.

Wskazałem komórkę i dodałem:

- Zadzwoń.

- Zrób to. Najlepiej w nocy. Nie śpię zbyt dobrze.

- Nie?

- A ty byś spał... z facetem pochowanym pod oknem? Wstałem.

- Dziękuję za dary.

- Jasne. Powieś obrazek w mieszkaniu w Bayswater. Jezu. Kiedy wychodziłem, wciąż kręcił głową. Na Shop Street kłębili

się

mimowie

uliczni aktorzy

połykacze ognia

Facet robił modele z kawałków drutu. W kilka minut tworzył zdumiewające kształty.

Zapytałem, czy może zrobić coś konkretnego.

- Wszystko, poza pieniędzmi - odparł.

Kilka minut później wręczył mi zrealizowane zamówienie. Dałem mu parę funtów i powiedziałem:

- Naprawdę masz talent.

- Powiedz to radzie artystycznej.

Tego dnia osiągniesz samotność, której tak bardzo pożądałeś.

Nie. pytaj mnie, kiedy to st(stanie, albo gdzie czy w jaki sposób.

Na górze czy w więzieniu, na pustyni

czy w obozie koncentracyjnym. To nie ma znaczenia.

Dlatego nie pytaj mnie, ponieważ nie mam zamiaru ci powiedzieć.

Nie będziesz wiedział, dopóki tego nie osiągniesz.

Thomas Marten Siedmiopiętrowa góra

Poszedłem do szpitala, gdzie zdjęli mi gips z palców. Kiedy na nie patrzyłem, sprawiały wrażenie uschniętych, skurczonych. Lekarz dał mi małą piłeczkę i poinstruował:

- Jeżeli będzie pan ją codziennie mocno ścisnąć, siła stopniowo powróci.

Pielęgniarka gapiła się na mnie i spytałem:

- Co jest?

- Będzie pan mógł się znowu golić. Przeczesałem palcami brodę.

- Nie podoba się pani?

- Postarza pana.

- Czuję się stary.

- Eee tam, daj pan spokój.

Pomyślałem, że będzie mi brakowało irlandzkich pielęgniarek. Umówiłem się z Cathy B. w Nestor's.

- Gdzie?

Podaliśmy jej koordynaty. Nadal utrzymywała się ładna pogoda i słońce waliło po oczach.

W Nestors wartownik zignorował mnie, doszedłem więc do wniosku, że moja sława dobiegła końca. Usiadłem w swoim krześle, a Jeff pojawił się z kawą. Postawiłem na stole mój uliczny zakup.

- O rany! - zawołał.

To był miniaturowy harley z idealnie wykonanymi najdrobniejszymi szczegółami.

- Ode mnie na pożegnanie.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Nie pytał gdzie kiedy ani nawet dlaczego

Tylko skinął głową.

Wpadła Cathy, rozejrzała się i zapytała:

- Co to takiego... jadłodajnia?

- Witam z powrotem, pani... jaka?

- Pani Rozczarowana.

- Co?

- Everett zniknął. Spotkał w Listowel Amerykankę i dał nogę.

- Jezu, jak mi przykro.

- A mnie nie, był kutasem. Podszedł Jeff.

- Co podać?

- Szprycera.

Kusiło mnie, żeby się przyłączyć. Przyjrzała się odchodzącemu Jef-fowi i stwierdziła:

- Ładny tylek!

- Motocyklista.

- Mój typ.

Przyniósł drinka i uśmiechnął się do niej promiennie. Pomyślałem, że Jeff wciąż zna parę sztuczek. Cathy stwierdziła:

- Wy, starsi faceci, macie klasę.

Roześmiałem się, jakby rzeczywiście było mi do śmiechu.

- Wyjeżdżam do Londynu - oznajmiłem.

- Nie zwracaj sobie głowy.

- Słucham?

- Jestem z Londynu... pamiętasz? Oszczędź sobie jazdy.

- To już załatwione. Kupiłem bilet.

- Wszystko jedno. Wypiła łyk.

- Idealne.

- Mówię poważnie, Cathy, zrywam się stąd.

- Facet zza baru jest żonaty?

- Nie... kiedyś był w kapeli.

- Jestem zakochana.

- Cathy... hej... mogłabyś się skupić przez chwilę. Potrzeba ci forsy?

- Nie, mam załatwione występy. Wstałem.

- Chciałabyś się przejść, nakarmić łabędzie?

- Posiedzę tu jeszcze trochę, poczaruję tego faceta. Oczekiwałem uścisku, musiałem zadowolić się przesianym całusem.

- No to do zobaczenia - powiedziałem.

- Tak, tak, kiedyś później.

Ścisnąłem piłeczkę w dłoni. Jeżeli jakoś pomagało, nie zauważyłem tego.

BURZE

Miałem cholernie paskudny sen. Taki, jakie miewają faceci na filmie, kiedy budzą się zrani potem i krzyczą:

— Wietnam... pocisk! Coś w tym stylu.

Śnił mi się Padraig, Sean, Planter, Ford, Sarah Henderson. Stali przede mną z czarnymi oczodołami, wyciągając ku mnie ręce. Bez względu na to, jak szybko biegłem, zawsze mnie wyprzedzali.

Wrzeszczałem:

— Zostawcie mnie w spokoju albo zacznę pić.

Ocknąłem się z krzykiem. Słońce wpadało przez okna, a ja czułem taki lęk, jakiego jeszcze nie znałem. Wyczołgałem się z łóżka i wziąłem beta-b - szybciotko. Gdybym jeszcze wiedział jak się modlić, zacząłbym. Powiedziałem:

— Se do bheatha, a Mhuire.

Początek Zdrowaś, Mario po irlandzku. Zaczęło mi przechodzić. Na początku w szkole uczyłem się tylko po irlandzku. Przechodząc do wyższej klasy, musieliśmy się uczyć ponownie naszych modlitw po angielsku. W okresie przejściowym byłem bezmodlitewny.

Wierzyłem, że kiedy umrę, pójdę prosto do piekła. Były to wczesne noce strachu. Kiedy połapałem się w nowej liturgii, strach ustąpił. W jakiś sposób utrwaliła się we mnie myśl, że będę bezpieczniejszy w irlandzkiej.

Czysty przypadek zamierzał dać o sobie znać. Zbieg okoliczności to znak, że Bóg chce uniknąć rozgłosu. Uniknąć paparazzich.

Wziąłem prysznic, zrobiłem słabą kawę i ubrałem się. Miałem na sobie wyblakłą do białości dzinsową koszulę, jasnobrązowe sztruksy i mokasyny. Mógłbym się załapać na nieostrą reklamę American Ex-press.

Stukanie do drzwi. Miałem diabelną nadzieję, że to nie Sutton.

Janet.

Powiedziała:

- Nie chciałabym przeszkadzać.

- Nie ma sprawy.

- Pani Bailey powiedziała, że pan wyjeżdża.

- Owszem.

- Chciałabym, żeby pan go przyjął.

Wyciągnęła rękę. Czarny różaniec. Paciorki wydawały się lśnić. Kiedy wziąłem różaniec, na tle dzinsu wyglądał jak kajdanki.

- Został poświęcony w Knock.

- Jestem wzruszony, Janet. Zawsze będę go miał ze sobą. Zawstydzila się, a ja dodałem:

- Będzie mi pani brakowało.

Rumieniec. Nie widuje się go już zbyt często, więc aby trochę to załagodzić, zapytałem:

- Jada pani czekoladę?

- O Boże, uwielbiam ją.

- Cóż, w takim razie mam zamiar przywieźć pani ordynarnie wielką ilość w eleganckim pudełku.

- Z pieskiem na wieczku?

- Dokładnie tak.

Wyszła czerwona jak burak.

Schowałem różaniec pod poduszkę. Przyda się wszelka dostępna pomoc.

Szedłem w kierunku pomnika Padraiga ó Conaire, kiedy zbliżył się do mnie garda.

Pomyślałem: O-oo.

Zapytał: - Pan Taylor? Pan Jack Taylor?

Kiedy mówią ci „pan”, wzywaj adwokata.

- Tak.

- Komisarz Clancy chciałby zamienić z panem kilka słów. Proszę tędy.

Zaprowadził mnie do czarnego daimlera. Tylne drzwi otworzyły się i odezwał się głos:

- Wsiadaj, Jack. Wsiadłem.

Clancy był w pełnej gali. Epolety, pełne regalia na pokaz. Był jeszcze tęższy niż w czasie poprzedniego spotkania.

- Nie za często bywasz na polu? - spytałem.

- Co?

- Golfowym. Słyszałem, że grywasz z grubymi rybami.

Twarz miał purpurową, wybałuszone oczy. A kiedyś facet był szczupły jak patyk.

- Powinieneś spróbować, to dobre dla zdrowia - powiedział.

- Nie zaprzeczę, że jesteś tego żywym dowodem. Pokręcił głową.

- Zawsze byłeś wyszczekany, Jack.

Kierowca był zbudowany jak przysłowiowa szafa. Zwały mięśni na karku.

- Chyba jestem ci winien przeprosiny - oświadczył Clancy.

- Chyba?

- Samobójstwa. Wygląda na to, że coś wywąchałeś.

- A pan, komisarzu, czy coś wywąchał? Na przykład, gdzie po-dziewa się pan Planter?

Clancy westchnął.

- Zwiął dawno temu. Forsa może wiele załatwić.

Nie chciałem zbytnio wgłębiać się w ten temat. Oświadczyłem:

- Wyjeżdżam z Galway.

- Doprawdy. Czy jest jakaś szansa, że twój przyjaciel Sutton wyjedzie razem z tobą?

- Nie sędzę. Jego muza jest tutaj.

Clancy milczał przez chwilę i w końcu powiedział:

- Wiesz, że kiedyś składał papiery do policji?

- Sutton?

- Tak. Odrzucili go. W końcu są jakieś standardy.

- Jesteś pewien? Nas przyjeżdżają. Pozwolił sobie na ponury uśmiech.

- Mógłbyś zajść daleko.

- Rany, może nawet stać się taki jak ty.

Wyciągnął dłoń. Fascynowały mnie jego buty. Solidne czarne kamasze, wyglansowane tak, że można się było w nich przejrzeć. Podałem mu rękę.

- Wyjeżdżasz z powodu Coffeya?

- Kogo?

- Na pewno go pamiętasz, taki kombinator z Cork. Puściłem jego dłoń, oderwałem spojrzenie od jego butów i powiedziałem:

- Aaa, tak, wielki, durny burak. Ale nieźle grał w hokeja.

- Pracuje pode mną i słyszałem, jak opowiada, że ta Ann Henderson bzyka się z nim jak dziwka. Jego słowa zawisły w powietrzu. Widziałem, że kierowca wierci się z zakłopotaniem za kierownicą. Nad brwiami wystąpiły mi kropelki potu. Czułem, jak Clancy uśmiecha się za moimi plecami. Świat wirował przez chwilę i pomyślałem, że zaraz upadnę. Na pewno dlatego, że szybko wyszedłem na słońce. Stałem chwilę, a potem znowu wsunąłem głowę do samochodu. I z całej siły splunąłem na te śliczne policyjne buciki.

Wszedłem do supermacy na placu. Potrzebowałem czegoś zimniejszego. Wziąłem dużą colę z mnóstwem lodu i usiadłem przy oknie. Oczy mnie piekły i aż do bólu palców ścisnąłem w lewej dłoni piłęczkę. Wypiłem potężny łyk coli, czując, jak lód obija mi się o zęby. Miałem wrażenie, że pole widzenia zamyka mi czerwona chmura. W końcu gwałtowny dopływ cukru dal mi kopa.

Pomogło.

Zacząłem normalnie widzieć i przestałem bez przerwy gnieść piłęczkę. Do mojego stolika podszedł jakiś człowiek.

- Jack.

Podniosłem głowę. Znajoma twarz, ale nie mogłem przypisać do niej nazwiska.

- Jestem Brendan Flood - przypomniał się.

- Aha... facet od Pana Boga.

- Mogę usiąść?

- Wolałbym nie, stary. Mam dość policjantów.

- Byłych policjantów.

- Mniejsza o to.

- Chciałbym ci coś powiedzieć.

- Znowu o Panu Bogu?

- Wszystko jest o Bogu.

Usiadł, a ja popatrzyłem w okno. Chociaż świeciło słońce, na horyzoncie widziałem czarne chmury. Flood oznajmił:

- Nadciąga burza.

- Mówisz w sensie biblijnym czy informacyjnym?

- Słyszałem w dzienniku.

Nie odpowiedziałem. Wyobrażałem sobie, że walnie mi jakieś kazanie i pójdzie sobie. Ile czasu mu to zajmie? Zaczął:

- Wyrazy współczucia z powodu śmierci twojego przyjaciela Seana Grogana.

- Dzięki.

- Dostałem informację. -Jaką?

- O samochodzie.

- Mów.

- To był żółty samochód.

- Ale takich jest mnóstwo.

- Świadkowie mówią, że to wyglądało na umyślne najechanie.

- Umyślne?

- Policja przesłuchiwała świadków, ale pominęli jednego. Jedenastoletniego chłopaka, kolekcjonera numerów rejestracyjnych. Nie zanotował cyfr, ale widział naklejkę.

Milczał przez chwilę i dodał:

- Z literami CLFD.

- Clifden!

Wstał, kiwnął głową w stronę nadciągającej burzy.

- Bóg jest bardzo niezadowolony.

Musiałem zrobić zakupy. Poszedłem do Holland's i kupiłem gigantyczne pudełko czekoladek.

Z uroczym pieskiem na wieczku. Potem w monopolowym. Musiałem trochę poszukać, ale znalazłem kamionkową butelkę holenderskiego dzinu. Wróciłem do hotelu i zostawiłem czekoladki w recepcji. Pani Bailey zapytała:

- To dla Jańet?

- Oczywiście.

- Oszaleje z radości.

Czy możemy dziś wieczorem wypić kieliszek przed snem?

Cudownie, około jedenastej?

Wspaniale.

PIRS NIMMO

Znajduje się na zachodnim brzegu Corrib, ciągnie się od Claddagh Qusy, obok Ringhanane Q»»ij; Zaprojektowany przez A lexandm Nimmo, został, zbudowany

w 1822 roku, mimo silnego sprzeciwu miejscowej ludności, Używano go do początku lat czterdziestych XIX wieku, kiedy nowy handlowy basen portowy sprawił, że siał się zbyteczny.

Pirsy Chddagh zostały wyremontowane w latach 1843—51

i połączone z Pirsem Nimmo w 1852 roku.

Na wschodnim krańcu pirsu zaobserwowano szczuty uńeikość kotów domowych.

Jak dotąd pozostają one... nieochrzczone.

około siódmej wieczorem niebiosa otwarły się i na miasto lunął deszcz. Gwałtowny i nieubłagany. Leżałem na łóżku i słuchałem. Staralem się o niczym nie myśleć i nie rozważać nieskończonej liczby możliwości.

O jedenastej zszedłem do baru. Pani Bailey już czekała. Miałem na sobie garnitur. Ona też była wystrojona.

- Oboje jesteśmy jak z obrazka - stwierdziła.

Jestem pewien, że był to uroczy wieczór. Tyle tylko, że nic z niego nie pamiętam. Mój umysł

znalazł się w wiecznej zmarzlinie, a pani Bailey mówiła za nas oboje. Wiem tylko, że powiedziała:

- Nie tyka pan mocnych trunków.

- Jak na razie.

Nie naciskała. Obserwowałem zegar nad barem. Kiedy wskazówki doszły do drugiej, pani Bailey oznajmiła:

- Będę musiała kończyć.

Jej pożegnalne słowa brzmiały:

- Jeżeli kiedykolwiek będzie pan potrzebował przyjaciela... Jej uścisk niemal mnie wzruszył, ale nie do końca.

Poszedłem do pokoju, wyrząłem przez okno. Deszcz był chyba jeszcze silniejszy. Wziąłem torbę i włożyłem do niej dzin. Potem włożyłem swój uniwersalny płaszcz policyjny. W końcu zadzwoniłem do Suttona. Usłyszałem:

- Lo?
- Sutton, tu Jack. Powiedziałeś, że masz problemy ze spaniem.

- Dobrze mówisz.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Jasne...jutro... Dobra.

- Teraz! Mam butelkę dzinu.

- Ooo, teraz mówisz z sensem. Gdzie się spotkamy?

- Na Pirsie Nimmo.

- Co? Przecież wieje jak cholera.

- I teraz jest tam pięknie. Jezu, przecież jesteś artystą, muszę cię jeszcze przekonywać?

- Tak, wściekły dzin we wściekłą noc. To mi się podoba.

- No to się tam spotkamy.

żywego ducha na ulicach. Kiedy znalazłem się na Claddagh, wiatr niemal zdmuchnął mnie z nabrzeża. Widziałem łabędzie tulące się do łodzi.

Kiedy dotarłem na Nimmo, oparłem się o mur i przyglądałem się czarnej zatoce. Była dziko piękna. Reflektory samochodu skręciły na boisko, zaczęły posuwać się wzdłuż nabrzeża. W

końcu dotarły do miejsca, w którym stałem, i oświetliły mnie. Pomachałem. Silnik umilkł i Sutton otworzył drzwi. Miał na sobie tylko podkoszulek i dzinsy. Krzyknął w noc:

- Kocham to!

Walcząc z wiatrem, dotarł do mnie.

- Ty zwariowany sukinsynu, miałeś wspaniałą pomysł. Gdzie gorzała?

Otworzyłem torbę i podałem mu butelkę.

- Genever... dla mnie bomba - powiedział. Pociągnął potężny łyk, a ja zapytałem:

- Pamiętasz, jak pojechaliśmy na tańce w South Armagh? Opuścił butelkę.

- Tak...

- Jechał za nami samochód i zapytałem cię, po czyjej są stronie.

- Coś kojarzę.

m

- Powiedziałeś, że po złej stronie, a ja zapytałem jakiej. Kiwnął głową i mówiłem dalej:

- Powiedziałeś, że takiej, która jedzie za tobą o czwartej w nocy Roześmiał się ohydnie, zionąc dżinem, a ja stwierdziłem:

- Jest prawie czwarta, a ty jesteś złą stroną,

- Co takiego?

- Zabiłeś Seana. Widziano nalepkę Clifden na żółtym samochodzie.

Odstawił butelkę, zastanowił się i wreszcie powiedział:

- Zrobiłem to dla nas.

- Dla nas?

Zaczął się krztusić słowami.

- Pewnej nocy, późno... w Grogans, byłem nawalony, próbowałem go wkurzyć.

Powiedziałem mu, że zabiliśmy Forda.

- I uznałeś, że on by doniósł?

- Nie teraz... ale mnie nienawidził. Skurwysyn zdjął mój obraz. Prędeż czy później by zakablował.

- Sutton? — odezwałem się.

I walnąłem go kolaniem w jaja. Złapałem za podkoszulek i pociągnąłem do krawędzi pirsu.

Wrzasnął:

- Jack... Jezu... Nie umiem pływać!

Odczekałem kilka sekund, opierając się wiatrowi, i odparłem:

- Wiem.

Pchnąłem go. Podniosłem kamionkową butelkę i powąchałem ją. Potęga zapachu przeniknęła mnie aż do czubków palców stóp. Zamachnąłem się i cisnąłem ją wysoko i daleko.

Jeżeli był jakiś plusk, nie usłyszałem go.

Kiedy zapinałem płaszcz, chroniąc się przed wiatrem, przypo-mniałem sobie rozmowę w pubie w Newry. Sutton wyrwał mi Charta gończego niebios i powiedział:

- Francis Thomas umarł, wyjąć. Tak odchodzą pijacy. Nie mogłem tego sprawdzić. Wiatr był za głośny.

Szczególne podziękowania składam Vinny Brown, Księgarni Charleya Byrne'a, Phyl Kennedy, Noelowi McGee.

Yakhsaf-Huradas ebook:

1. David Morrell – Nocna ucieczka

2. Per Wahloo, Maj Sjowall - Martin Beck 03 - Męższczyzna na balkonie 3. Per Wahloo, Maj Sjowall - Martin Beck 02 - Męższczyzna, który rozplynał się w powietrzu

4. Per Wahloo, Maj Sjowall - Martin Beck 01 – Roseanna 5. James Patterson - Alex Cross 03 - Jack i Jill 6. James Patterson - Kobiocy Klub Zbrodni 01 - Ty umrzesz pierwszy 7. Daniel Suarez – Demon 01 – Demon

8. Ken Bruen - Jack Taylor 01 - Strażnicy Bezprawia